

EPIKUREJCZYK

POWIEŚĆ POETYCZNA

TOMASZA MOORE'A

TLÓMACZONA Z ANGIELSKIEGO

przez

KAROLA FORSTERA

wydanie drugie, poprawione.



WARSZAWA.

w Drukarni Franciszka Czerwińskiego,
ulica Nowy Świat № 36.

1899.



271937

Дозволено Цензурою.

Варшава 12 Марта 1899 года.

PRZEDMOWA.



Odwrócony od niejakiego czasu gust publiczności czytającej powieści od utworów naturalistycznych do idealnych i chęć popierania tego zwrotu skłoniły nas do nowego wydania powieści poetycznej Tomasza Moore'a. Pierwsze wydanie (z r. 1829) oddawna wyczerpane, zresztą potrzebowało gruntownego przerobienia.

Utwór ten jednego z największych poetów angielskich, jakkolwiek idealistyczny w poмысле, jest w wykonaniu realistyczny, wspiera się na gruntownych studyach historycznych i archeologicznych i daje złudzenie rzeczywistości faktów, istotny obraz życia pierwszych chrześcian i ich stosunku do ludności pogańskiej.

Tomasz Moore urodził się w roku 1779 w Dublinie, w temże mieście pobierał nauki w kollegium Ś. Trójcy; jako katolik nie mógł

w szkole tej, ściśle anglikańskiej, zdobyć sobie stopni akademickich, lecz nadzwyczajnymi zdolnościami zwrócił na siebie uwagę nauczycieli. Kiedy wybuchło powstanie w Irlandyi (1797—1798) Moore wystąpił w obronie sprawy narodowej i ogłaszał w tym kierunku utwory swoje prozaiczne i poetyczne. W dwudziestym roku życia udał się na studia prawne do Londynu, ale przytem z całym zapałem poświęcał się poezyi. Najznakomitszem jego dziełem są „Melodye irlandzkie,“ przetłómaczone na wszystkie niemal języki europejskie, ale i „Epikurejczyk,“ którego przypominamy naszej publiczności, do niepoślednich należy. Moore umarł w roku 1852.

W. B.

EPIKUREJCZYK.

ROZDZIAŁ I ¹⁾.

W roku czwartym panowania zmarłego już cesarza Waleryana, pisze autor tego pamiętnika, zwolennicy Epikura, podówczas w znacznej liczbie w Atenach znajdujący się, przystąpili do zapelnienia osierociałej w ich szkole katedry mistrza. Wybór padł jednomyślnie na mnie: chociaż zacząłem był dopiero dwudziesty czwarty rok życia, i nie było dotąd przykładu powołania do tego zaszczytu osoby zaledwie w młodzieńcze lata wstępującej. Młodość jednakże i otaczające ją przymioty, nie były, jak się domyśleć można, uważane za mniejszej wagi zalety u szkoły, która obejmowała w swym obrębie wszystko, co piękne i światłe w Atenach, i w której poważne nazwisko filozofii, przybierane za godło postępowania, służyło tylko za pozór do wytworniejszego uprawiania rozkoszy.

Charakter sekty zmienił się wprawdzie znacznie od czasu mądrego i cnotliwego jej założyciela, który położywszy za główną zasadę, że rozkosz jest jedynem Dobrem, wywodził stąd, iż Dobro jest jedynem źródłem rozkoszy: czystsza część tej nauki już dawno zwietrza-

¹⁾ W przedmowie, znajdującej się na czele oryginału, autor, przybierając postać tłumacza, zawiadamia, że rękopis dzieła tego, w języku greckim pierwotnie napisanego, wynaleziony został przez podróżującego Anglika w klasztorze Ś. Makarego pomiędzy licznymi, już nadwerżonymi księgami, i jemu z Kairu nadesłany.

ła, a wstrzemięźliwy Epikur ¹⁾ z równą trudnością byłby poznał swą własną szkołę w gronie namiętnych zbytkowników, którzy teraz jej nazwisko przybierali, jak swój własny spokojny ogród w lubieżnych gajkach i altanach, wśród których odbywały się zebrania szkoły.

Rozmaite powody, oprócz powabu samej nauki, przyczyniały się w tej epoce do uczynienia naszej szkoły najwięcej upowszechnioną ze wszystkich, które jeszcze sławę Grecyi przeżyły.

Powszechnie spostrzegamy, że przewaga ostrych i surowych wyobrażeń religijnych w jednej połowie jakiej społeczności, sprawia przeciwną ostateczność rozpasania i bezbożności w drugiej; i właśnie ten rodzaj odwrotnej działalności szczególnie przyłożył się do nadania zasadom naszej sekty powabu najmodniejszej filozofii czasu. Nagły wzrost chrześcijańskiej wiary zatrwożył wszystkich tych, którzy czy to z pobożności, czy też dla światowych względów, nastawiali na wytrwanie w odwiecznie uświęconej wierze: wszystkich którzy wierzyli w bóstwa Olimpu, i wszystkich, którzy żyli z ich ołtarzy. Szerzył się zapał i gorliwość między ustanowionemi władzami i duchowieństwem całego bałwochwalczego świata. Co brakło na szczerości w wierze, uzupełniało się rygorem. Najsłabsze strony mitologii były właśnie te, których najuporczywiej broniono, a wszelkie uwagi, dążące do poniżenia Saturna i jego żony Opsy, ściągano z całą surowością prawa.

W takim stanie zatargu między przerażonymi

¹⁾ Epikur filozof grecki, urodził się w Gargetus, r. 341 przed narodzeniem Chrystusa. W roku 36 życia swego założył szkołę filozoficzną od niego nazwaną w Atenach, która swe posiedzenia odbywała w ogrodzie.

zwolennikami omdlewającej wiary a prostą i wzniosłą powagą jej współzawodniczki, nie dziwnego, że lubownicy swobody i rozrywki, których dawna religia nie obchodziła, a którzy byli zbyt niedołąźni, by badać zasady nowej, chętnie uciekali się przed surowością obu pod tarczę rozwiązałej filozofii, która pozostawiając innym mózół przewidywania przyszłości, opierała całą mądrość na zbytkownem terażniejszości użyciu.

Sektatorowie Epikura mieli zwyczaj od śmierci swego założyciela poświęcać jego pamięci dwudziesty dzień każdego miesiąca. Do tych miesięcznych obchodów dodano od niejakiego czasu jedno w roku święto na pamiątkę jego urodzenia. Uczty dawane z tego powodu przez moich poprzedników na katedrze, odznaczały się okazałością i smakiem; moją więc było ambicyą nie tylko wstępować w ich ślady, lecz nawet uczynić rocznicę teraz pod mojem przewodnictwem obchodzoną tak świetną, aby jej blaskiem przytłumić pamięć wszystkiego, co ją poprzedzało.

Rzadko w istocie były Ateny tak malowniczego obrazu widownią. Cała rozległość naszego ogrodu, pierwotnie w szczupłych zamkniętego obrębach, stopniowo powiększanego, była ubrana ze smakiem, umiającym jednać naturę ze sztuką, bez poświęcenia temu połączeniu jej prostoty. Aleje wiodące przez cieniste i wonne zarośla, równiny odsłonięne jakby dla igraszek słońca, świątynie wznoszące się w tych właśnie miejscach, skądby je wyobraźnia wywołała, wytryski i źródła naprzemian w ruchu i ciche, bądź wesoło odświeżające darń zieloną, bądź spokojnie usypiające w jej łonie—taka była rozmaitość widoków, ubogacająca te piękne ogrody, ożywione tym razem jeszcze przez wszystko, co Ateny najwytworniejszego w dowcipie i przyjemności

posiadały, i tworzące uroczą całość, jaką moja młodzieńcza wyobraźnia, obfita jak była wówczas w marzenia rozkoszy i wdzięku, zaledwie obmyśleć zdołała.

Obchód dnia tego zaczął się wraz ze świtem, kiedy, stosownie do zwyczaju pierwotnej prostoty, ci z pomiędzy uczniów, którzy mieli mieszkania w ogrodzie, obnosili obraz naszego założyciela, śpiewając wiersze na pochwałę jego surowej wstrzemięźliwości, która dawno już przestała być przedmiotem naszego naśladowania.

Około pięknego wśród ogrodu jeziora, stały cztery świątynie doryckie z białego marmuru, w jednej z których umieszczony był księgozbiór, zawierający wszystkie kwiaty literatury greckiej; gdy tymczasem w innych trzech Polymnia, Erato i Terpsychora, wzajemnie się wspierając, odprawiwały właściwe swe obrzędy. W księgozbiórze stały popiersia najślawniejszych epikurejczyków Rzymu i Grecyi: Horacy, Atticus, Pliniusz starszy, poeta Lukrecyusz, Lucyan i biograf filozofów, niedawno nam wyrwany Diogenes Laercyusz. Znajdowały się tam również posągi marmurowe wszystkich znakomitszych szkoły naszej zwolenniczek: — Leoncya i jej piękna córka Danae, Temista, Philaenis i inne.

W tem to miejscu, w znaczeniu naczelnika szkoły, wraz z rozpoczęciem obchodu, odebrałem z kilku najpiękniejszych i najwymowniejszych ust w Atenach hołdy życzeń do okoliczności stosownych, a wzajemnie, mając zwykłą przemowę na pamiątkę naszego mistrza (w której było zwyczajem rozszerzać się nad zasadami, jakich nauczał), usiłowałem dopiąć tej tak potrzebnej przy podobnem posłuchaniu sztuki, rozpostarcia na

oschłe przedmioty wdzięku, który im jedna słuchaczy nawet pomiędzy umysłami lekkimi i najmniej ukształconemi.

Chociaż nauka, jak łatwo sądzić, zajmowała krótko poranki lub wieczory Ogrodu, jednak lżejszą część jej — ten wybór miodu attyckiego po który pszczółka niegłęboko w kwiat sięgać musi — uprawialiśmy z zapalem. I tutaj nawet uczeń narażony był na roztrągnięcie niewiele do zebrania myśli pomocne; i z niejedną z mych pięknych uczennic wydarzały się podobne do następującego zdarzenia, które jeden z poetów Ogrodu, pożyczając pędzla natury, tak opisał:

Nad wodą wieczór w blaskach różowych
 Świątynia coraz cień swój przedłuża
 A tam na schodach jej marmurowych
 Siadła dziewica piękna jak róża.
 Z wdziękiem nad księgą schyliła głowę,
 A przy jej boku stał mędrzec młody
 I uniósł w górę jej sploty płowe,
 Aby odsłonić piękne jagody.

Lecz wieczorem dopiero rozwinąłem cały przepych uroczystości. Każda część ogrodu była oświetlona najwytworniejszą różnaitością światła; gdy tymczasem na jezioro spadały ze świątyni uwite z kwiatów wieńce, pomiędzy którymi łódki, napełnione urodziwymi dziećmi, pływały jak wśród morza Flory.

Pomiędzy dwoma z tych czółen ciągnęła toczyła się walka. Ich sternicy, dwaj młodzieńcy w kwiecie wieku, wyobrażali bóstwa Eros i Anteros; pierwszy niebieską miłość Platonistów, a drugi owego bardziej ziemskiego ducha, który przywłaszczył sobie u nas imię Miłości. Przez cały wieczór walka prowadzona była z wahającym się szczęściem; lękliwy przedział, jaki Eros

zachowywał przed swym bardziej nacierającym przeciwnikiem, był jedyną tarczą przeciw gradowi strzał ognistych, którym ostatni ciągle go raził. Szczęściem, groty spadając przed dojściem do celu na jezioro, rozdzierały jedynie kwiaty i gasły.

W innej części ogrodu, na szerokiej zielonej przestrzeni, oświeconej jedynie księżycem, urządzone było naśladowanie Panateńskiej gonitwy z pochodniami przez młodych chłopców, odznaczających się szybkością w biegu i przybranych w skrzydła nakształt kupidynów; gdy tymczasem niedaleko, grono z siedmiu Nimf, ozdobionych w gwiazdy na czole, przedstawiało ruch planetowego chóru, urzeczywistniając akcją i śpiewem sen Pytagoresa.

Za każdym krokiem nowe czary zachwycaly oko i ucho. Czasami, w głębi lasku ze źródła, w tej właśnie chwili wytryskającego, dobywały się harmonijne dźwięki, które tłumione szmerem wód, zdawały się być głosem władającej nimi nadziemskiej istoty; niekiedy kwiaty zdawały się wyziewać takie same tony, to znowu muzyka zdawała się powstawać raptownie z pod ziemi, jakby noga właśnie dotknęła wydające je źródło.

Może dziwnem się zdawać, iż tak szeroko rozwdzę się nad temi drobnymi szczegółami, lecz każda rzecz mająca związek z tą pamiętną nocą—nawet jej dawno żałowane błędy—będą święcie i wiecznie żyć w mej pamięci. Obchód zakończyła uczta, na której przewodniczyłem jako mistrz szkoły; a czując się być duchem ożywiającym całość, wszystkich w około pobudzałem do wesołości, szczęśliwym się czując szczęściem drugich.

ROZDZIAŁ II.

Zabawy się ukończyły; odgłosy śpiewów i tańców ucichły, a wśród rozkosznych ogrodów ja tylko samotny pozostałem. Lubo tak zapalony i czynny lubownik wesołości, miałem z natury skłonność do melancholii, wyobraźnią, która nawet wśród radości i szczęścia posępne wywoływała myśli, i cieniem przyszłości ogarniała najweselsze złudzenie obecne. Melancholia była w rzeczy samej zrodzona w mej duszy wraz z namiętnością i nawet w największym zapale towarzyszyła ostatniej. Od pierwszej chwili jak byłem zdolny myśleć i czuć, jakaś ponura nie przeplatała pasmo mego istnienia, a obrazy nicości i śmierci mieszały się do najmilszych chwil mojej wesołości. Namiętne pragnienie rozkoszy, zwiększało jeszcze te czarne wyobrażenia. Bo wyłączony, jak ja byłem przez moją wiarę, od przyszłego życia, i nie mając żadnej nadziei, sięgającej za szczupły obręb doczesnego—każda chwila wesela przybierała żałobną postać w mych oczach, a rozkosz, podobnie jak kwiat na cmentarzu, stawała się żywszą przez sąsiedztwo śmierci.

Tej jednak nocy mój tryumf, moje szczęście zdawały się zupełne. Ja przewodniczyłem tej rozkosznej uroczystości. Moja duma i miłość rozkoszy piły do sytości z czary, której tak pragnęły. Poważany i ceniony przez uczonych, a kochany przez piękność i młodość, w każdym oku, które spotykało moje, widziałem albo wyznanie tryumfu powszechnie zyskanego, albo też obietnicę innych, jeszcze świetniejszych, które mnie czekały. Lecz i wśród tych uludnych marzeń, ścigały mnie te same ponure myśli. Znikomość moja i wszystkiego, co mnie otaczało, w każdej chwili ciążyła na

mym umyśle. Te ręce, które ścisikałem, te oczy, w których widziałem jaśniejącego ducha światła i życia, oczy, któreby nigdy nie powinny się zamknąć, te głosy, które opiewały miłość wieczną,—wszystko—wszystko, czułem to, było tylko złudzeniem chwilowem i nic zostawić nie miało wiecznego, jak tylko głucho milczenie popiołu.

O gdyby nie głos straszny, co dusze rozdziela,
 Co się z każdą zabawą miesza i jednoczy,
 Co ostrzega, że wszystko co nas rozwesela,
 Nim jeszcze noc zapadnie, robak może stoczy;
 Gdyby tego nie było—od tej myśli wolny
 Duch mój światły zagarnął—świat w szczęście zamienił.
 Wszystkieby jego skarby i wdziałki ocenił,
 Niebobym sobie stworzył w pośród ziemskich progów,
 Jeśli szczęście śmiertelnych zmienić może w bogów.

Taki był opis mych uczuć, który wynurzył się w jednym z tych dzikich namiętnych śpiewów, zrodzonych w walce radości z melancholią umysł mój szarpiają.

Rzadko kiedy oddawało się bardziej me serce tak niepewnemu smutkowi, jak w tej chwili, gdym krążył w zamyśleniu pomiędzy gasnącemi światły i porozrzućcanemi przez biesiadujących kwiatami, a głucho echo mego własnego kroku samo tylko przerywało milczenie tam, gdzie tak liczne weselne istoty przed chwilą oddawały się uciechom. Księżyc już zaszedł, poranek jeszcze nie zaświtał, a poważna wspaniałość nocy spoczywała dotąd wokoło. Obojętny, dokąd ścieżka prowadziła, szedłem nią; aż nakoniec stanąłem przed pięknym posągim Wenery, którym dłóto Alkamenesa ozdobiło nasz ogród. To wyobrażenie boskiej kobiety, jedyne go bożyszczka, przed którem dotąd zginałem kola-

na, nadało mym chwiejącym się myślom zwrot nowy. Oparty o podstawę wzniosłem oczy do niebios, a wpatrując się niewzruszenie w wiecznie błyszczące gwiazdy, jak gdybym chciał wyczytać smutną z ich światła tajemnicę, badałem przyczyny, czemu człowiek sam musi ginąć, kiedy one, mniej od niego zadziwiający, mniej sławne, istniały ciągle w świetności niezmiennej i wiekuistej!

„O gdyby był jaki urok, jaki talizman,“ zawołałem, „któryby mógł ducha w nas będącego równie jak te gwiazdy unieśmiertelnić i otworzyć jego dociekaniom wspólny z niemi zawód, równie błyszczący i niezmierny!“

Gdy tak poddawałem się fantazyom niesformym i melancholijnym, znużenie, które ziemską rozkosz, acz słodka, jakby dla okazania jak jest znikomą, pozostawia, zwolna odzywało się we mnie, i wkrótce opuściwszy się przy podstawie posągu, zasnąłem.

Lecz i we śnie nawet wyobrażenia moja nie przestała pracować; owocem jej był sen, tak żywy, jakby miał zostawić po sobie niestarte wrażenie prawdy. Mniemałem się przeniesiony na rozległą dziką równinę, gdzie nic nie zdawało się oddychać, poruszać lub żyć. Niebiosa nademną były blade i zgasłe, wydając się nie jakby ciemnością okryte, lecz jakby światło ich znikło, martwe i spustoszone, jakby pozostałość przeszłego już jakiego świata, oddana zniszczeniu i pozbawiona słonecznej jasności. Jedyne ślad niewygasłego jeszcze życia w tej smętnej pustyni, było małe drżące światełko, które z początku błyszczące zdala, zwolna zbliżało się do miejsca, gdzie stałem. Wkrótce postrzegłem, iż jego słabe promienie wydawała pochodnia, trzymana ręką sędziwego starca, którego postać wybladła,

jakby grobowego posłannika, zatrzymała się przedemną. Po kilku chwilach głębokiego milczenia, przez które wpatrywał się we mnie ze smutkiem, wskrosz duszę mą przejmującym, rzekł: „Ty, który szukasz wiecznego życia, idź na brzegi czarnego Nilu,— a znajdziesz wieczne życie, którego szukasz.“

Zaledwie wyrzekł te słowa, gdy śmiertelna bladeń jego lic zajaśniała uśmiechem bardziej niż ludzkich obietnic. Mała pochodnia rzuciła blask, który nagle całą przestrzeń pustyni oświecił; nawet dalekie horyzontu krańce, w obrębie których w około spostrzegać się teraz dawały ogrody, zamki i piramidy, jaśniejące i złoczone, jak widma obłoków przy zachodzie słońca. Słodka harmonia dawała się ze wszech stron na przemiany słyszeć, a wszędzie taka rozmaitość przepychu rozlana była, iż z wzrostem harmonii i światła obudziłem się.

Iż niedowiarki mogą być zabobonnymi, zdarza się to nie tylko zwyczajnie, lecz często. Wiara w nadludzką siłę, zdaje się właściwą i potrzebną umysłowi; a jeżeli nie może się wcisnąć właściwym kanałem, znajdzie przystęp jakim bądź innym. Stąd, wielu, którzy wątpili o istnieniu jednego Boga, poddali się jednak pod opiekę losu lub gwiazd. Własne me uczucia były jawnym tej dziwaczności dowodem. Chociaż odrzucałem wszelką wiarę w Boską Istność, wierzyłem jednak w sny, od czego mnie cała moja filozofja odwieść nie mogła. Ani na doświadczeniu nie zbywało dla umocnienia mnie w mem omamieniu, bo przez kilka tych przypadkowych zdarzeń, które robią los wieszczków i proroków, sny były dla mnie nieraz wyrocznią.

Nie było nic dziwnego przeto, iż widmo nocne, dotykając tak rozdrażnionej strony, dzielniej na mnie siłę swą wywarło, i w miarę usiłowań, aby je odwrócić, głębiej się w pamięć wpajało. Nadaremnie wyszydzałem własną słabość; taka broń na siebie jest rzadko szczerze obrócona. Nadaremnie oddawałem się mym zwyczajnym uciechom. Ich urok był jak zwykle, nowy; lecz zawsze wracało smutne przewidywanie śmierci, a z nią pamięć tej widzianej we śnie obietnicy, do której moja wyobraźnia, wbrew rozsądkowi, jeszcze wzdychała.

Czasem, oddając się marzeniom, które były dalszym ciągiem mego snu, przypuszczałem podobieństwo istnienia jakiej tajemnicy, przez którąby młodość mogła być, jeżeli nie uwieczniona, przynajmniej przedłużona, i to okropne sąsiedztwo śmierci, w obrębie której miłość usycha i rozkosz niknie, mogło być na chwilę oddalone. „Kto wie,“ mówiłem sobie „czy w Egipcie, w tym kraju cudów, gdzie tajemnica odkryła dopiero połowę swych skarbów, gdzie tyle mistycznych arkanów, na kolumnach Seth wrytych, odgadnienia oczekuje;—kto wie, czy jaki urok, jaki talizman nie leży utajony, którego odsłonięcie, jak to w dziadło przyrzekło, czeka mego przybycia; jaki utwór z tych samych czystych atomów, które jaśnieją w odwiecznych gwiazdach, i którego przelanie w ciało człowieka mogłoby zrobić go równie niezgasłym i nieśmiertelnym!“

Tak przyjemnie marzyłem w tych przemijających szalach, gdy życie wesołe, jakie wiodłem, działając na serce czułe i żywą wyobraźnią, sprawiało upojenie umysłu i ciągly niepokój. Te dumania niemało były wzmagane ciągłą walką pomiędzy memi naturalnymi uczu-

ciami i zimną martwą wiarą mojej sekty, a usiłując uniknąć jej gnębiącej niewoli, bujałem wolno po krainie ułudzeń i omamienia.

Jednakże w mych spokojniejszych i wstrze-
mieźliwszych momentach, dziwne widziadło nie odstę-
powało mnie. Nadaremne były wszelkie me usiłowania,
by je w mym umyśle przytłumić, uległem jego przewa-
dze i poznałem, że bez zwiedzenia Egiptu i przekona-
nia się o zawodności mych nadziei, nie okupię spokoj-
ności, ani zachwianej władzy rozsądku nie przywrócę.
Oznajmiłem przeto bezzwłocznie moim towarzyszom
Ogrodu zamiar, jaki powziąłem, zwiedzenia kraju pira-
mid. Żadnemu z nich nie śmiałem wyznać wątpliwego
czarodziejskiego pociągu, który mną owładnął. Chęć nauki
była jedynym pozorem, jaki podałem, gdy rozkosz była
ich zdaniem prawdziwą do tego pobudką. Czynności
szkoły, jak sądzono, musiały cierpieć na mem oddaleniu,
a bardziej jeszcze niektóre czułe związki miały się
onego obawiać. Lecz dla pierwszej niedogodności cza-
sowe lekarstwo zostało wynalezione; drugie zręczny
rozdział przysiąg i westchnień uspokoił. Opatrzony
w listy zalecające do wszystkich części Egiptu, w lecie
roku 257 ery Pańskiej, udałem się pod żagle do Ale-
ksandryi.

ROZDZIAŁ III.

Temu, który używał takich słodczy w każdej
chwili pobytu swego na lądzie—podróż morską, lubo
spokojna i przyjazna, zdawała się najmniej przyjemnym
sposobem przepędzenia czasu. Często mijając jaką
wyspę, wyobraźnia moja zaludniała ją miłemi isto-
tami i wdzięcznemi postaciami dla złożenia hołdu któ-

rym, najchętniej byłbym się zatrzymał. Lecz wiatr dał prosto ku krainie tajemnic; a co więcej, brzmiały w około mnie podszepty wewnętrznego głosu: „Tam.“

Gdyśmy się zbliżali do brzegów Egiptu, doznaliśmy niepomyślności, dowodu niezyczliwości bożków Nilu, w rodzaju burzy, czyli raczej nawałniczego wichru, który zaledwie nie zatopił naszego okrętu, a który, jak Egipcyanie obecni mówili, był dziełem ich bożka Typhona. Po całodziennej i nocnej walce z burzą, podczas której, zostaliśmy mimowolnie skierowani z naszej drogi ku wschodowi, przychylniejsza jakaś potęga przemogła; bo skoro poranek świeżo rozjaśniał, zoczyliśmy wspaniałą Alexandryę, wznoszącą się z morza ze swym zamkiem królewskim, portykiem o czterystu słupach i wzbijającą się w środku ku niebiosom świątynią Królową Kolumn.

Po zmierzeniu okiem tych pysznych widoków, przebyliśmy szybko około skały Pharos i w kilku minutach znaleźliśmy się w porcie Eunostus. Słońce już weszło, a światło na wysokiej wieży nad skałą jeszcze się tliło; jakaś smętność, zapewne zabytek uciech poprzedzającej nocy, malowała się w pierwszym obudzeniu się tego rozkosznego miasta—którego gmachy i świątynie, oświecone pierwszej zorzy blaskiem, spoczywały w milczeniu.

Wkrótce wysiedliśmy na ląd, a gdym się przechadzał przez szeregi pałaców i świątyni, które prowadzą od morza aż do bramy Kanopus, świeżo jeszcze przejęty wciąż mych lubych Aten, uczulem nagle podziwienie, wzbudzone raczej nowością, aniżeli wspaniałością widoku, jaki się mym zachwyconym oczom przedstawiał. Rozkosze i zabawy, które takie miasto

obiecywało, nie należały do rzędu najmniej znaczących uwag, które mi się tłumnie nasuwały. Przeciwnie, wszystko około mnie zdawało się wróżyć przyszłe rozkosze. Kształty architektury i rzeźby przypominały mej epikurejskiej wyobraźni obrazy żyjącej gracyi; a nawet cisza i ponurość świątyń i lasków, wróżyła jedynie czule tajemnice dla mej duszy. W miarę jak wspaniała tę widownię ożywiał ruch ludzi, uczulem, iż chociaż Egipt nie uczyni mnie zdolnym do przedłużenia życia, może jednak nauczyć mnie najlepszej sztuki—pomnożenia jego uciech.

Ludność Aleksandryi składała się w tej epoce z największej mieszaniny różnych narodów, wyznań i sekt, które się tylko kiedy razem w jakim mieście znajdowały. Obok szkoły greckiego Platonisty, widać było audytoryum kabalistycznego Żyda; tu znowu kościół Chrześcijan stał na tajemniczej krypcie egipskiego Hierofanta. Tu wschodni czciciele ognia, wyszydzała czcicieli kota z zachodu; tu Chrystyanizm, na nieszczęście, nauczył się współubiegać z błędami pogaństwa; a kiedy z jednej strony nauczyciel pogański ukazywał się klęczący poważnie przed swym wężem, z drugiej Nikossyanin z równą powagą spierał się, iż nie było sposobu zbawienia, jak tylko na łonie greckiego alfabetu. Co gorsza, niemiłosierność chrześcijańskich różnowierców odznaczała się zawsze równą siłą; i o niczem nie słyszałem tyle po przybyciu mojem, jak o sprzeczkach i nienawiści, z jaką się prześladowali wzajemnie.

Żadnemu z tych wyznań i sekt nie poświęciłem szczególnej uwagi i ograniczyłem swoje postrzeżenia na kilku śmiesznościach. Znajdując się teraz w najrozkoszniejszym mieście w świecie, oddałem się bez za-

dnego względu złudzeniom, które mnie otaczały. Moja sława jako filozofa i lubownika rozkoszy poprzedziła mnie, i Aleksandrya, drugie Ateny świata, powitała mnie jako swego rodaka. Sława moja była w rzeczy same jakby talizmanem, który za mem zbliżeniem serca i drzwi otwierał. Zwykle ceremonie poznania się uchylone były dla mnie, i nietylko stosunki, lecz miłostki i przyjaźń szły za mym krokiem tak szybko, jak urodzaj się pokazuje tam, gdzie Nil wylewał. Ciemna cera egipskich kobiet dawała im nowy powab w mych oczach, podwajający ich inne wdzięki, a ten kolor słońca na ich uroczych licach był tylko tłumaczem ognia tlejącego w ich sercach.

Kilka tygodni minęło w tak ciągłych i coraz odmiennych rozrywkach, iż nawet smętny odgłos w mem sercu, chociaż się jeszcze odzywał, już rzadko tylko zwracał na siebie mą uwagę i wnet konał wśród dźwięku śpiewów czarujących, które około mnie brzmiały. Wkrótce jednak, gdy nowość położenia znikła, te same czarne widziadła zaczęły się mieszać do wszystkich mych uciech, a zdarzenie, zaszłe podczas jednej z mych najweselszych zabaw, przyłożyło się jeszcze bardziej do obudzenia ich w większej sile.

Obchód roczny święta Serapisa przypadł podczas mej bytności w Aleksandryi. Często lubiłem mieszać się do tłumów ludu, jaki się zwykle podówczas cisnął do świątyni w Kanopus. We dnie i w nocy podczas gdy to święto trwało, kanał, prowadzący z Aleksandryi do Kanopus, okryty był łodziami, pełnemi pielgrzymów obojej płci, chciwych korzystać z obyczaju, które użyć miało rozrywkom znamienia religijności, i na cześć chwały niebieskiej ziemskim namiętnościom dozwalało puszczać wodze.

Wracalem w czasie przyjemnej nocy do Aleksandryi. Wiatr północny, ten miły przybysz, odświeżał powietrze, a brzegi z każdej strony przesyłały z lasków pomarańczowych i mirtowych najslodsze wonie. Gdy zostawił za sobą cały tłum w Kanopus, żadna już łódź prócz mojej nie dawała się dostrzegać na kanale; i właśnie oddawałem się myślom, które samotność wzbudza w takiej godzinie, gdy me marzenia przerwane zostały odgłosem śmiechu i okrzyków, wychodzących z namiotu w ogrodzie, który stał rześisto oświecony nad brzegiem kanału.

Przyplłynawszy bliżej, postrzegłem, iż te okrzyki radości przeplatanej trwogą były wydawane przez kilka młodych bawiących się dziewic, które usiłując dosięgnąć krzewu jaśminowego, wznoszącego się nad wodą, naraziły się na niebezpieczeństwo. Pośpieszając z pomocą wnet poznałem głos jednej z mych pięknych przyjaciółek w Aleksandryi, a wyskoczywszy na brzeg, otoczony zostałem całym orszakiem, z naleganiem, abym się udał do namiotu. Opierającego się więziły w gałki świeżo zerwane jaśminu, i tak, chętnego niewolnika, przywiodły do swej sali biesiadowej.

Tu znalazłem sam wybór towarzystwa Aleksandryi. Niespodzianość spotkania dodawała mu obustronnie powabu i rzadko czułem się bardziej rozweselony, albo skuteczniej przykładający się do ożywienia drugich.

Pomiędzy towarzystwem znajdowało się kilka Greczynek. Nosiły one, stosownie do zwyczaju ich ojczyzny, zasłony, lecz jak powszechnie, bardziej dla podniesienia niż dla ukrycia swych zawsze zwyciężkich wdzięków. Jedna z nich z wieńcem czarnych kwiatów na głowie, milcząca i starannie zasłonięta przez całą ucztę, szczególnie obudziła mą uwagę. Nie brała, jak po-

strzegalem, żadnego udziału w tem, co ją otaczało: potrawy i wina przenoszono około niej nietknięte—żadne słowo nie zdawało się być do niej obrócone. To odłączenie od sceny tak oddychającej wesołością, chociaż na pozór niedostrzegane przez nikogo prócz mnie, uderzyło mnie tajemniczo i dziwnie. Pytałem się mej pięknej sąsiadki o przyczynę tego, lecz spuściła wzrok poważnie i zachowała milczenie.

Tymczasem lira i puchar szły wokoło; i młoda dziewczica ateńska, jakby natchniona obecnością swego rodaka, wzięła swą lutnię, i zaśpiewała jedną z pieśni greckich z uczuciem, które mnie nad brzegi Illisu przeniosło, i nawet wśród obecnej radości wyrwało westchnienie z mego serca za tem, co już minęło. Jutrzienka zaczęła wschodzić, nim nasze wesołe grono powstało i niechętnie wsiadło na łodzie dla wrócenia do miasta.

Zaledwieśmy odbili od brzegu, postrzeżono, że lutnia młodej Atenki zapomniana została; z sercem jeszcze pełnem słodkich dźwięków tego instrumentu, co żywo wyskoczyłem na ląd dla poszukania go. Pośpieszyłem do namiotu, który teraz stał ciemny i samotny, wyjąwszy iż tam—z wielkiem podziwieniem mojem, — jeszcze siedziała ta milcząca postać, która tak mocno wzbudziła mą ciekawość podczas nocy. Niepewne uczucie przestachu i uszanowania, przejęło mnie, gdy teraz zwołna do niej przystępowałem. Żadne poruszenie, żaden odgłos oddechu nie dawał się w niej postrzezać; nie zadrżał żaden listek jej czarnego wieńca. Przy świetle konającej lampy, która stała przed tą postacią, wahającą ręką wzniosłem zasłonę, i ujrzałem—co ma wyobraźnia już przewidywała naprzód,—iż postać owa była martwą—była kościotrupem. Przerażony i tknięty

do żywego, pośpieszyłem napowrót z lutnią do łodzi, i przez koniec podróży byłem prawie tak milczący jak widziana postać.

Ten zwyczaj pomiędzy Egipcyanami stawiania mumii lub kościotrupa przy stole podczas uczty, od niejakiego czasu ustał, wyjąwszy przy nadzwyczajnych obchodach; a nawet w takich razach osłaniali wykwintni alexandryjczycy pamięć śmierci w sposób wyżej opisany. Lecz na mnie, wcale na taki widok nie przygotowanego, uczynił wrażenie, z którego nieprędko wyobraźnia moja ochłonęła. Ten milczący i okropny świadek wesołości, zdawał się podobny sobie cień w mem sercu zaszczepiać. Rysy grobowe wyryte były teraz w myśli, która mnie nie opuszczała, a obraz czekającej mnie przyszłości, mieszał się z najprzyjemniejszym widokiem tego, czem jestem.

Wspomnienie snu zajęło mnie teraz żywiej niż kiedykolwiek. Mile zapewniający uśmiech tego poważnego ducha i jego słowa: „idź na brzegi czarnego Nilu, a znajdziesz wieczne życie, którego szukasz!“ były przytomne ciągle umysłowi memu. Lecz dotąd niestety, nic nie podjąłem ku wypełnieniu tak świetnego przyrzeczenia. Aleksandrya nie była Egiptem. Miasto, w którym znajdowałem się, jeszcze nie istniało. wtedy, kiedy już Teby i Memphis wieki sławy liczyły.

„Może za piramidami Memphis,“ zawołałem, „lub w mistycznych komnatach Labiryntu mam szukać tej świętej tajemnicy światła, którego świat przedpotopowy zrobił Egipt spadkobiercą, i pośród którego — błogosławiona myśli! — klucz do wiecznego życia znajdować się może.“

Powziąwszy taki zamiar, pożegnałem się z mymi licznymi przyjaciółmi w Aleksandryi i udałem się w drogę do Memphis.

ROZDZIAŁ IV.

Ze wszystkich krain, które zwiedziłem, Egipt osobliwszem połączeniem melancholii i rozkoszy, tak wydatnie odznaczającym charakter ludu, swą religją i pewnego rodzaju wystawną okazałością, był jedynie zdolnym działać silnie na temperament i wyobraźnię podobną mojej, i w ciągłej żywości wrażliwość obojga utrzymywać. Gdziekolwiek się obrócił, widziałem pustynię obok ogrodu, świetność mieszącą się ze спустoszeniem; kolebka miłości stała przy grobowcu,—rozkosz napotykała żalobę! Sama, że tak rzeknę, lubieżność klimatu, wywierała ten smętny wpływ. Jednostajny blask dnia, uroczysta świetność nocy—wszystko skłaniało do polubienia tej głębokiej melancholii wpływu namiętności i posępnych myśli, które tak długo gościły w mej duszy.

Kiedy płynąłem z Aleksandryi, wylew Nilu był w całej pełni. Cała dolina Egiptu była jego wodami zalana; a patrząc na okół przy świetle zachodzącego słońca na świątynie, pałace i pomniki otoczone wodą, mniemałem widzieć zatapiającą się w nurtach oceanu Atlantyde, której bytność zwiastowały tylko szczyty świątyni jeszcze ponad wodą widzialnych.

Tak daleko, jak tylko sięgnąć mogło oko
 Wieże, zamki odwieczne, wznosiły szczyt dumny,
 Tutaj świątynie bogów — tam w rządzie szeroko
 Z marmurów i porfiru jaśniały kolumny.

Mnóstwo śnieżnych piramid, nad zwierciadło wody
 Wznosi wspaniałe czoła, co przetrwały wieki,
 A czysty błękit niebios i piękne ogrody
 Rozjaśniały swym wdziękiem ten obraz daleki.
 Ruch i czynność widoczne na całym przestworze,
 Ożywiały to nowo utworzone morze,
 Rozszerzając w około przemysłem obficie
 Miłość, wiarę, przyjemność, bogactwa i życie.
 Po stopniach świątyń wśród tej stojących otchłani,
 Białem kryci odzieniem poważni kapłani,
 Postępują unosząc święte w ręku godła.
 Tam łódź, którą chęć zysku z onych stron wywiodła,
 Kędy prócz niebezpieczeństw i jawnej zagłady,
 Skwarne piaski lub grzmiące grozą wodospady,
 Z dalekiego wśród trudów przywożąc ustronia
 Pióra ptaków — kość białą nosorożca, słonia,
 Z wyspy Meroe kamień i — deszczów robota —
 W Abissynii splókanę małe ziarenka złota.
 Tu wśród krzaków szerzących i wonie i chłody,
 Gdzie wstrzymane w zapędzie szumne giną wody,
 Z Sais — z Bubastu pielgrzym spoczynek obiera,
 Nad głową jego lotus kwiaty rozpościera.
 Tutaj skwarną godzinę jak wpośród altany
 Przez sen, śpiew lub rozmowy skraca na przemiany.
 Gdy w bliskości pod płotu akacyi zasłoną,
 Igra po wodzie świeżej Nimf powabne grono.
 Niejedna równa w wdziękach tej, której ponęta
 Łudzące dwóm pogromcom świata kładła pęta,
 Które, zgubnym powahem nieujęty wcale,
 Trzeci z sercem nieczułem potargał zuchwale.

Zachwycony widokiem, opóźniałem mą podróż,
 zwiedzając wszystkie te rozkoszne i poważne miejsca,
 których nazwiska uświęcone zostały podziwem wieków.
 W Sais byłem obecny obchodowi święta Lamp, i czy-
 tałem przy blasku niezliczonych światła te wzniosłe
 słowa na świątyni Neitha: „jestem wszystkim co by-
 ło, co jest, i co będzie, a żaden śmiertelny nie uchy-

lił nigdy mej zasłony.“ Przechadzałem się pomiędzy powalonymi obeliskami Heliopolis, i widziałem nie bez westchnienia słońce, uśmiechające się nad zwaliskami, jakby urągające się z tego ogromu znikomej wielkości, która się niegdyś nazwała dumnie: miastem słońca. Do wyspy Złotej Wenery ¹⁾ miałem najprzyjemniejszą podróż, i gdym przebywał jej chłodniki, gdzie altany zastępowały świątynie — czułem o ile właściwsze są wiecznie żyjące gałązki ogrodu i lasku do ukształcenia przybytku bogów, aniżeli najwytworniejsze kolumny, które nawet najmniej ożywiona dolina zastąpić może.

Wszędzie nowe rozrywki, nowe przedmioty czekały na mnie, a chociaż melancholia, jak zwykle, stała zawsze blisko, jej cień zasępiał tylko połowę drogi mych błędnych kroków, zostawiając resztę w wydatniejszym blasku. Opis rozmaitych zdarzeń w czasie tej krótkiej mej podróży, wstrzymałby mnie tylko od wypadków daleko więcej wartych wspomnienia. Pomiedzy tak nieskończoną rozmaitością powabów zapomniałem o głównym przedmiocie mej podróży; tajemnice tego kraju słońca były tak ukryte dla mnie jak zawsze, i do niczego więcej dotąd nie byłem przypuszczony, jak do jego rozrywek.

Od tego to wieczora, kiedy pierwszy raz stanąłem przed piramidami Memphis i ujrzałem je wznoszące się w obłoki, niby wieczne strażnice czasu, z których szczytu przed skonaniem ostatni wzrok rzuci; od tej to chwili wielka tajemnica, o której we śnie marzy-

¹⁾ W pobliżności Memphis znajduje się wyspa zwana Złotej Wenery czyli Pole złote.

łem, znów w całej swej niepojętej ciemności ożyła w mym umyśle. Czarodziejski blask słońca, który spoczywał na tych pomnikach — milczenie samych żywiołów, jakby znak ich uszanowania, wszystko to obudziło w mem sercu niby muzykę czasów upłynionych. Wspomniałem, jakie nieprzeliczone pasmo ludzi, mądrością, wdziękami lub mężstwem słynących, w popiół się obróciło, odkąd ziemia pierwszy raz te cuda njrzała; i ze smutkiem, który przejął mą duszę, wyrzekłem: „Czyż tylko sam człowiek ma ginąć? Czyliż umysły i serca mają się w nicosć obrócić, kiedy piramidy trwają! O śmierci! — śmierci! — nawet na tych wiecznych tablicach — jedynym przystępie do nieśmiertelności, zaledwie przez królów na tobie wytargowanym — wyryłaś nasz los, mówiąc straszliwie a wyraźnie: „jedynem schronieniem dla człowieka jest grób.“

Ta myśl zmroziła mi serce, i na chwilę uległem rozdzierającemu uczuciu, jakie obarcza tych, przed którymi przyszłość niedostępną otoczona jest zasłoną. Lecz wkrótce przemogła zmienność mej natury, i znów, własnowolny łup próżnych marzeń, wzbudziłem w sobie wiarę we wszystko czegom życzył, z tą szczęśliwą łatwością, które wyobrażenie za szczęście istotne stawia.

„Tak“, zawołałem, „nieśmiertelność musi być dla człowieka osiągnięta; a że mądrość sama tylko zasługuje na takie szczęście, — mędrcomi tylko musi ta tajemnica się odsłonić. Głęboko, jak jest powiedziane, z tamtej strony pod piramidą leżała przed wiekami złożona szmaragdowa tablica ¹⁾, na której po trzykroć

¹⁾ Niektórzy egiptolodzy przypuszczają, że wielki sekret robienia złota posiadali kapłani egipscy i to było źródłem bogactwa ich i królów egipskich.

wielki Hermes wyrył przed potopem tajemnice Alchemii, dające złota do woli. Czemuż nie miałyby również tam być zachowana ważniejsza, bardziej boska tajemnica, dająca życie do woli? Za pomocą złota, niewyczerpanego królowie spoczywający pod temi ogromnemi gmachami, dobyli się do środka ziemi i wzniesli piramidy w powietrze, aby się opatrzyć w grobowce, któreby świat przetrwały. Kto może wyrzec, iż dar nieśmiertelności nie był im równie dany? — kto wie, czy oni sami, szydząc ze zniszczenia, jeszcze nie żyją? — Te schronienia, które my zowie-my grobem, może są wspaniałemi i wiecznie trwałemi pałacami, a w głębi ich odłączeni od tego znikomego świata, jeszcze oni może istnieją, z małą liczbą tych, którzy ich dar dzielą, wśród Elizyum ogołoconego z światła słońca, lecz oświeconego ich własnem. I dla czegoż te budowy? Dla czego to podziemne państwo, którem cała dolina Egiptu jest podkopana? Dla czego te labirynty, których żaden śmiertelny nigdy nie oglądał?

Gdy tak zatopiłem się w słodkich marzeniach, słońce nawpół zaszło za horyzont, spokojnie i wspaniale ostatniem spojrzaniem żegnało piramidy. Ze strony obróconej ku jego promieniom, okazywały one teraz czoła jaśniejszej białości, gdy przeciwnie z drugiej, ogromny ich cień, przedłużając się ku zachodowi, podobny był pierwszym krokom nocy, śpieszącej okryć swą powłoką wzgórze Arabii.

Zaledwie zniknął ostatni promień słońca, gdy z każdego wierzchołka domu w Memphis, wzniosły się wesołe złocone chorągwie powiewające, by zachód jego ogłosić — a muzyka rozległa się we wszystkich nadbrzeżnych świątyniach.

Ocucony z mych dumań przez te tony, przypomniałem sobie nagle, iż tego samego wieczora, wielkie święto Luny miało obchodzić. Na małej wyspie, w pół drogi pomiędzy ogrodami Memphis i wschodnimi brzegami, stała świątynia bogini... której promienie

Niosą słodki czar kwiatów nocnych i marzenie.
 To nie Dyana grecka, zimna jak obłoki,
 Co w lód westalski skuwa młodych żył potoki,
 Lecz ta, co w nocnej ciszy na niebios przestworze
 Jedno na ziemi zna, co z niebem zrównać może:
 Miłość!

Uprzedzając rozmaite rozkosze tej uroczystości zrzuciłem z mego umysłu wszystkie czarne myśli, a pośpieszywszy do mej małej łódki, w której teraz mieszkałem, podobny do wodnego ptaka Nilu, zwróciłem ją ku świątyni Księżycy.

ROZDZIAŁ V.

Wschód księżycy wolny i wspaniały, jakby świadomy czekających go hołdów, był przejęty głośnym okrzykiem z każdego wzgórza, okrytego tłumem oczekującym jego pierwszego błysku. I rzadko jaśniał nad piękniejszym widokiem. Memphis — jeszcze wielkie — chociaż już nie owo nieporównane Memphis, które odbiło Tebom koronę pierwszeństwa i nosiło ją niezaprzeczenie przez tyle wieków — teraz upięknione bladem światłem księżycy, odpowiadającym jego schyłkowi, jaśniało jeszcze wśród swych wód, piramid i ołtarzy, jak sen chwały, który wkrótce miał przeminąć. Już do koła niego ślady zniszczenia spostrzegać się dawały. Piaski pustyni Libii otaczały je, jak morze;

a wśród samotnych kolumn i sfinksów, już na wpół zasypanych, czas zdawał się oczekiwać aż wszystko, co teraz kwitło wokoło, padnie pod jego niszczącą ręką.

Na wodzie wszystko oddychało życiem i wesołością. Jak oko zasięgnąć mogło, dawały się spostrzeżać światła z niezliczonych czółn, strojących jak rubiny powierzchnią wód. Statki wszelkiego rodzaju, począwszy od lekkiej łódki, zbudowanej dla spuszczenia się po kataraktach, aż do szerokich bark, przy dźwięku fletów płynących zwolna, wszystkie były przy tym uroczystym obrzędzie napelnione gromadami młodzieży wesołej obu płci, przybyłej nie tylko z Memphis i Babilonu, lecz nawet z miast odleglejszych.

Zbliżając się do wyspy, spostrzegłem, migające się przez drzewa i krzaki nadbrzeżne, światła lamp pielgrzymów, pośpieszających na obrządki. Wysiadłszy ku tej stronie, wnet połączyłem się z tłumem, a minąwszy szeroką aleję sfinksów, których błyszczący marmur odbijał się między posepnymi, otaczającymi je krzewy, wkrótce stanąłem w wielkim przedsiomku świątyni, gdzie znalazłem obrządki wieczorne już rozpoczęte.

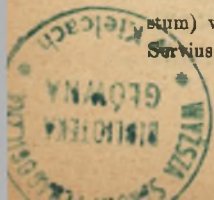
W obszernej sali, otoczonej dwoma rzędami kolumn i otwartej z wierzchu światłu gwiazd, ujrzałem grono młodych dziewic, czyniących miarowe ruchy około małego ołtarza, na którym stał jeden z tych świętych ptaków, które z powodu różnofarbnosci swych skrzydeł były poświęcone Księżycowi. Przedsiomek był oświecony bladym światłem — jedna tylko lampa jaśniała na każdej z grubych kolumn, jakie go otaczały. Obrawszy sobie miejsce obok jednej z tych kolumn,

widziałem dokładnie młode tanecznice, gdy rzędem koło mnie przechodziły.

Ich odzież długa, zgrabna, śnieżnej była białości, a każdą lekko opinała pod piersią ciemnobłękitna przepaska, ozdobiona, jak firmament o północy, małemi srebrzystemi gwiazdkami. W ich czarnych spłotach jaśniała biała lilia Nilu — kwiat święty, miły Księżycowi, równie jak słońcu miłe są złote płatki kwiatu od niego nazwisko noszącego. Gdy przechodziły pod lampą, promień światła błyskał z ich łona, co, jak spostrzegłem, było odbiciem małego zwierciadła, które, zwyczajem kobiet Wschodu, każda pod lewem ramieniem nosiła. Żadna muzyka nie regulowała ich kroków, lecz gdy z wdziękiem przechodziły około ptaka na ołtarzu, niektóre uderzeniem kastanietów, inne ostrym brzękiem cytry, którą trzymały w tej postawie, jak ich bogini Izys ¹⁾, harmonijnie miarkowały poruszenia; gdy tymczasem inne za każdym krokiem trzęsły mały łańcuch srebrny, którego odgłos, mieszając się z dźwiękiem kastanietów i cytry, sprawiał dziką, lecz nie bez wdzięku, muzykę.

Wszystkie zdawały się nadobnemi, lecz była tam jedna, której lica światło nie dosięgło, tak spuszczoną trzymała głowę. Ona to szczególnie ściągnęła, a stopniowo zajęła całą moją uwagę. Nie wiem dla czego, lecz było coś w tych nawpół widzianych rysach, jakiś nieodgadniony wdzięk w tym cieniu ogarniającym ich urojoną piękność, który zajął mnie bardziej, niż cała

¹⁾ „Izys jest geniuszem Egiptu, który przez grę na cytrze (sitarum) w prawem ręku trzymaną, oznacza wzrost lub upływ Nilu.“
Servius.



jawna powabność jej towarzyszek. Mą wyobraźnią tak zachwyciła ta skromność tajemnicza, iż tę tylko kapłankę z całego grona byłem w stanie widzieć, o niej tylko myśleć. Czatowałem, gdy z zawsze spuszczo-
nem czołem zręcznie przesuwiała się około ołtarza, jakby jej obecność, nakształt ducha jakiego, raczej uczuć aniżeli widzieć się dawała.

Nagle, gdy jeszcze patrzałem, głośny huk tysią-
ca kotłów dał się słyszeć; ciężkie podwoje świątyni rozwarłe zostały jakby cudem, i potok światła z oświe-
conej części gmachu napełnił cały przedsionek, a w tej samej chwili dźwięki bogatej muzyki połączyły się z blaskiem światła.

Wtenczas to, przy świetle, jasno padającym na lica młodej dziewicy, która, uderzona blaskiem, wznio-
sła swe oczy ku drzwiom i nagle znów powieki spu-
ściła — wtenczas ujrzałem, co nawet ma ognista wyobraźnia w najżywszych swych o piękności marze-
niach nigdy sobie nie odmalowała. Nawet Psyche sama, gdy spoczęła w progu niebios, gdy ich pierwsze cuda uderzyły jej zdziwione oczy, nie mogła być pięk-
niejszą, ani rumienić się bardziej niewinną wstydlivo-
ścią. Często uczuwałem był wrażenie spojrzenia, lecz żadne nigdy tak głęboko serca mego nie przeszło. Było to nowe uczucie — nowy zmysł, wypływający tak nagle, jak ta jasność w przedsionek, i odrazu zappełnia-
jący całe me jestestwo; i gdyby to zjawisko zatrzy-
mało się było jeszcze chwilę przed mym wzrokiem, byłbym zupełnie zapomniiał i miejsca i osób, i w kor-
nem ubóstwieniu zgiął przed niem kolana.

Lecz zaledwie rozbrzmiał ten potok harmonii, gdy święty ptak, który aż dotąd stał nieporuszony,

jak obraz, rozpostarł skrzydła i uleciał do świątyni; a jego młode czcicielki z szybkością jemu podobną udały się za nim,—i ona, która zostawiła w mem sercu wrażenie nigdy nie zapomniane, zniknęła wraz z innymi. Gdy szybko przebiegała około kolumny, o którą oparty stałem, bluszcz ¹⁾, otaczający kolumnę, zaczepił jej odzież i oderwał jakąś ozdobę, która upadła na posadzkę. Było to owo małe zwierciadelko ²⁾, które widziałem świecące u jej łona. Szybko i ze drżeniem porwałem je i pośpieszyłem, aby jej oddać, lecz już znikła przed mym wzrokiem w tłumie.

Nadaremnie starałem się ją dogonić: galerye natychmiast napełniły się, mnóstwo pobożnych pielgrzymów cisnęło się ku drzwiom głównym, lecz posługacze świątyni przeszkodzili dalszemu natłokowi i gdym nadszedł, ich ręce przecięły mi drogę. Zdziwiony i przejęty gniewem, uważając za nieprzyjaciół wszystkich, którzy wstrzymywali moje kroki, stałem pomiędzy tłumem, wznosząc się na palcach. Wzrok mój wlepiony był w zajęte galerye, a serce biło gwałtownie, gdy mogłem dostrzedz czasami gwiazdzistą przepaskę lub wieniec lotosu, mniemając widzieć przedmiot mojego zajęcia. Lecz wszystko było nadaremne; w każdej stronie szeregi poświęconych nimf tańczyły, lecz nigdzie nie mogłem ujrzeć tej, której jedynie szukałem.

¹⁾ Bluszcz był poświęcony Ozyrysowi.

²⁾ Niektóre kapłanki w procesjach na cześć Izydy nosiły na ramionach przyczepione zwierciadelka, ażeby pomnażać i na wszystkie strony rozsyłać wizerunek bogini. *Dupuis, Origines des cultes, t. VIII str. 847.*

W tym stanie gwałtownego wzruszenia stałem czas niejaki, odurzony tą rozmaitością twarzy i światel, jakoteż obłokiem kadzidła, którego wonie rozchodziły się w około—aż zgorączkowany i zniecierpliwiony, nie mogąc dłużej znieść takiego położenia, przecisnąłem się z przedsionka na świeże powietrze, pośpieszyłem napowrót przez aleję sfinksów i rzuciłem się do mojej łódki.

Na północ Memphis ¹⁾ jest ciche jezioro (które w tej porze roku z innemi wodami się łączy), nad jego brzegami stało Necropolis czyli miasto śmierci;—miejsce smętnego majestatu, okryte ołtarzami i piramidami, gdzie niejedna głowa królewska, dumna nawet w śmierci, od wieków powstania swej chwały oczekuje. Wśród rzędu podziemnych pieczar spoczywają niżsi hołdownicy śmierci, na każde następne pokolenie, które ich nawiedza, spoglądając z jednostajną twarzą i niezmiennymi od wieków rysami ²⁾. Każdy krzew, każde drzewo, poświęcone śmierci, od złotogłowu (asphorel) aż do mistycznego jaworu, użycza swej ozdoby lub cienia temu miejscu grobów; a jedyny odgłos, zamącający jego wieczne milczenie, jest cichy szept modlitwy kapłana, gdy nowy mieszkaniec przybywa do tego samotnego obwodu.

¹⁾ Niewiadome jest napewno położenie Memfis; opis podany przez Epikurejczyka zgadza się prawie w każdym szczególe z opisem Maillet'a, niegdyś konsula francuskiego w Kairze.

²⁾ Tym sposobem nie tylko konserwowano ciała rodzin całych, ale przy opuszczaniu ciał ustawiano je w ten sposób, iż można było za jednym razem widzieć wszystkich swych przodków od wielu tysięcy lat i to prawie takich, jakimi byli za życia. *Maillet.*

Ku tej to krainie śmierci, w poruszeniu umysłu tak różnemi miotanego uczuciami, teraz prawie bez zastanowienia skierowałem swą barkę. Postać młodej kapłanki była ciągle przed mym wzrokiem. Zachwycające jej spojrzenie, którego pamięć przewyższała całą wartość rzeczywistych przymileń innych, nigdy nie opuszczała mej duszy. Zagłębiony w takich myślach, płynąłem, zaledwie wiedząc dokąd zmierzam, aż w końcu niespodzianie, znalazłem się pod cieniem Miasta śmierci, podniosłem oczy i ujrzałem wznoszące się przedemną piramida za piramidą ¹⁾, jedna drugą przewyższające, a na szczycie najwyższej, jakoby na podstawie, księżyc zdawał się spoczywać.

Przybijając do brzegu, dosyć wysokiego, aby to milczące miasto grobów przed powodzią osłonić, zwoleńłem wiosła, pozwalając łódce kołysać się z biegiem wody, gdy tymczasem me myśli, puszczone również bez celu, płynęły zwolna jak ona.

Jak rozmaite a nieokreślone były marzenia, które wtenczas przebiegały mój umysł! Świetlane widziadło świątyni mieszało się do wszystkiego. Czasem stała mi w myśli, jak duch napowietrzny, tak czysty, jakby ów żywioł muzyki i światła, w którym przedemną znikła, był jej jedynem mieszkaniem. Czasami ożywiona namiętnością i przeistoczona w istotę ziemską, zdawała się obracać ku mnie wzrok czułości, której wybuch choć chwilowy światami okupiłbym pragnął; to znowu, gdy zawsze mnie dręczące, ponure myśli, wracały,

¹⁾ Vansleb, który zwiedził przeszło dziesięć piramid mniejszych, sądzi, że pierwotnie musiało ich być sto w tem miejscu.

W przedmiocie jeziora na północ Memfis patrz „Shaw's Travels,” str. 302.

widziałem ją zimną, usychającą i zwiędłą w ponurym cieniu tych odwiecznych grobowców.

Gdy, przerażony tą myślą, zawracałem łódź od cmentarza, szelest wiosła przerzynającego szybko wody, uderzył me ucho, i wkrótce ujrzałem mijające mnie szparko i dążące ku brzegowi małe czółno, w którym siedziały dwie kobiety okryte zasłonami. Gdy wysiadły niedaleko od miejsca, gdzie się znajdowała moja łódka w cieniu jednego z pomników nadbrzeżnych, czółno ich zawróciło napowrót z tą samą szybkością.

Nigdy nadzieja jakiejś przygody nie była mi bardziej pożądaną, jak w tej chwili, gdy dla mego serca, tak obawiającego się poddaństwa, wyobraźnia moja wiała ze wszystkich innych najtrudniejsze do zerwania więzy. Zakochać się tak w utworze własnej wyobraźni było najgorszym, bo najdłużej trwać mającym błędem. Tylko rzeczywistość daje sposób rozwiązania takich czarów, a bożyszcze, które teraz dla siebie tworzyłem, musiało zawsze zostać idealnem. Każda więc przerwa, zdolna oderwać mnie od podobnych myśli i zwrócić moję wyobraźnię do ziemi i rzeczywistości z nadpowietrznych krain, w których bujała, była zbyt zbawienną i pożądaną, iżbym się jej skwapliwie nie chwycił.

Uważałem drogę, którą się owe dwie kobiety udały, a przymocowawszy szybko mą łódkę u brzegu, wysiadłem i w małej odległości szedłem za nimi. Ścieżki, któremi postępowały, były kręte, lecz przy jasnym świetle księżyca zdołałem ścigać oczyma ich zwroty, gdy szybkim krokiem przesuwały się pomiędzy pomnikami. Nakoniec w cieniu małej piramidy, której wierzchołek zaledwie przewyższał jawory rosnące wokoło, zniknęły z mych oczu. Pośpieszyłem do tego miejsca, lecz tu ani znaku życia spostrzedz nie mogłem,

i gdyby moja wiara rozciągała się była do innego świata, byłbym sobie zapewne wyobraził, iż te postacie były duchami, zesłanemi z góry dla urągania i—tak w oka mgnieniu znikły. Szukałem w pobliskim lasku, lecz wszystko tam milczenie śmierci zachowywało. Nakoniec, oglądając z uwagą jeden bok piramidy, która opatrzona była stopniami, znalazłem w połowie między wierzchołkiem i podstawą część powierzchni, z pozoru równą, ale zdającą się zawierać ślady ukrytego otworu.

Po rozmaitych usiłowaniach i próbach przycisnąłem nareszcie, bardziej przez przypadek niż przez zrzeczność, sprężynę, która władała tym tajemniczym otworem. Nagle drzwi się odsunęły i odkryły wąskie schody, których pierwsze dwa były widzialne przy świetle księżyca, a reszta w głębokiej była pograżona ciemności. Lubo trudno było przypuszczać, iżby osoby, które ścigałem, mogły się odważyć przejść przez tak ciemny otwór, jednakże jeszcze trudniej było przypisywać ich zniknięcie innemu sposobowi. Na wszelki przypadek ciekawość moja była teraz zanadto zajęta tym pościgiem, aby odstąpić: powab zdarzenia nadzwyczajnego raz wzniecony nie tak łatwo mógł przeminąć. Z tego powodu przesławszy wesołą modlitwę do tej szczęście dającej królowej Lunie, której jednej tylko oczy na mnie spoglądały, puściłem się w głąb piramidy.

ROZDZIAŁ VI.

U końca schodów stanąłem na wązkim i niskim ganku, przez który bez czołgania się po ziemi przejść

było niepodobna. Chociaż się ciągnął przez mnóstwo ciemnych zakrętów, zdawał mi się niedaleko prowadzić, gdyż wkrótce dostrzegłem, iż się wokoło obraca i przy każdym zakręcie w głębszą ciemność prowadzi.

Czyliż to, rzekłem sam do siebie, może być mieszkanie jakiegokolwiek ludzkiej istoty? Ale zaledwie sobie stawilem takie pytanie, gdy długa galerya przedstawiła się mym oczom, a z jej najodleglejszego końca promień światła oczy me uderzył. To pożądane światełko zdawało się pochodzić z celi lub małej alkowy, kończącej jeden bok galeryi. Pełen oczekiwania, tłumiąc oddech, skradałem się cicho ku temu miejscu.

Gdy przybyłem na koniec galeryi, ukazał mi się widok, na który nawet najbardziej zaostrzone oczekiwanie nadzwyczajnego przypadku nie byłoby mnie przygotowało. Miejscem, z którego światło pochodziło, była kapliczka, której wewnątrz z ciemnego ganku, gdzie stałem niepostrzeżony, mogłem dokładnie rozpatrywać. Na ścianach kaplicy były odmalowane niektóre z tych rozmaitych symbolów, któremi mistyczna mądrość Egipcyan historią duszy wyrażać zwykła, to jest: kula ziemską okręcona wężem, promienie z góry spadające nakształt gloriy, i chrząszcz z Teb ¹⁾ taki, jaki się ukazuje, gdy wody opadną i pierwszy promień słoneczny na jego nowozrodzone skrzydła pada.

W środku kaplicy na niskim ołtarzu z granitu, leżały martwe zwłoki kobiety w skrzyni kryształo-

¹⁾ Po upływie Nilu i zapłodnieniu pól, ukazują się niwy odkryte mnóstwem chrząszców. Takie zjawisko zdawało się Egipcyanom najwłaściwszem do odmalowania przyszłego życia. *M. Jomard.*

wej ¹⁾, tak jak umarłych w Etyopii zachowywać zwykli, przez co zwłoki świeżą przedstawiały postać, jakby je dusza przed krótką dopiero chwilą opuściła. Po między godłami śmierci na przedniej części ołtarza spostrzegłem również cienką w środku złamaną łądygę lotosu i ptaka podlatującego ²⁾.

Mało uwagi poświęciłem jednak temu wszystkiemu, bo znajdowała się tam żyjąca istota, która mój wzrok całkowicie zajęła.

Lampa oświecająca całą kaplicę stała w głowach zwłok, zaś pomiędzy mną, a światłem była postać kobieca nad ołtarzem schylona, jakby się w milczące już lica wpatrywała. Ponieważ postać ta zasłaniała mi główne światło, przeto zrazu zaledwie tylko niedoskonalie jej kontur widzieć mogłem; lecz nawet już przy tem serce me było gwałtownie i przypomnienie, jak się okazało, równy w tem miało udział z wyobraźnią, bo gdy jej głowa swe położenie tak dalece odmieniła, iż promień światła padł na jej rysy, spostrzegłem z uniesieniem, które mnie czatującego zaledwie nie zdradziło, iż to ona była, ta młoda kapłanka Izydy, ta sama, którą widziałem podobną duchowi czystszych dziedzin, uświetniającą tajemnicze miejsce gdzie stała.

Poznałem ją, gdy wzięła z ołtarza srebrny krzy-

¹⁾ „Egipcyanie dla konserwowania ciał zmarłych robili także skrzynie szklane.“ *De Pauw*. W innym miejscu wzmiankuje o jakiejś substancji przezroczystej, której w tym samym celu używali Etyopi, a Grecy omyłkowo za szkło brali.

²⁾ Kapłan łamiący łądygę kwiatu, ptaki ulatające—są godłami śmierci i duszy odłączającej się od ciała. *Denon*.

żyk ¹⁾, który leżał na piersiach owych martwych szczątków. Przyciskając go teraz do ust, ucałowała z bogobojnem uszanowaniem; poczem wzniośszy oczy smętnie, została w tej postawie z natchnioną powagą, jakby w tej chwili była w bezpośredniej styczności z niebem, i jakby nie widziała ani sklepienia kaplicy, ani żadnej ziemskiej zapory pomiędzy sobą a firmamentem.

Jakąż moc ma niewinność! Jej własna bezbronność jest jej tarczą, wobec której nawet namiętność zawstydzona stoi i cześć składa na tym ołtarzu, który znieważyc chciała. Ta, która kilka chwil wprzód przedstawiała się mej wyobraźni taką, iż dla posiadania jej byłbym nieśmiertelności odstąpił, którą z radością z jej własnej jaśniejącej świątyni byłbym w obec tych dumnych kapłanów uniósł w tryumfie bez obawy jakiegokolwiek kary świeckiej lub duchownej, aby ją tylko moją nazwać, ta teraz stała przedemną—zdawała się losem samym w moje ręce oddana, wszystkimi wdzięki ozdobna, stojąc, bez żadnej innej obrony, jak swej niewinności. A jednak—tak poruszająca była czystość tego widoku, tak spokojna i poważna ta obrona, którą martwe nad żyjącem rozpościerać się zdawało, iż w chwili gdy na nią patrzałem, każde ziemskie uczucie umilkło w mem łonie i miłość się sama do czci wzniosła.

Jakkolwiek uniesiony się czułem na taki widok, zdawało mi się jednak występkiem, świętokradztwem, korzystać z niego takim sposobem, i byłbym prędzej przeniósł śmierć, aniżeli pozwolił, żeby jej wzrok był

¹⁾ U Egipcyan krzyż był godłem przyszłego życia.

mój napotkał, lub żebym przez najmniejszy szelest przerwał to święte milczenie, w którym miłość nieśmiertelna jednoczyła młodość i śmierć. Cicho, jakby życie od każdego poruszenia zawisło, usunąłem się ukradkiem z tego świętego miejsca — opuściwszy je równie spokojne jak je znalazłem, a przeszedłszy przez też same ganki i zakręty przez które wszedłem, dostałem się do owych wązkich schodów, po których znowu na światło dzienne się wydostałem.

Właśnie słońce weszło i z wierzchołka gór Arabii rzucało swe promienie na obszerną wód płaszczyznę. Pierwszą myślą moją była ucieczka z tego niebezpiecznego miejsca, aby w nowych miłosnych przygodach i zabawach szukać zapomnienia dziwnej sceny, jakiej świadkiem byłem. „Jak tylko wyjdę raz z tego okręgu czarodziejskiego, zawołałem, „znam zanadto moją własną skłonność do nowych wrażeń, iżbym miał wątpić o zerwaniu uroku, który mnie tu otacza.“

Nadaremne jednakże były usiłowania i zamiary moje. W chwili nawet gdym sobie przysięgał uciekać. kroki moje krążyły około piramidy, a oczy zwracały się mimowolnie ku tajemnemu wchodowi, który tę czarującą istotę od świata żyjących odłączał. Godzina po godzinie schodziła, a ja ciągle przechadzałem się po tem mieście milczenia, aż nadeszło południe, i pod jasnym wzrokiem słońca, najwspanialsza z piramid stała bez cienia jakby duch wzniosły.

Znów się wróciły te dzikie namiętne uczucia, które obecność owej istoty na krótki czas w cześć przeistoczyła, i słodko mą wyobraźnię i zmysły ludziły. Sam sobie robiłem wyrzuty za to uszanowanie, co mnie jakby zaczarowanego od niej w oddaleniu trzymało.

Coby rzekli moi towarzysze Ogrodu, gdyby wiedzieli, że ich naczelnik—ten, którego zawód miłość tylu trofeami ozdobiła, teraz za prostą egipską dziewicą wdychał, w której obecności nie śmiał nawet głośnego wydać westchnienia, i która zwycięzcę zwyciężyła, nie znając nawet swego tryumfu.

Czułem rumieniec występujący na me lica na tę myśl poniżającą i przedsięwziąłem czekać na ukazanie się kapłanki. Nie zdawało się podobnem, aby była mieszkanką tych ciemnych jaskiń, a żaden inny wychód nie był widoczny jak przez piramidę. Znowu więc chodziłem tam i nazad jak straż śmierci pomiędzy grobami i porównywałem ponuro gorączkę w mych żyłach z zimną spokojnością tych, którzy około mnie wiecznym snem spoczywali.

Nakoniec jednak, nawet tak silne ciało jak moje nie mogło znieść niszczącego promienia słońca, prostopadłe na mnie spadającego, a bardziej jeszcze niespokojnego wzruszenia serca. Wycieńczony, układłem się pod piramidą jednakże zupełnie przed otworem, tak, iż gdyby nawet sen mnie był opanował, me serce jeśli nie ucho, jeszczeby czuwało, i jej stopa, jakkolwiek lekka, mnie jednakże obudziłaby musiała.

Po długim nadaremnie pasowaniu się, znużenie przemogło—lecz pamięć mnie nie odstąpiła. Jeszcze we śnie ścigał mnie ten sam obraz pomiędzy rozmaitemi widziadłami, któremi wyobrażenia wraz z wspomnieniem mogły go przyozdobić. Już to widziałem ją jako boginię Neithe na tronie w Sais siedzącą, z zasłoną, którą właśnie podnosiła z czoła, jakiego dotąd żaden śmiertelnika wzrok nie ujrzał; już znowu jak nadobną

wrózkę Rhodopę wychodzącą z piramidy, w której przez wieki mieszkała ¹⁾).

Mój sen trwał w tej nieprzerwanej ciszy tak długo, iż przebudziwszy się ujrzałem księżyc znowu wschodzący. Wszystko w około mnie było również milczące i martwe jak wprzód, i żaden ślad na murawie nie okazywał, aby noga inna jak moja po niej przeszła. Pokrzepiony odpoczynkiem i z wyobraźnią jeszcze zaostrzoną przez te cuda, któremi sen ją poił, przedsięwziętem udać się znowu do kaplicy w piramidzie, i tym dziwadłom, które mnie mamily, jeśli podobna, koniec położyć.

Ponieważ doświadczenie zeszłej nocy nauczyło mnie, jak nieprzyjemnie jest błakać się bez światła w tych labiryntach, pośpieszyłem więc przedewszystkiem wziąć lampę, która się w mej łódce znajdowała. Udawszy się przeto nad brzegi, znalazłem w niej nadto kilka daktyłów i suszonych owoców, w które zawsze byłem opatrzony w mych wycieczkach na wodzie, a które teraz, po tylogodzinnem wyposzczeniu się, pożądanym i potrzebnym były posiłkiem.

Poczem, wstąpiwszy znowu po stopniach na piramidę, szukałem tej utajonej sprężyny, gdy zdała ozwał się głośny przerażający odgłos, któremu wszystkie echa cmentarza odpowiedziały. Pochodził on z wielkiej świątyni nad brzegiem rzeki, i był zrządzony skrzypnięciem jej podwojami—podwojami Zapomnienia

¹⁾ Zoega utrzymuje, że Arabowie z powieści o Rodopie powzięli mniemanie, jakoby w jednej z piramid przebywała nakształt geniusza naga kobieta precudnej urody, która swem obliczem wzniecała w ludziach szaleństwo.

zwanemi ¹⁾, gdy się w nocy otwierały, aby w wewnętrzny swój obwód przyjąć przybywających zmarłych.

Już nieraz słyszałem był ten dźwięk, a zawsze z niemimem uczuciem,—w tej chwili jednak przeraził mnie, jak głos złowieszczy, i począłem się namyślać, czy nie odstąpić od zamiaru mego. Lecz to wahanie się było tylko chwilowe, i nawet gdym nad niem rozmyślał, już poruszyłem sprężynę otworu. Po kilku sekundach, znalazłem się znowu w ganku pod piramidą, a mogąc przy świetle lampy prędzej zakręty drogi przebiec, stanąłem wkrótce przy wejściu do małej kaplicy w galeryi.

Z sercem przepelnionem wstąpiłem do niej, lubo teraz żadnej żyjącej istoty tam nie było. Młoda kapłanka znikła jak duch w ciemnościach. Wszystko inne było jeszcze tak, jak zeszej nocy opuściłem. Lampa stała paląca się na kryształowem nakryciu, krzyż leżał tam, gdzie go ręka młodej żalobnicy położyła, a pod nim zimna postać, spokojnym i martwym wzrokiem śmierci spoglądała. Wspominając usta, które ten krzyż całowały, i szczęśliwy tem wspomnieniem, wzniosłem go namiętnie do mych własnych—lecz w tej chwili zdawały się oczy zmarłej na moje spoglądać; przerażony wśród miłosnego uniesienia, złożyłem znowu krzyż na swoje miejsce.

Teraz straciłem wszelką nadzieję wyjaśnienia mojej zagadki i chciałem zwolna powracać, napełniony tą

¹⁾ W Memphis były spiżowe drzwi Lethe i Cocytus (to jest zapomnienia i narzekania) zwane, które w czasie otwierania ponury i przenikający wydawały odgłos. *Zoega*.

ponurą spokojnością, którą zawsze sprawia pewność, jakkolwiek niemiała,—gdy przez zwrot lampy opuszczając kaplicę, spostrzegłem, iż galerya zamiast się tu kończyć, wężowato się na lewo zwracała: co wprzód uszło mojej uwagi, i co obiecywało mi dać przejście w te podziemne kryjówki. Podniecony tem odkryciem, które nowe źródło nadziei otworzyło w mem sercu, rzuciłem tylko wahający wzrok na mą lampę, jakby z zapytaniem, czy mi jej światło wiernem pozostanie w tej ciemności, w którą teraz wedrzeć się postanowiłem, i bez dalszego namysłu pośpieszyłem naprzód.

ROZDZIAŁ VII.

Przejście wiodło czas niejaki przez równie wężkie zakręty, jak te, które mnie doprowadziły aż dotąd,—wreszcie otworzyły się one w prostą i spadzistą galerję, po której obojgu stronach stały gęsto i prosto ustawione rzędy martwych ciał¹⁾, których kamienne oczy, gdy około nich przechodziłem, nadprzyrodzony blask na mnie rzucały.

Doszedłszy do końca tej galerji, nadzieje moje powtórnie zawiedzione znalazłem. Droga, jak postrzegłem, już dalej nie szła. Jedyne przedmiot, jaki przy płomieniu mej lampy, coraz słabiej się tłącej, ujrzałem, był otwór głębokiej studni, tuż przedemną rozwartej—

¹⁾ O zwyczaju chowania zmarłych w postawie stojącej i wprawianiu na miejsce oczu drogich kamieni patrz dr. Clarke, Masoudy i Quatremère.

mieszkanie ciemności czarne i niekształtne. Przyszło mi na pamięć teraz, że o takich studniach słyszałem, iż czasami przez kapłanów używane były za przejścia. Oparłszy się przeto o brzeg, tak daleko jak mogłem zaglądałem uważnie wewnątrz, aby odkryć czyli było możliwem spuścić się w jej głębię; lecz znalazłem ściany tak twarde i ślizgie jak szkło i wysmarowane ową czarną smołą, którą morze Martwe na muliste brzegi wyrzuca.

Po poszukiwaniu bardziej szczegółowem, spostrzegłem w głębi kilku stóp rodzaj żelaznego stopnia, który w ciemności sterczał z jednego boku muru, a jeszcze głębiej drugi, który chociaż zaledwie widzialny, mógł skłonić umysł przedsiębiorczy do spróbowania jego siły. Lubo już znikła cała nadzieja znalezienia śladu młodej kapłanki, bo nie zdawało się podobnem, ażeby kobieca noga tę drogę obrać mogła, jednakże zapuściwszy się już tak daleko, i gdy tu przynajmniej zdawało się podobieństwo odkrycia jakiejś tajemnicy, przedsięwziąłem bądź co bądź zbadać tę przepaść. Przymocowawszy sobie przeto lampę na głowie i mając tym sposobem obie ręce wolne, postawiłem ostrożnie nogę na stopniu żelaznym i tak spuściłem się do studni.

W równoległych odstępach znajdowałem te stopnie aż do znacznej głębokości, i prawie już onych sto narachowałem, gdy i ta drabina ustała i już niżej zejść nie mogłem. Nadaremnie wyciągałem nogę w różnych kierunkach, aby nowy stopień wynaleść, nic jednakże więcej nie napotkałem, jak tylko twarde i śliskie mury. Nakoniec zniżywszy głowę tak, iż światło z lampy padało na dół, odkryłem tuż nad ostatnim stopniem na którym stałem, otwór jakby okna. Będąc pewny, iż

droga tamtędy dalej iść musi, z pewną trudnością wszedłem w niego.

Teraz znalazłem się na wąskich chropowatych schodach, których stopnie były w skale wykute i szły ślimaczym kierunkiem, równie jak studzienne. Schodzenie po nich było niezmiernie utrudzające i zdawały się bez końca; aż nareszcie stanąwszy u kresu, znowu ogromne żelazne drzwi, jakby wzbraniające dalszego postępu napotkałem. Jakkolwiek się zdawały ciężkie i olbrzymie, znalazłem wszakże z wielkiem podziwieniem, iż ręka dziecięcia mogła je była bez trudności otworzyć — tak łatwo uległy memu ujęciu. Zaledwie jednak one przeszedłem, gdy huk z którym się te podwoje zatrzęsły, z taką mocą się rozległ, iż śmierć nawet samą byłby przebudził. Zdawało się, jakby każde echo w tym rozległym podziemnym świecie, zacząwszy od katakumb Alexandryi, aż do tebańskiej doliny Królów ¹⁾, ten piorunowy odgłos ujęły i powtórzyły.

Jakkolwiek hukiem tym przerażony, zwróciłem jednakże całkiem uwagę moją na światło, które teraz me oczy uderzyło, równie miłe i pożądane, jak światło gwiazd rodzinnego Południa żeglarzowi, który długo przez morza Północy żeglował. Gdym się oglądał na źródło tego blasku, postrzegłem przez ganek sklepiony przedemną długą oświeconą aleję, która się tak daleko ciągnęła, jak tylko oko doścignąć mogło, i z jednej strony skłalała się z wonnych zarośli, gdy tymczasem z przeciwnej szereg wysokich arkad się ukazywał, z których światło całą przestrzeń zapełniające jaśniało.

¹⁾ O echach w piramidach patrz Plutarcha: De placitis philosoph.

Gdy już odgłos echa doliny skonał—obił się o me uszy dźwięk muzyki i śpiewów, który w oddaleniu słodszy i miększy, z kilku obszernych gmachów za temi arkadami zdawał się wypływać. Pomiedzy głosami mogłem wyraźnie odróżnić i kobiece, wysoko i czysto nad innymi się rozlegające, jakby wskazując cel, do którego się muzyka w swem dążeniu wznosiła.

Wyobraźnia moja przez te nagłe czary tak była podniecona, iż lubo nigdy ani jednego dźwięku z ust młodej Egipcyanki nie słyszałem, w głębi serca jednak przekonany byłem, iż ten głos ze wszystkich najczystszy i najczarowniejszy, nad całym chórem panujący, był głosem jej, która jak daleki duch ze swego świata do mnie przemawia i na mnie woła. Tą myślą ożywiony, przebiegłem szybko sklepiony ganek, powstrzymały mnie jednak ku wielkiemu mojemu żalowi kraty, których w oddaleniu nie dostrzegłem, a które teraz stawiały opór wszelkim usiłowaniom moim.

Nadaremnie wstrząsając kratami, ujrzałem po lewej stronie ganku, ciemny skalisty otwór, który zdawał się prowadzić równolegle do oświeconych arkad. Pomimo niecierpliwości mojej, cofnąłem się jednak przerażony, gdym bliżej spojrział w to przejście. Nie było ono zupełnie ciemne, lecz w bladym półświetle migotało, jakby mgłą osłonięte, w której, jeżeli mnie mój wzrok nie zwodził, wybladłe, widmom podobne cienie się poruszały.

Gdym niespokojnie spoglądał w około, aby mniej straszne wyjście znaleźć, postrzegłem na wysokich podwojach przez które wszedłem, niebieski drżący płomyk, który poruszając się przez czas niejaki na ciemnem tle wierzchniej framugi, w ognistych literach następująco tworzył słowa:

Ty co śmiało się narażasz,
 Przez straszliwe doświadczenie,
 I nie patrząc wstecz — nie zważasz
 Na śmierć lub dalsze istnienie.
 Ty co pragniesz — niech z twej duszy
 Mocą grożących katuszy,
 Pierworodną plamę zetrze,
 Ogień, Woda i Powietrze.
 Jeśli serce twe bez trwogi,
 Za nic waży śmierć lub życie,
 Idź wśród niebezpiecznej drogi
 Po czyste światła nabyć.
 Światło to wywiedziesz z ciemnic,
 Które wśród boskich tajemnic
 Niedostępnem wszystko czyni,
 Zasłona naszej świątyni.
 Lecz jeśli —

Tu ginęły litery w ciemnem prózmem miejscu, które jednak okropniej zrozumiało było, niż najwymowniejsze słowa.

Nowa nadzieja ożywiła mnie teraz. Sen w Ogrodzie, o którym od niejakiego czasu zupełnie zapomniałem, wrócił mi na pamięć. Jestem tu — zawołałem, na drodze do tej obiecanej zagadki? Czyliż wielka tajemnica wiecznego życia ma w istocie być moją?

„Tak!“ zdawał mi się z powietrza odpowiadać ten głos nadziejski, który jeszcze w chórze ze swą osobliwą lubością tętnił. Z uniesieniem powitałem wróżbę jako przyjazną. Miłość i nieśmiertelność, obie pędziły mnie naprzód: któżby patrząc na tak świetną podwójną nadzieję, mógł jeszcze myśleć o bojaźni? Tak więc pełen ufności, błogosławiąc tę nieznaną wie-szczkę, której kroki mnie aż do tego mieszkania tajemnicy i mądrości sprowadziły, rzuciłem się do jaskini.

Lecz w miejsce niepewnego straszego półświatła, które wprzód me oczy postrzegały, znalazłem się teraz wchodząc w najgłębszej ciemności, wprawdzie mniej strasznej, lecz w tej chwili dla mnie bardziej zatrważającej, gdyż moja lampa, która mi przez czas niejaki stała się niepotrzebną, teraz już wkrótce zgasnąć miała. Z przedsięwzięciem jednak korzystania z jej światła aż do ostatniego jej tchnienia, biegłem szybkim krokiem przez to ciemne przejście, które przestrzeń i bardziej powietrzu przystępne się zdawało, niż wszystkie inne, dotąd przebyte. Niezadługo okazanie się jasnego światła w odległości, oznajmiło mi, iż teraz pierwszą moją główną próbą będę miał do odbycia. Skoro się zbliżyłem, płomienie zewsząd wzdłuż i wszerz się dobywały, a widok jaki się mi teraz przedstawił, byłby zatrwożył umysł więcej nawet od mego z niebezpieczeństwem oswojony. Przedemną bowiem leżał, zalegając zupełnie moją drogę, gęsty gaj, złożony z najpalniejszych drzew Egiptu, tamaryndów, świerków i arabskich drzew gumowych. Około ich pniów i gałęzi kręciły się węże ogniste ¹⁾, które, wijąc się jak strzały, szybko z jednej gałęzi na drugą i płomieniem rzygając, drzewo po drzewie pożarem ogarniały. Tak się w rzeczy samej rozszerzył, jak pożar trzciny w Etyopii, którego łuna w nocy daleko odległe katakta Nilu oświeca ²⁾.

1) „Sądzić można, że w misteryach te zjawiska daleko lepiej wykonywano za pomocą jakiej kompozycyi palnej, której tajemnica zaginęła, tak jak ognia gregoryańskiego“ *De Pauw*.

2) „Rzeczywiście niema innego środka jak podpalić te lasy trzciny, które wtedy szerzą blask równy światłu dziennemu“. *Maillet*, t. I, str. 63.

Przez środek tego palącego się lasu szła, jak dostrzegłem, jedyna dla mnie drożyna. Pożar rozpościerał się ze wszech stron coraz bardziej i już wązka ścieżka była ogniem posypana. Cisnąłem więc na nie mi już teraz nie przydatną lampę i wzniosłszy nieco suknią nad głową, drżąc cały, rzuciłem się w płomień.

Zrazu, jakby moja obecność żywiłowi nowe życie nadała, wybuchał zewsząd gwałtowniej. Drzewa stapiały się, tworząc ogniste sklepienie nademną, a węże, które sykając z palących się gałęzi zwieszały, sypały gdym przechodził deszcz iskier na mą głowę. Nigdy odwaga i przytomność umysłu nie były potrzebniejsze jak teraz. Jeszcze minuta dłużej, a byłbym zgubiony bez ratunku. Wąskie przejście, które tak szybko przebyłem, zamknęło się całkiem za mną, a gdym się obejrzał aby zobaczyć przebytą próbę ogniową, postrzegłem, że cały lasek już tylko jednym był płomieniem.

Szczęśliwy, iż pierwszą tę próbę potrafiłem przemieścić bez szwanku, zerwałem ze świerka gałązkę, która dopiero co się zapaliła, i z nią, jako z mym jedynym przewodnikiem, pośpieszyłem bez tchu dalej. Kilka zaledwie kroków uszedłszy, ujrzałem przy świetle przebytego pożaru, iż droga zmieniała się nagle i wiodła na bok w szczuplejsze miejsce, skąd chłodne powietrze, jakby z bliskości wód, lica me owiało. Niedaleko też zaszedłszy, usłyszałem szelest spadku wody ¹⁾, czasami, jak mi się zdawało, połączony z jękami, podobnymi do krzyków ludzi znajdujących się w niebezpieczeństwie

¹⁾ Pliniusz powiada, że Nil był wpuszczany do podziemi piramid.

lub nieszczęściu. Za każdym krokiem, rósł szmer burzących się wód, i spostrzegłem teraz, że wstąpił w niezmierną jaskinię, przez środek której pędziły wysoko wzbijające się bałwany, których war słyzałem. Na ich powierzchni dostrzegłem dziwne, widmom podobne, postaci, które zanurzając się w wodzie wydawały przeraźliwy okrzyk, jakby z trwogi przed otchłanią, ku której pędzone były.

Aż nadto łatwo pojąłem, iż tę wzburzoną wodę przepłynąć mi należało. Niebezpieczeństwo było wielkie, lecz na odwadze cała ma spoczywała nadzieja. Co mnie na przeciwnym brzegu czekało nie wiedziałem, bo wszystko było w nieprzejrzaną ciemność osłonięte, a słabe światło mej gałązki, niedaleko sięgało. Odrzucawszy więc wszystkie myśli na bok, oprócz tej, aby dążyć pośpiesznie naprzód, ze skały na której stałem skoczyłem w nurty, usiłując prawą ręką pokonać prąd, zaś drugą palący się krzew trzymać w powietrzu tak długo, dopóki jeszcze na niem tliła się iskra, któraby mnie na przeciwny brzeg doprowadzić mogła.

Długa i okropna była walka, którą musiałem wytrzymać. Nieraz, bystrością fali porwany, sam się już przeznaczeniu oddawałem, otoczony ciągle widziadłami, które zawsze jeszcze krzyki śmiertelnej trwogi wydawały, i w obawie abym do jakiej jeszcze niedostrzeżonej przepaści przez nie nie był porwany.

Nakoniec, gdy już siły moje zupełnie się wyczerpały i ostatnie resztki gałązki z mej ręki wypadły, postrzegłem naprzeciw mnie w wodzie cienką podwójną poręcz ze stopniami wewnątrz, która prawie pionowo z wód się wznosiła, niknąc w gęstym obłoku nademną. To spojrzenie, bo tylko raz okiem rzucić mogłem, nim światło moje zagasło, dodało mej odwadze sił no-

wych. Mając teraz obie ręce wolne, rozpaczliwemi usiłowaniami, po walce kilkochwilowej, uderzyłem czołem o schody, i natychmiast stąpiła noga moja na ich stopnie.

Uradowany z wydobycia się z tych groźących uurtów, lubo nie wiedziałem dokąd te schody prowadziły, szybko wszedłem na nie. Lecz uczucie radości krótko trwało. Nie wysoko jeszcze uszedłszy, postrzegłem z przerażeniem, iż każdy stopień, skoro go noga moja opuściła, odrywał się, zostawiając mnie w powietrzu z jedynym środkiem postępowania jeszcze tą drabiną i w obawie czyli wytrzyma dalej me kroki.

Tak przez niejaki czas idąc w górę, gdy nic podemną się nie znajdowało jak tylko to straszne morze, nagle uspokojone, słyszeć mogłem pluskanie upadających szczebli; gdyż każdy szczebel, skoro tylko nogę z niego podniosłem, w wodę zapadał. Ta chwila była okropna, lecz nastąpiła straszliwsza. Czuję teraz jak poręcz, za którą trzymałem się wchodząc w górę i która dotąd zdawała się mocną, zawahała się w mych rękach, gdy tymczasem stopień, któremu się powierzyć zamierzałem chwiał się pod moją nogą. Właśnie teraz nagle światło jakby błyskawicy zajaśniało i postrzegłem blisko z obłoków wielką obręcz wiszącą nademną. Wiedziony instynktem zachowawczym wyciągnąłem rękę, aby ją uchwycić, a w tym samym momencie zapadły się też schody i poręcz nademną, i zostałem tylko zawieszony rękami nad ciemną przepaścią. I jakby ta potężna obręcz, której się trzymałem, jakąś mocą czarodziejską ze wszystkimi wiatry niebios stała w styczności, zdawało się, iż za mem dotknięciem, jakby przez przyciśnienie ukrytej sprężyny, rozpuszczone były wszystkie wichry i burze, jakie kiedykolwiek ska-

ły nadbrzeżne morskie trupami i szczątkami rozbitych statków okrywały—i gdy tak, jako ofiara tej walki żywiołów, w różne strony byłem miotany, każdy nowy wybuch ich zawziętości, zdawał się chcieć mnie jak żagiel podczas burzy na części rozedrzeć.

Lecz to jeszcze nie było najokropniejsze. Nagle uczułem się, niepojętym sposobem, jakby przez obręcz trzymanym; tysiące wichrów wzniosły i obracały mnie w krąg wśród tego zagłuszającego chaosu, jak kamień na procy, aż uczułem wirowy bieg mózgu. Już tracić zacząłem przytomność i wyobrażałem sobie, iż leżę na tem kole piekła, którego obrót, jak powiadają, jedynie tylko wieczność liczyć może.

Ludzka siła już takiej próbie dłużej poddać nie była w stanie; już odchodziłem od zmysłów, gdy naraz gwałtowność burzy ustała, kręcenie mnie przez powietrze wolniało, i spostrzegłem, jak się obręcz zwolna ze mną spuszczała, aż ma stopa znowu powitała ziemię, i czułem się tak szczęśliwy, jak ten który się z rozbicia okrętu uratuje, i pierwszy krok stawia na lądzie.

W tej chwili najprzyjemniejsze światło nappełniło powietrze. Z odległości tętniły dźwięki harmonijne, takie, jakie często we śnie słyszałem; a gdy moje oczy stopniowo znowu mocy widzenia nabierały, rozpostarł się przed niemi widok świetności, który zawspaniały nawet byłby na utwór wyobraźni; tu jednak był życiem i rzeczywistością. Tak daleko, jak oko dosięgnąć mogło, postrzegłem zachwycające ogrody, które się przez rozległe równiny światła i zieloności ciągnęły; wszędzie wodotryski błyszczące, do źródeł życia podobne, szumiały pomiędzy kwiatami. Żadnego tu nie brakło wdzięku, o którym wyobraźnia poety lub wieszczka w obrazie Elizyum kiedyś marzyła lub obiecywała je.

Widoki otwierały się na okolice za ledwie pomyśleć się mogącej wspaniałości—wody połyskiwały, tu i owdzie w swym biegu okrytym cieniem; labirynty kwiatów wiodły przez tajemnicze zakręty ku zielonym obszer-
nym dolinom pełnym powabu i spokojności; a nad
wszystkiem tem unosiło się światło z nieznanego źródła,
nierówne temu, jakie naszą ziemię oświeca, lecz zdawa-
ło się być rodzajem złotego światła księżyca, które
gorący promień dnia ze spokojnym i smętnym brzaskiem
nocy łączyło.

I na mieszkańcach nie brakło w tym słońca poz-
zbawionym raj. Wśród wszystkich tych pięknych
ogrodów przechadzały się z wypogodzonymi licami
i lekkimi ruchami szczęśnych duchów, grona młodych
i podeszłych, sędziwych i przyjemnych postaci, z któ-
rych większa część białe kwiaty Nilu na głowach i ga-
łązki wiecznych palm nosiła, gdy tymczasem, piękne
dzieci i nadobne dziewice płały przy czarującej mu-
zyce, której źródło równie jak światła było niewidzial-
ne, a jednak całe powietrze swą mistyczną napełniało
lubością.

Jakkolwiek byłem wycieńczony przez odbyte pró-
by, sam widok, nawet oddalony, tych nadobnych po-
staci sprawił, iż zapomniałem znużenia ciała i umysłu.
Myśl, iż ta której szukałem, znajduje się może pomię-
dzy niemi, radosnem przejęła mnie uczuciem i pomimo
uszanowania, jakim mnie widok najcudowniejszych tych
zjawień napełnił, chciałem się udać ku nim, aby moje
nadzieje urzeczywistnić, gdy się uczulem wstrzymanym
za odzież, i skorom się obrócił, ujrzałem poważnego
człowieka przedemną, którego po świętej barwie jego
sukni jako hierofanta poznałem. Podając mi gałązkę
poświęconą drzewa palmowego, rzekł poważnym gło-

sem: „Badaczu Tajemnic—bądź pozdrowiony!“, a wpatrując się potem we mnie przez chwilę z surową uwagą, dodał przyjaznym i życzliwym tonem: „Zwycięztwo nad ciałem otrzymane! Pójdź za mną młody Greku na miejsce spoczynku.“

Byłem posłuszny w milczeniu, a kapłan zawróciwszy od tej sceny świetności do ubocznej drogi na której światło, im dalej postępowaliśmy nikło coraz bardziej, zaprowadził mnie do małego pawilonu nad mrużącym strumykiem, gdzie bożek snu zdawał się sam panować, a wskazując na łożo z suchych liści maku tam się znajdujące, zostawił mnie spoczynkowi.

ROZDZIAŁ VIII.

Jakkolwiek widok, który się dla mnie z taką świetnością otworzył, jak chwilowe w inny świat spojrzenie, na krótki czas ożywił me siły i umysł, jednakże znużenie tak silnie opanowało mnie całego, iż gdyby nawet postać młodej kapłanki stanęła była przedemną, nie zdołałbym przyjąć jej w omdlałe objęcia. Zaledwie układłem się na łożo z liści, sen, jak gwałtowna śmierć mnie zmorzył, i leżałem kilka godzin w głębokim niewzruszonym spoczynku, jakiego nawet najmniejszy objaw życia nie przerywa.

Obudziwszy się, ujrzałem tego samego sędziwego człowieka, który mnie zeszedł nocy w tym podziemnym świecie przywitał. U nóg mego łoża stał posąg dłuta greckiego, przedstawiający dziecię skrzydlate pomiędzy kwiatami lotosu zgrabnie stojące, z palcem prawej ręki na ustach. Ta postawa, oraz promienie około jego

czoła, oznaczały, jak już wiedziałem, bożka milczenia i światła ¹⁾).

Niecierpliwy dowiedzenia się, jakie dalej próby mnie czekały, chciałem mówić, gdy kapłan zawołał nagle: „Milcz,“ a wskazując na ów posąg rzekł: „Niechaj urok tego bożka spoczywa na twych ustach młody cudzoziemcze, aż mądrość twych nauczycieli uzna za potrzebne przywrócić im władzę. Nie bez przyczyny bożek ten przełożony jest nad milczeniem, równie jak nad światłem, gdyż tylko z głębi milczącego dostrzegania wielkie światło duszy, Prawda, wypływa.“

Mało przywykły do słuchania rozkazów lub ostróg, byłem bliskim śmiechu, gdy kapłan znowu mnie wstrzymał; a w tej chwili dwaj młodzieńcy, piękni jak młodzi geniusze gwiazd, weszli do pawilonu. Ubrani byli w długie śnieżne szaty i niesli każdy mały złoty puchar w ręku. Postępując ku mnie, stanęli na przeciwnych bokach łoża i jeden z nich podając mi swój puchar, rzekł w pół śpiewnej mowie:

Wypij z tej czary — z niej pije
Ozyrys ²⁾, władca podziemi;
Gdy zgonu chwila wybije —
Nią dzieli się z umarłemi.

Wypij z tej czary — jej woda
Chłodna jak Lety strumienie,
Spokój sumienia ci poda
I wszystkich trosk zapomnienie:

¹⁾ „Nakoniec Harpokrates przedstawiał słońce. Prawda, że był to także bożek Milczenia; trzymał palec na ustach, gdyż w pełnem uszanowaniu milczeniu oddawał cześć Słońcu. Wreszcie Harpokratesa wyobrażano siedzącego na lotusie, który był kwiatem słońca.“
Hist. Żyd.

²⁾ Ozyrys pod imieniem Serapisa uważany był za władcę podziemnego świata, i miał znaczenie Plutona w mitologii Egipcyan.

Rozkosz, której uludzenia
 Przyszłość w smutną boleść zmienia;
 Nauka, którą gdy pozna,
 Dusza, srogich cierpień dozna,
 I nadzieja, co się rodzi
 Niby jezioro w pustyni,
 Oczom tylko urok czyni,
 Ale smak gorzko zawodzi;
 I miłość, za której śladem,
 Wieniec z kwiatów się uwija,
 Z pod których niszczącym jadem
 Chytra razi serce żmija;
 Wszystko fałszywe i złe się zjednoczy,
 Co znała dusza, co ujrzały oczy,
 I razem zniknie w czarze zapomnienia,
 Jak gdyby nigdy nie miało istnienia.

Aby przy tym dzikim obrzędzie nie okazać lekce-
 ważenia, nachyliłem się z największą powagą i wypró-
 żniłem puchar. Zaledwie to jednak uczyniłem, gdy drugi
 młodzieniec podał mi swój, i w słodszy jeszcze niż
 towarzysz tonie śpiewał co następuje:

Wypij z tej czary — Kiedy w niebios godła,
 W promiennym kręgu Izys dziecię wiodła,
 Rzekła, mieszając napój w skutkach dzielny:
 Wypij z tej czary — będziesz Nieśmiertelny!
 I mnie zarówno powtórzyć ci trzeba,
 Dziedzicu szczytnej wspaniałości nieba,
 Słabość i zgubę wstrzyma napój dzielny,
 Wypij z tej czary — będziesz Nieśmiertelny!

Jakkolwiek się starałem utrzymać czujność mej
 filozofii przeciw omanieniom, które jak wiedziałem, aż
 nadto były liczne w tych regionach, jednakże młodzie-
 niec ten dotknął takiej sprężyny mej wyobraźni, której
 się, jak spostrzegłem, cała moja znajomość świata
 oprzeć nie mogła. Zaledwie słowa: „będziesz Nieśmier-

telny!“ odbiły się o me uszy, sen w Ogrodzie stanął mi w najżywszych kolorach na myśli, i na wpół z łoża się zrywając, wyciągnąłem rękę do pucharu. Lecz zaraz się pomiarkowawszy i aby nie zdradzić przed innymi tej słabości, dla której tylko tajemnie w sobie znaleźć mogłem pobłażanie, znów z przymuszonym uśmiechem obojętności opuściłem się na łożo, gdy tymczasem młodzian, nie zważając na me poruszenia, śpiewał dalej, z czego tylko te ostatnie słowa pochwyliłem:

Pamięć zbudzona wspomnienia śni,
 Zleca postaci szczęśliwych dni,
 Gdy dusza niebo swym domem zwała
 I skrzydła do lotu miała.
 Połyski chwały wciąż przed oczyma,
 Jak słońce gdy promień ostatni ciśnie,
 Mówią, co było niegdyś, czego nie ma,
 Lecz co znów jasno rozbłyśnie.

Te zapewnienia nieśmiertelności, jakkolwiek za czeze i urojone je uważałem, byłyby w każdej innej chwili złudziły mą wyobraźnię marzeniami o przyszłości, ale usiłowałem poskromić samego siebie, i słuchałem ich obojętnie.

Napiwszy się jeszcze i z drugiego pucharu, spojrzełem znowu na hierofanta, aby się upewnić czyli wstać mogłem:—zezwoił,—a dwaj młodzieńcy przynieśli mi odzież wierzchnią i tunikę, która, równie jak ich była lniana i śnieżnej białości. Dopomogli mi przywdziać tę świętą suknię, kładąc mi zarazem na głowę wieniec mirtowy, z którego ciemnych liści złota szarańcza ¹⁾, jako godło inicjacyi jaśniała.

¹⁾ Szarańcza była poświęcona słońcu jako muzykalna.

Wprawdzie sen wzmocnił mnie znacznie, lecz jeszcze czegoś brakło, aby mi stracone siły przywrócić— z większą przeto przyjemnością niż na puchar nieśmiertelności młodziana, patrzałem na skromny stół, który teraz zastawiano. Posiłek składał się ze świeżych owoców z wyspy Ogrodów ¹⁾ na Nilu, z lekkiego mięsa antylopy z pustyni, z soku z winnic na górach królowych w Anthylla, który jeden młodzieniec przez ciągłe powiewanie liściem palmowym utrzymywał w świeżości.

Posiliwszy się, z radością przyjąłem propozycję kapłana przejścia się wspólnego i rozmyślenia wśród widoków spotykanych. Nie zapomniałem był tego Elizyum, które wczoraj wieczorem przed memi leżało oczyma;—owych czarujących ogrodów, owej tajemniczej muzyki i światła, oraz tych powabnych postaci, które w niem przechadzając się, jakby wśród najwyższego szczęścia szukały go jeszcze. Nadzieja, która mnie wówczas ożywiała, znalezienia pośród tych jaśniejących gromad dziewicy, której szukałem, obudziła się teraz w całej sile we mnie. Nie wątpiłem ani na chwilę iż mój przewodnik znowu mnie do tego Elizyum powiedzie, i że ta istota, tak godna w niem mieszkać, ponownie się oczom mym pokaże.

Lecz zupełnie odmienna była okolica dokąd mnie poprowadził; a niepodobna sobie w całej naturze bardziej ponurej i dzikszej wystawić. Była to wązka samotna dolina, zamknięta z obu boków przez spadziste i nagie skały, aż do niebios wznoszące się. Bo w rzece samej ujrzałem pomiędzy ich wierzchołkami świecący niebieski firmament, którego słaby tylko na wpół

¹⁾ Wyspa Anthirhodus w pobliżu Aleksandryi.

tej przepaści sięgający blask, nadawał temu podziemnemu światu światło mdłe i smętne ¹⁾. Z boków tych murów skalistych rzucał się wodospad, którego źródło znajdowało się na powierzchni ziemi, a na wierzchołku spływających wód, jeszcze się błyszczący promień słońca odbijał, jakby dla boleśniejszego wrażenia jak świetny opuszczały zawód; bo odtąd lał się strumień coraz ciemniejszy i w swym wysokim spadku przez sterczące skały i przepaści przerywany, mdłą tocząc pianę, niki w małej rzece pod górami płynącej, raczej jako cień tego, czem był na ziemi.

Nic smutniejszego i bardziej ponurego nie było nad widok tej rzeki. Nie brakło jej wprawdzie na ozdobach, otaczających wody w Egipcie. Lotus wznosił i tu swą kiść srebrzystą, a szkarłatny flamingo bujał ponad nurtami. Lecz i to nie było tem, czem na powierzchni ziemi: kwiat zamiast żywej białości nosił śniadą i żółtawą barwę, a skrzydła ptaka mdłe były i wyblakłe. Wszystko w około miało cechę tylko połowy życia, a krzyk czapli z pośród tataraku i pluskanie wód cisnących się z wierzchołka skały, stanowiły jedyne tony, które tę smętną przerywały ciszę.

W całym tym obrazie leżało coś tak ponurego i przerażającego, iż żaden, nawet najweselej usposobiony umysł, nie byłby się oparł jego wpływowi. Skoro kapłan spostrzegł, że i ja niem przejęty byłem, rzekł: „Takie okolice są najwłaściwsze do świętego przysposobienia ducha, jakie przystoi temu, który się zbliża

¹⁾ Przy pierwotnej budowie tych podziemnych grodów, przebito w wielu miejscach ziemię aż do jej powierzchni, nie dla pozyskania światła, lecz dla świeżego powietrza, które temi otworami wchodziło.

do wielkiej tajemnicy przyszłości. „Patrz!” i to mówiąc, wskazał na otwór nad naszemi głowami, przez który mogłem ujrzeć kilka gwiazd ¹⁾ na niebie błyszczących, lubo słońce przed chwilą dopiero na południe stało. „Patrz, jak my z tej ciemnej głębi, możemy widzieć gwiazdy, które teraz mieszkańcom oświeconej ziemi są niewidzialne, tak się równie odsłania korzającemu się i skruszonemu duchowi niejedna tajemnica niebios, o której ci, w świetle dumnej ziemi żyjący, żadnego nie mają wyobrażenia.“

To mówiąc zaprowadził mnie do siedzenia wykutego w skale czyli niszy, obok której stał posąg ponurego bożka, władającego nad państwem śmierci ²⁾. I na jego rysach rozpostarła się ta sama blada grobowa barwa, którą nosiły wszystkie tej dzikiej doliny przedmioty. Prawą ręką wskazywał na dół, jakby dla okazania, iż jego czarne królestwo tam leży. Jawor, to ulubione drzewo posłańców Śmierci, stał za posągiem i rozciągał ramiona nad niszą, w której teraz kapłan zasiadł i mnie skinieniem miejsce obok siebie wskazał.

Po długiej przerwie, jakby namysłu i przysposobienia, rzekł do mnie: „Młody Greku! Odbyłeś pierwszą próbę inicjacji odważnie. Co jeszcze pozostaje, jest wprawdzie największej wagi dla duszy, nie przynosi jednakże ciała ani męki, ani niebezpieczeństwa. Po

¹⁾ „Przez te otwory widać było w jasny dzień gwiazdy, a nawet niektóre planety podczas ich największej północnej szerokości, a kapłani korzystali z tego zjawiska i w różnych godzinach obserwowali przejście gwiazd.“ *Sethos*.—*Strabo* wspomina o piwnicach czy studniach zbudowanych umyślnie do obserwacji astronomicznych w okolicy Heliopolis.

²⁾ Ozyrya.

wypróbowaniu i wyczyszczeniu ziemskiego naczynia przez trzy ordalia, Ognia, Wody i Powietrza, najbliższem jest naszym powołaniem oczyszczenie twojej duszy, przeistoczenie twej wewnętrznej i nieśmiertelnej części tak, aby była zdolną do przyjęcia ostatniego świętego objawienia, kiedy zasłona przybytku świętości wzniesiona zostanie i największa z tajemnic odkryta będzie dla ciebie. Do tego najpierwszym i najważniejszym krokiem jest nauka. Czem owe trzy czyszczące żywioły, przez które przebyłeś, były dla ciała, tem będzie nauka dla“ —

„Lecz ta powabna dziewczica!“ zawołałem, przerywając milczenie; gdyż podczas jego mowy w głębokie wpadłem marzenia, w których zapomniałem o kapłanie, o sobie samym, o owej wielkiej tajemnicy, o wszystkim, oprócz niej samej.

Ostępiały tem bezbożnem przerwaniem, rzucił trwożliwy wzrok na posąg, jakby się obawiał, iż bożek słowa moje usłyszał. Poczem zwróciwszy się do mnie, rzekł dalej tonem słodkim i poważnym: „aż nadto jest widocznem, iż myśli ziemskie i czcze rozkosze świata zajmują cię jeszcze zabardzo, żeby nauki prawdy zakorzeniły się skutecznie w twem sercu. Kilka godzin spokojnego rozmyślenia w tem zaciszu—tego zbawienego rozmyślenia, które zarazem przetwarza, zagłębiając nas w politowanie nad nami samemi, uczyni cię zdolniejszym do przyjęcia z poszanowaniem świętej i nieśmiertelnej nauki, już dla ciebie przygotowanej. Z tą nadzieją zostawiam cię teraz twym własnym myślom i temu bóstwu, przed którego spokojnym i żalobnym wzrokiem znika próżność świata, z którego przybywasz.“

To mówiąc odszedł zwolna i nagle jakby cudem znikł z mych oczu za posągami, na który przy ostatnich słowach wskazał, oddalając się.

ROZDZIAŁ IX.

Zostawiony własnym myślom, w samotności miałem czas zastanowić się z zimną krwią nad niewłaściwością a może nawet nad niebezpieczeństwem położenia, w jakie mnie zamiłowanie przygód wprowadziło. Jakkolwiek wyobraźnia moja łatwo się zapalała w swojej sferze idealnej, zawsze, jak tylko zetknąłem się z rzeczywistością, marzenia którym się oddałem, pełzły, jak owe meteory, podobne do gwiazd, gdy są w powietrzu, ale gasnące, gdy tylko dotkną ziemi. Pod wpływem wyobraźni nawet nieśmiertelność nie wydała mi się niemożliwą do zdobycia, ale przyrzeczenie nieśmiertelności przez ludzkie usta wyrzeczone, zdawało mi się urąganiem, a nawet wyobraźnia straciła już swą lotność, by po za grób jeszcze się unosić.

Nietylko ogarnęło mnie rozczarowanie, teraz i nieroztropność mego postępków stanęła mi w całej obszerności przed oczyma. Sam się oddałem w ręce najchytrzejszych kapłanów w świecie, bez widoku uniknięcia ich sidła lub usunięcia się przed kuglarstwami, jakich przeciw mnie używałyby mogli. Ze wszystkiego tego, co zaszło podczas mojej inicjacji, było widocznem, iż mój wstęp do piramidy nie był dla nich niespodziany. Szpiegi świętego kolegium w Memfisie byli tak liczni i czynni, iż nie mogło dla nich być tajemem, wszystko, co od chwili mego przybycia czynilem; tyle czasu spę-

dzanego na krążeniu około i przy piramidzie, świadczyło o ciekawości, która tym chytrym kapłanom mogła uczynić nadzieję okucia Epikurejczyka w swe zabobonne więzy.

Znałem dobrze ich nienawiść ku Szkole, której byłem naczelnikiem; wiedziałem, że Epikurejczyków narówni z chrześcianami za swych najstraszliwszych nieprzyjaciół uważali. „Jakże więc nierozważnie,“ zawołałem, „poddać się było w położenie, w którym jestem! Równie bezbronny przeciw ich podstępom lub gwałtom, muszę albo udawać, iż jestem łupem ich oszustwa, lub stać się ofiarą ich zemsty.“ Z tych przeciwności, jakkolwiek obie były wstrętne, ostatnia zdawała mi się nierównie pożądanszą. Rumieniłem się na myśl nawet o kuglarstwach, na które dotąd patrzyłem, i widok odbywania dalszych obrządków i przyjmowania opieki i nauk od obłudników, którymi pogardzałem, zdawał mi się w tej chwili doświadczeniem cierpliwości—w obec którego płomienie i wichry, jakie przebyłem, były zabawką.

Często i niecierpliwie wznosiłem oczy z pomiędzy skalistych murów na niebiosa, które na ich wierzchołkach zdawały się spoczywać—szukając w każdej stronie doliny wyjścia. Lecz wszystko było nadaremne. Wyniosłe skaliste ściany, które zaledwie w obłokach kończyć się zdawały, zewsząd były widoczne. Nawet obraz młodej dziewicy nie używał mi już pociechy ani nadziei, lubo był sercu memu nieodstępny. Na cóż mi się przyda, że i ona może mieszka w tych ogrodach, kiedy ani jej wdzięku widzieć, ani jej głosu słyszeć nie mogłem; kiedy w chwilach, gdy ja tu czas trawie między nauczającymi kapłany, ona uroku swej obecności gdzieindziej udziela?

Nakoniec rzuciłem się znużony nad brzegiem rzeczki, oddając się zupełnie zasepionym marzeniom. Blade światło, które dotąd mnie otaczało, co chwila stawało się słabszem i znikomem. Nawet blask na wierzchołkach skał zniknął i światło słoneczne zamieniło się w brzask jakiś bardziej niż ciemność niemiły. I ptaki nad rzeką opuszczały głowy, jakby chciały z uchodzącym światłem umierać, a gdy spojrzałem na posąg, mocniejsze cienie nadawały żalobnym jego rysom wyraz, który mnie aż do głębi duszy przeraził.

Teraz myśl o śmierci, zawsze skora do przedstawiania się mej wyobraźni, opanowała ją, jak ciężar cisnący z mocą, jakiej dotąd nie doznałem. Sądziłem, że już sam znajduję się w ciemnej pieczarze grobowej, odłączony na zawsze od świata i tylko sen wieczny mając przed sobą. Wiedziałem bardzo dobrze, jak to już często się zdarzało, iż ci którzy zwiedzili te tajemnicze podziemia, znikli tak, iż nic więcej o nich ani wiadziano, ani słyszano. Dla uchybienia przy próbach wtajemniczenia musieli resztę swego życia w ciemnych więzieniach przepędzić, w które te krainy równie jak w ołtarze obfite były. Ta myśl, iż podobny los i mnie czeka, przeraziła mnie, i tak dręczyła, iż nawet powątpiewanie we mnie znikło, i bliski byłem oddania się najokropniejszej rozpaczy.

Wreszcie po kilku godzinach tak ponurych medytacyi, usłyszałem szelest w świętym lasku za posągiem, a wkrótce potem głos kapłana, który mi teraz był pożądanym aniżeli bym był sądził, bo dawał mi uczuć, iż jeszcze niezupełnie opuszczony jestem. Kapłan zbliżył się w ciemności do mnie i zaprowadził mnie znów tam skąd wyszliśmy byli. Przez drogę mó-

wił głosem, w którym ani śladu nieukontentowania nie było, zajmując mą uwagę wskazywaniem niektórych z tych boskich prawd, przez wpojenie których w duszę człowieka, jak twierdził, jedynie tylko jej oczyszczenie skutecznie być może.

Tymczasem dolinę okryła tak głęboka ciemność, iż zasiadłszy, nie byliśmy w stanie nawet twarzy naszych rozeznąć. W głosie mego nauczyciela leżała jakaś smętność, która posępności w około nas zupełnie odpowiadała. Wzruszony i milczący, słuchałem z pokorą, lubo nie z zajęciem, wzniosłych, lecz niestety, jak sądziłem, czczych zasad, które ten hierofant z zapalem wierzącego rozwijał.

Mówił o istnieniu duszy ¹⁾, o jej przebywaniu od wieków w mieszkaniu szczęśliwości, którego wszystko, cokolwiek tylko wyobraźnia nasza pięknego wystawie sobie może, jest jedynie cieniem, słabem widziadłem, wspomnieniem. „W błękitnych głębiach eteru, mówił—leżała ta Kraina Duszy—a granica jej jedynie jeszcze jest widzialna przez drogę mleczną, która ją przez mur gwiazdzisty od ciemnej odłącza ziemi.“ „O grodzie Czystości! Siedlisko jeszcze nieupadłego ducha! gdzie w dniach swej pierwotnej niewinności przebywał, nim piękność jego ziemskim dotknięciem splamiona została, i świetne opadły go skrzydła! Czyliż mi się zdaje,“ zawołał, „jakbym je widział przede-

¹⁾ Pełny wykład doktryny tu przedstawionej dla wtajemniczonych w misterye egipskie podaje *Dupuis, Poitichard, Analysis of the Egyptian Mythology etc.* „Objaśniano pochodzenie duszy, jej upadek na ziemię i powrót do miejsca pochodzenia... to była część metafizyczna, której nie podawano zwyczajnym wtajemniczonym, ograniczając się do widowisk, postaci i widziadeł alegorycznych.“ *Dupuis.*

mną w tej chwili, owe błonie światła ¹⁾. Spoglądam wstecz przez chmury tego życia w ów świat jaśniejący, gdzie dusze, które jeszcze z swej wysokości nie spadły, nieskażone bujają pomiędzy błyszczącymi gwiazdami i mieszkają razem w nieskończonej doskonałości i szczęściu!⁴

Gdy te słowa mówił, czyste i jasne światło ²⁾, jakby się niebiosa nagle otworzyły, wypełniło dolinę, a skoro me oczy blask jego znieść zdołały, ukazał mi się widok tak powabny i wspaniały, iż nawet umysł mój powątpiewający przejął zadziwieniem, i potędze tych czarów w oka mgnieniu go poddał.

Zawieszony, jak mi się zdawało, w powietrzu, i całą naprzeciw mnie leżącą część doliny zajmujący, ukazał się okrąg światła, przez którego promienisty pierścień, dokładnie dostrzedz mogłem grona młodych kobiecych duchów, w cichem lecz harmonijnem poruszeniu zwolna jak gwiazdy krążące, a przez miarowe wznoszenie i opuszczanie rąk, tworzące żywy labirynt wdzięku i gracyi. Lubo ich stopy zdawały się spoczywać na polu światła, miały one równie skrzydła najbogatszej barwy, które jak tęczę nad wodotryskiem, gdy powiew zefiru niem igra, co chwila odbijały nowe promienie blasku.

Gdy jeszcze tak zdziwiony stałem, okrąg światła wracał zwolna do ciemnego pustego miejsca, to zmniej-

¹⁾ Patrz *Beausobre*, ksiąg. III, r. 4, o ziemi błogosławionej i świetlistej, gdzie według Manichejczyków Bóg mieszkał.

²⁾ Produkcowanie światła nagłego i oślepiającego przez spełnianie dawnych Misteryi tak opisuje Apuleusz, którego przypuszczono do obrzędów Izydy w Koryncie: „*Nocte media vidi solem candido coruscantem lumine.*“

szając się, to nabierając jasności, aż ten mały świat duchów, podobny w oddaleniu uchodzącemu komecie, jak punkt światła zabłysnął i znikł. „Idźcie,“ zawołał zachwycony kapłan, „duchy szczęśliwe, których mieszkańca słaby brzask uderzył nasze oczy, idźcie! przebywajcie w waszym kręgu przez niezmierzone niebiosa, i niech żadna myśl o tym znikomym świecie nie miesza swego zakalu w waszą boską naturę lub pokusza was do tego upadku na ziemię, przez który duchy równie świetne, jak i wy, zniszczały!“

Tu nastąpiło milczenie, w ciągu którego wyobraźnia moja, zachwycona jeszcze przez te cuda, mieszkańcom tej świetnej kuli towarzyszyła. Pragnąłem nieledwie być tak łatwowiernym, aby uwierzyć w niebo, którego mieszkańcy byli temu, co najwięcej na ziemi kochałem, podobni.

Nakoniec kapłan mówił dalej z westchnieniem o różnicy, jaką teraz między temi szczęśliwemi duchami, któreśmy dopiero widzieli chciał okazać, i temi, które na ziemię upadły, ciągnąc dalej swą zasmucającą historią duszy. Kreślił stopniowo wszystko od pierwszej jej żądry ziemskiej, aż do ostatniego jej zapadnięcia się w cienie tego świata, i zatrzymując się przy każdym szczeblu tego coraz większego upadku z świątobliwą powagą, która jak najgłębiej serce me żalem napełniła. O pierwszym spojrzeniu ducha na ziemię, o drzeniu jego skrzydeł w progu niebios, o strasznym upadku i o puharze letejskim z którego jedna kropla niebo zapomnieć każe; przez wszystkie te stopnie kreślił smutny upadek, aż do ostatniego stanu ciemności, kiedy już duch zupełnie zatopi się na tej ziemi, a boska jego natura całkiem się zmienia: już nad ziemię wznieść się nie może, ani nawet wspomnieć swego nie-

gdys siedliska, gdy to, co tylko jest wspomnieniem za nadzieję bierze, sądząc je być światłem przyszłości, nie zaś już upłynionego szczęśliwego stanu.

„Wstrzymać zagładę tej niegdys szczęśliwej duszy, chmury ziemskie otaczające ją rozpędzić, i zwrócić jej postradane skrzydła dla wzniesienia się do niebios—taka,” rzekł poważny kapłan, „taka jest wzniosła dążność naszej wiary, i taki tryumf tych boskich tajemnic, w których życie i zasady onej leżą. Jakkolwiek upadła, zmieniona i zachmurzona może być dusza, tak długo jednak, dopóki promień, pierwotnego światła w niej zostaje, jest jeszcze nadzieja, iż” —

Tu głos jego przerwany został przez silny dźwięk żałobnej muzyki, której słabe i dalekie tony już wprawdzie wprzód słychać było, a teraz w pełnej harmonii się rozlegały. W tej chwili nappełnił także lekki brzask dolinę a niedaleko od miejsca, gdzie siedzieliśmy, mogłem dostrzedz zasłoniętą postać kobiecą do ziemi zniżoną, jakby ją troski cisnęły lub wstyd upokarzał.

Światło, przy którym ją postrzegłem, pochodziło z bladego podobnego księżycowi meteoru, który się sam za zbliżaniem muzyki w powietrzu utworzył, i na skały równie jak na rzekę rzucał blask tak martwy, jak ten, przy którym zmarli w swem siedlisku na się spoglądają; również muzyka zdawała się wznosić z jeziora, jakby z powierzchni jego zimnych wód powstająca, wyrażała w każdej nucie jakąś rzewność, której określić nie podobna; a gdym słuchał jej dźwięku i patrzył na tego upadłego ducha (gdyż takim była ta postać, jak mi święty człowiek podszeptnął), doznałem tak silnego wrażenia, iż przejęty trwogą oczekiwałem, co dalej nastąpi.

Niedługo też zniżona postać wzniosła się z wolna: powietrze około niej rozjaśniało, a błądy meteor nade mną nabrał świetnego i żywego blasku. Zasłona dotąd twarz widma zakrywająca, stawała się coraz przezroczystszą, a rysy jeden po drugim widoczniej się przebijaly. Z rosnącym drżeniem uważałem stopniowe ożywienie tego widziadła; teraz wszakże zerwawszy się z mego siedzenia zawołałem pół głosem: „to on!” Jeszcze chwila, a zasłona lekka jak mgła znikła zupełnie i młoda kapłanka Księżyca stała po raz trzeci przed memi oczyma.

Pośpieszyć natychmiast do niej, było pierwszym mym zamiarem—lecz wstrzymało mnie ramię kapłana. Nowe światło, które teraz ze wszech stron płynęło, zbierało się jak aureola nad miejscem, gdzieśmy stali. Po smętnych dźwiękach ozwały się tony najczarowniejszej muzyki, a młoda dziewica w blasku takim, jak mieszkańcy owej kuli światła, otoczona promieniami, jakie niegdyś na nią w świątyni spadały, wznosiła się w powietrze.

„Wstrzymaj, się zachwycające widmo—wstrzymaj!” wykrzyknąłem, wrywając się z rąk kapłana i rzucając się na ziemię, aby tak moje podziwienie, czyli raczej cześć, jaką przejęty byłem, okazać. Lecz znikający duch nie słuchał słów moich, dążąc w ciemność, jak ów okrąg, w którego ślady zdawał się pośpieszać, a postać jego stopniowo gasnąca, znikła nareszcie zupełnie. Wpatrując się ciągle, aż znikł ostatni promień światła, prawie pozbawiony przytomności, dozwoliłem odprowadzić się memu poważnemu przewodnikowi do łoża z liści makowych, gdzie pozostawił mnie spoczynkowi, o ile go po takich scenach używać mogłem.

ROZDZIAŁ X.

Widok, którym zostałem upojony w dolinie zjawisk — jak zwano miejsce, gdzie byłem świadkiem tylu cudów — wrócił memu sercu wszystkie te nadzieje i życzenia, które je podczas mego zstępowania w te podziemne grody napępniały. Raz znowu widziałem nieporównaną istotę, która była mą przewodniczącą gwiazdą w tym świecie tajemniczym; i nie było wątpliwości, że miała związek z objawieniami, jakie mnie jeszcze czekały. W naukach mego poważnego przewodnika, leżała też taka wzniosłość i nawet taka miła nadzieja, którą mi w przyrzeczeniach nieśmiertelności wskazywał, iż oba te powody, mimo oporu mego rozsądku, siadły jednak mą wyobraźnię i dumę.

Przyszłość zajęła już odtąd drugie miejsce; terazniejszość i jej bóstwo skojarzyły się ze wszystkim, co me serce napępniało. Tylko dla takich przedmiotów uważałem nieśmiertelność jako pożądaną, a bez niej wieczne życie nie wartoby nawet było westchnienia. Postanowiłem odtąd poddać się każdej próbie cierpliwości i wiary bez szemrania. Jakaś przyjazna okoliczność, tak sam sobie pochlebiałem, zbliżyć mnie mogła do przedmiotu mojego uwielbienia i podać mi sposobność powitania jako niewiasty śmiertelnej tej, która dotąd była dla mnie widmem, cieniem.

A chwila mego wtajemniczenia była niedaleka. Ciało i dusza odbyły już próby właściwe, a najlepszym dowodem oczyszczenia tej ostatniej, była moc wejścia w świat duchów, jaką się w dolinie zjawisk okazałem obdarzony; jeszcze tylko pozostawała do mojej inicjacyi ta noc, kiedy w świątyni Izydy i przed jej

odsłoniętym wizerunkiem, ostatnie wielkie objawienie tajemnic dla mnie odkryte być miało.

Poranek dnia następnego przepędziłem w towarzystwie poważnego kapłana, który od początku zajęty był trybem mej nauki i który teraz równie, aby mnie przejąć należnem poszanowaniem dla mocy i wzniosłości swej wiary, prowadził mnie przez rzędy oświeconych galeryi i ołtarzy, ciągnących się pod miastem Memfis jego okolicami i piramidami, tworząc pod ziemią równe temu wyniosłemu miastu grody pomników.

Teraz szedł ze mną jeszcze głębiej w zakręty sklepień, gdzie leżało siedm tablic kamiennych, znalezionych przez Hermesa w dolinie Hebron. „Na tych tablicach,” rzekł on, „jest cała mądrość ludzi przedpotopowych spisana, bieg gwiazd od początku czasu; historia jeszcze wcześniejszego świata i wszystkie te cudowne tajemnice ziemi i nieba, które bez tego klucza zaginęłyby były wśród powszechnego potopu.”

Wracając, zwiedziliśmy po kolei mnóstwo małych ołtarzy, na których stały wszystkie przedmioty czci Egipcyan, co podało kapłanowi sposobność wytlómaczenia mi tajemniczej natury czci oddawanej zwierzętom i subtelnym naukom teologii, które pod temi kształtami ukryte leżały. Każdy z tych ołtarzy poświęcony był oddzielnej czci i obejmował żyjący obraz bóstwa, które czcić należało. Obok kota z Memdes ze świecącą gwiazdą na piersiach, ujrzałem krokodyla, jaki w Arsinoe czcicielom onego przedstawiony bywa, z drogiemi kamieniami w niezgrabnych uszach i bogatemi obrączkami złotemi na nogach. Tu w naczyniu pełnem wody pływał poświęcony karp z Lepidotum, połyskując srebrnymi łuszczkami; kiedy tymczasem węże Izydy zwolna nad ołtarzem wiły się, w takich po-

ruszeniach, które na ich czcicielach lepsze czyni wrażenie ¹⁾. W jednej z najnniejszych kaplic znaleźliśmy nadobne dziecię, które złote chrząszcze karmiło i strzegło, dla ich blasku za godła słońca uważane, gdy tymczasem w innej, święty Ibis stał na swym postumencie, tak podobny z barwy i postaci ptakowi młodej kapłanki, iż byłbym chętnie sam zgiął kolana, aby dla jej wspomnienia korną cześć mu złożyć.

Po zwiedzeniu tych różnych kapliczek zaprowadził mnie mój przewodnik do wielkiej sali Zodiaku, na której sklepieniu odmalowana była świetnemi i niezgasłemi kolorami mapa firmamentu, jaki się okazywał przy pierwszym rozmierzchu czasu ²⁾. Pokazując mi tu bieg słońca pomiędzy gwiazdami, mówił wymownie o podobieństwie między moralną i fizyczną ciemnością, o sympatyi, jaką wszystkie żyjące stworzenia czują dla słońca, tak iż tęsknią i więdną, kiedy ono do swej zimowej półkuli się zniża a radują się, gdy swój bieg promienny znów rozpoczyna. Stąd te obchody i hymny, któremi prawie wszystkie narody odrodzenie się jego promienistego kręgu pozdrawiają, jako godło i zakład wzniesienia się duszy do niebios; stąd te śpiewy smętne i obrządki żałobne—podobne misteryom Nocy na jeziorze w Saïs, w których oplakują jego jesienne oddalenie, jako godło upadku duchów w tym świecie śmierci.

Takimi rozmowami zajęte upływały godziny, i lubo w tych pozbawionych słońca przestrzeniach nic

¹⁾ Kiedy węże pożywały ofiarę i wily się zwolna około ołtarza, wróźono stąd dobrze. *De Pauw.*

²⁾ O rozmaitych uroczystościach w różnych okresach stanu słońca w wiosnie i w jesieni patrz *Dupuis i Pritchard.*

oku ubytku dnia nie dowodziło, własne me jednak poczucie oznajmiło mi, iż się noc zbliża; i wbrew mojemu niedowiarstwu nie mogłem wyrzec się promienia nadziei, im bardziej zbliżała się chwila objawienia, w której Tajemnica moją stać się miała. Cel ten był jednak jeszcze nie tak bliski jak mniemałem. Cierpliwość moja jeszcze raz miała być wystawiona na próbę. Musiałem, jak teraz mi oznajmiono, większą część nocy spędzić na czuwaniu w Świątyni, sam i w ciemnościach, i tak samotny przysposabiać się w rozmyślaniu do tego ważnego momentu, kiedy jasność z za świętej zasłony na mnie się roztoczy.

W oznaczonej godzinie opuściliśmy Salę Zodiaku i przez rzędy marmurowych galeryi, gdzie lampy coraz słabiej się tliły, doszliśmy aż do zupełnej ciemności. Tu kapłan ująwszy mnie za rękę, sprowadził po wielu stopniach do miejsca równie ciemnego, mówiąc głosem drżącym, jakby trwogą poszanowania tknięty: „Jesteś teraz w świętym przybytku naszej bogini Izydy, i ciemne zasłony, które jej obraz zakrywają, wiszą przed tobą.“

Po napomnieniu mnie z powagą do oddania się myślom, najwłaściwszym w miejscu w którym się znajdowałem, a przede wszystkim tej zupełnej i niewątpliwej wierze, z jaką jedynie do objawienia takich tajemnic przystępować należało, święty mąż pożegnał się ze mną i odszedł znowu po schodach—gdy ja tymczasem tak czułem się tą głęboką ciemnością jakby czarownemi więzy skrępowany, iż ostatni odgłos jego kroku skonał w moich uszach, za nim poważylem się poruszyć i zmienić postawę, w jakiej mnie zostawił.

Widok długiego, przepisanego mi czuwania przerażał mnie. Nawet niebezpieczeństwo, gdyby mi się

było w czynnym okazało kształcie, byłoby znośniejsze nad tę nużącą spokojność, w której jedyna cnota cierpliwość doświadczona być miała. Przekonawszy się przeto, jak daleko około mnie znajduje się przestrzeń wolna od przeszkód, starałem się chodzeniem około tych krańców tam i nazad, czas skrócić, aż nareszcie znudził mnie jednostajny odgłos moich kroków. Doszedłszy do czegoś, co wziąłem za ogromną kolumnę, i oparłszy się o nią, oddałem się tłumowi myśli i uczuć zupełnie odmiennych od tych, jakimi mnie hierofant chciał natchnąć.

„Jeżeli ci kapłani, myślałem sobie, posiadają tajemnicę życia, czemu sami stają się łupem śmierci? Czemu wstępują do grobu trzymając puhar nieśmiertelności w ręku? Lecz nie — pominąwszy przechwałki — nieśmiertelność, którą tak rozrzutnie przyrzekają, odnosi się do innego, do przyszłego świata — gotowy to wykręć wszystkich kapłańskich obietnic — skarbnica powietrznych rękojmi wszelkich wier. Tamten świat! Niestety gdzie on leży? jakiż duch do nas wrócił z oznajmieniem, iż tam życie istnieje?“

Konkluzya, na którą się wreszcie na wpół ze smutku na wpół z namiętności zgodziłem, była ta, iż życie jest tylko snem chwilowym, nigdy nie wraca, i dla tego każdą szczęśliwość tam obiecaną, mądry tu zapewnić sobie powinien. A że mi żadne niebo, jak mi je wystawiali kapłani-marzyciele, ani połowy tej pewności szczęścia nie obiecywało, jak ten uśmiech, który zeszej nocy ujrzałem: „niech,“ zawołałem niecierpliwie, uderzając o potężną kolumnę aż dźwięk wydała, „niech tylko nadobna kapłanka stanie się moją, a chętnie tu za nią odstąpię wszystkich nadziei na nie-

śmiertelność, jaką tylko połączona mądrość dwunastu świętyń egipskich może mi ofiarować.“

Zaledwie te słowa wymówilem, gdy rozległ się straszliwy odgłos, jakby grzmotu nad świątynią i zdawał się jej mury wstrząsać. Ze wszystkich stron doływały się niebieskie żywe światełka jak mieczyki, okazując mi chwilami ogromny przybytek w którym stałem, jego błękitne sklepienie obsiane gwiazdami, jego w górę wzbijające się olbrzymie kolumny i ową czarną, tajemniczą zasłonę, która jak ogromny żagiel ciągnęła się od ziemi aż do sklepienia i pod swemi fałdami błyszczącą wspaniałość ołtarza zakrywała.

Nudne czuwanie tak mi się uprzykrzyło, iż nawet burzliwe i niebezpieczeństwem grożące oświecenie, podczas którego świątynia na swych fundamentach trząść się poczęła, nie było nieprzyjemną przerwą wyczerpującej mąj cierpliwość jednostajności. Po krótkim jednakże czasie błyskanie ustało; huk umilkł, jak oddalającego się grzmotu wśród przepaści, i nastąpiło milczenie i ciemność grobowa.

Oparłszy się więc znowu o filar, zwróciłem wzrok ku ołtarzowi, skąd przyrzeczone objawienie ukazać mi się miało, i postanowiłem spokojnie tej ważnej chwili oczekiwać. Blisko godzinę spoczywałem tak obojętnie i niewzruszony, gdy naraz ujrzałem na brzegach ogromnej zasłony wąski promyk światła, jakby za nią jasny blask się roztaczał, równy tej obwódce, jaka otacza obłok przy zachodzie słońca, gdy promienie wybijają się z po za niego.

Z każdą chwilą powiększała się ta cząstka osłoniętej jasności, aż wreszcie ów promień przez ciemność otaczającą wzmocniony, stał się dla oka niepodobnym do zniesienia i zapowiadał blask oslepiający. Moja

ciekawość wzrosła teraz do najwyższego stopnia i zapomniałem o całym sceptycyzmie który ochładzał mą duszę. Te cuda, które mi się od czasu opuszczenia powierzchni ziemi objawiły—owo spojrzenie w Elizyum pierwszej nocy mego przybycia, mieszkańcy tego kraju duchów w tajemniczej dolinie, wszystko kazało mi się spodziewać w tem ostatniem najświetniejszym objawieniu zjawisk i wspaniałości, które nawet wyobraźnię przechodziły i żadnego powątpiewania nie dopuszczały, iż mniej do ziemi niż do nieba należą.

Z tak rozbudzoną wyobraźnią oczekując tego, co będzie, spostrzegłem większy przypływ światła, i serce mi głośno bić zaczęło, gdy podnosił się jeden rożek owej ogromnej zasłony. Teraz, sądziłem, wielka tajemnica, jakiegokolwiek jest rodzaju, odkryta mi zostanie. Jakaś nieokreślona nadzieja przebiegła me serce—pod wpływem wyobraźni—iż świetne przyrzeczenie mego snu w Ogrodzie było bliskie spełnienia.

Z zadziwieniem jednak, a nawet i niemalą przykrością postrzegłem, iż ów ciężki róg zasłony tylko tyle się odłonił, ile potrzeba było na przesunięcie się postaci ludzkiej—i znów potem opuścił się na ową mistyczną światłość. Przy blasku jednak, jaki się z pod zasłony wydobył i wychodzącą postać oświecił, widziałem w rzeczy samej, lub wystawiałem sobie, że widzę te same powabne rysy, które mnie tak często chwilowym widokiem swych wdzięków łudziły, i których przeznaczenie zdawało się ścigać me serce tak nieustannie, jak ów młyń lubo czyzy sen o nieśmiertelności.

Olśniony krótkotrwałym blaskiem, zaledwie miałem czas zapytać się samego siebie, czyli widzenie moje nie było złudzeniem wzroku, gdy usłyszałem cichy

odgłos kroków, zbliżający się ku mnie. Za chwilę jakaś postać stanęła przedemną, delikatnie koniec wstążki w mą rękę złożyła, i rzekła drżącym szeptem: „Idź za mną i milcz!”

Było to tak niespodziane i dziwne, że przez chwilę wahałem się, w obawie, iż wzrok mnie zawiódł co do osoby, którą miałem przed sobą. Spojrzałem na zasłonę, która właśnie miała odkryć wielką tajemnicę, i nie wiedziałem co czynić, gdy uczulem lekkie pociągnięcie wstążki z drugiego końca. To poruszenie, nagle jak czarowne dotknięcie skutek wywarło. Bez dalszego namysłu poddałem się milczącemu wezwaniu i postępując za mą przewodniczką, idącą o kilka kroków przedemną, zostałem sprowadzony pod te same marmurowe schody, któremi mnie kapłan do świątyni był przywiódł. Przybywszy na ich szczyt, nieznajoma przyspieszyła kroku, i ja też, obejrzawszy się raz jeszcze na zasłonięty ołtarz, którego światłość coraz bardziej roztaczającą się zostawiliśmy za sobą—pośpieszyłem w ciemność naprzód, pełen zaufania, iż za tą, która teraz trzymała drugi koniec wstążki, przez świat cały ochotnie iść mogłem.

ROZDZIAŁ VI.

Tak szybko przez moją niewidzialną przewodniczkę wiedziony byłem przez te labirynty, iż nie miałem czasu zastanowić się nad dziwacznością przygody, w którą się sam poddałem. Znany mi charakter kapłanów memfickich, oraz przestraszające wieści, które mnie dochodziły o losie, jaki częstokroć spotyka niedo-

wiarków w ich mocy zostających, wzbudziły na chwilę podejrzenie zdrady w mej duszy; lecz skoro znów na oblicze mej przewodniczki wspomniałem, na jej widok w kaplicy, na jej anielskie spojrzenie, którego sama pamięć już czystość w każde serce przelewać musiała, podejrzenie nikło, i sam się przed sobą rumieniłem, iż choć na chwilę w sercu mem miejsce znalazło.

Tymczasem, droga nasza wiodła przez bardziej jeszcze powikłane zakręty ¹⁾, niż te, któremi dotąd szedłem, a których ciemności nigdy ani iskierka światła nie oświecała. Moja niewidzialna przewodniczka szła wciąż w tej samej odległości przedemną, a wstążkę, którą tak silnie trzymałem, jakby była nicią Przeznaczenia, jej pośpiech ciągle trzymał w wytężeniu. Nakoniec zatrzymując się nagle, rzekła zaledwie oddychając, pół głosem: „Siądź tutaj!“ i zaprowadziła mnie za rękę do jakiegoś niskiego wózka, na który, stosując się do jej woli siadłem, a ona równie szybko miejsce obok mnie zajęła.

W tej chwili ozwał się brzęk jakby poruszonej sprężyny, a wóz, który jak to czułem wsiadając, wisiał nad spadzistą przepaścią, poruszony z miejsca, puścił się jak strzała prawie prostopadle w otchłań wśród ciemności, z szybkością, która mnie zrazu tchu pozbawiła. Koła ślizgały się lekko i bez szelestu w kolejach na dół, a siła, z jaką się wóz staczał, wpędziła go na wzgórze będące teraz na naszej drodze, z wierz-

¹⁾ Nietylko starożytni pozostawili nam opisy nadzwyczajnych wydrażeń podziemnych w różnych stronach Egiptu—1500 izb pod labiryntem—podziemne stajnie w Tebaidzie na tysiąc koni—krypty w Wyższym Egipcie przechodzące pod łożyskiem Nilu i t. p., ale i u Arabów krążą dotąd podania o tych cudownych budowlach.

chołka którego znów stoczył się w głąbią jeszcze dłuższą i spadziastą niż pierwsza. Tak szła droga kilka razy na dół i pod górę, aż wreszcie wóz z najwyższego wzgórze zjechał na płaską równinę, na której zwołna ryjąc piaszczystą ziemię ustawał w biegu i wreszcie zupełnie się zatrzymał.

Teraz nieznamoma wyskoczywszy podała mi po wtórnie wstążkę i znowu szedłem za nią, lubo już nie tak śpiesznie, gdyż teraz przebywaliśmy wilgotne i spróchniałe schody, trudne do przebycia dla niepewnej i znużonej nogi. Już miałem zamiar wesprzeć ją przewodniczkę, której siły ustawiające postrzegłem, gdy nagle skrzyknięcie otwierającej się nademną bramy i błądy promień światła, który w tej chwili padł na jej postać, oznajmił mi, iż nareszcie dostajemy się pod światło dzienne.

Radośnie postępowałem ku otworowi i przy wzmagającym się świetle, mogłem już rozpoznać, iż znajdowaliśmy się teraz wewnątrz wielkiej zniszczonej świątyni, — a weszliśmy do niej przez otwór pod wysokim postumentem, na którym niegdyś stał posąg bózka miejscowego. Pierwszym uczynkiem wiodącej mnie dziewczycy było, zamknąwszy otwór, rzucić się na kolana i wzniesć ręce jakby w modlitwie dziękczynnej lub błagalnej, nie spojrzawszy nawet na mnie. Nie była jednakże w stanie utrzymać się w tej postawie; siły jej były wyczerpane. Padła zemdlona na ziemię.

Odurzony zdarzeniami zesłej nocy, stałem kilka chwil w głębokim wzruszeniu, prawie nieprzytomny, z wzrokiem w nią wlepionym. Wnet jednakże w gorączkowym mojem usposobieniu przypomniałem sobie o odżywczym wpływie świeżego powietrza, i wzięwszy ją delikatnie na ręce, pośpieszyłem przez ganek, ota-

czający wewnętrzną część świątyni, i udałem się do przedsionka. Tu zasłaniając jej wzrok przed słońcem, złożyłem ją na stopniach, gdzie chłodny wietrzyk, właśnie z północy idący, po przez kolumny na nią powiewał.

Była to w istocie — teraz dopiero ujrzałem to z pewnością — ta sama piękna tajemnicza dziewczica dla której w ten podziemny świat wszedłem, i która teraz wśród tak dziwacznych i niepojętych zdarzeń, stała się znów mą przewodniczką do światła słonecznego. Spojrzałem w około, chcąc widzieć gdzie jestem, i ujrzałem tak czarujące widoki, iż gdyby błada leżąca przedemną postać nie była uwagi mojej wyłącznie zajęła, byłbym z rozkoszą przyglądał się kolejno wszystkim tym malowniczym pięknościom.

Znajdowałem się albowiem na małej wyspie, wśród Jeziora Moeris, a ten przybytek, w którym, dobywszy się z ciemności, stanęliśmy, stanowił część rozwalin świątyni, która, jak się później dowiedziałem, niegdyś w Memfis była miejscem pielgrzymki dla wiernych ze wszystkich części Egiptu. Rozległe jezioro, z którego wód niegdyś wznosiły się gmachy, pałace i piramidy, lubo teraz tych ozdób pozbawione, miało jeszcze zawsze równą świetność i powab, wyższe nad wszelkie inne w tym rodzaju miejsca. Podczas gdy brzegi jego jeszcze usiane były domami i świątyniami, świadczącymi o zamożności żyjących jego mieszkańców, głos przeszłości odzywał się w niezliczonych ruinach, których wierzchołki tu i owdzie z po nad wód w szczerzniętych kształtach sterczały, świadcząc o dawno już upłynionych czasach i wygasłych pokoleniach, przed których olbrzymiami szczątkami cała wspaniałość

obecna upokorzona się zdawała. Nad częścią południowego brzegu jeziora, sterczały ponure zwaliska Labiryntu. Jego dwanaście królewskich pałaców, przedstawiających mieszkanie Zodyaku — jego grzmiące bramy ¹⁾ i gwiazdziste sklepienia pozostawiły po sobie tylko kilka wałących się ruin, które odbijając się o gaiki oliwne i akacyowe w około, zdawały się rozpościerać posępną wielkość na całą okolicę i urągać się z uśmiechającej ich zieloności.

Działanie powietrza na młodą kapłankę, wolniejsze było, aniżeli się spodziewałem; jej oczy były jeszcze zamknięte, a postać blada i bez czucia. Strwożony, oparłem teraz jej głowę, którą dotąd na mem ręku trzymałem, o stopień kolumny, podłożywszy wierzchnią mą odzież, i pobiegłem do jeziora po wodę. Świątynia stała wysoko a zejście było spadziste. Spuściwszy się jednak jak najspieszniej na dół, zerwałem z rozłożystego drzewa, które się nad wodą uginało, liść szeroki wklęsły, jaki Hebom Nilu służy za czasę, zaczerpnąłem w niego wody i pośpieszyłem ze świeżym napojem do świątyni. Nie bez trudności wszakże udało mi się ponieść go aż do miejsca, i kilka razy rozlawszy wodę, wracałem, aby zaczerpać jej ponownie.

Podczas tego, młoda dziewica wróciła do przytomności, i w chwili, gdym się szczęśliwie na urwisko góry wdrapał, wstała ze stopni, trzymając rękę na czole, jakby sobie zwolna przypominać chciała, co z nią zaszło. Zaledwie mnie spostrzegła, wydała okrzyk prze-

¹⁾ „Quorundam autem domorum (in Labirintho) talis est situs, ut adaperientibus fores tonitruum intus terribile existat.“ *Plinius.*

strachu. Niespokojnie spojrzała w około siebie, jakby szukając pomocy, i cichym głosem wyrzekła słowa: „Gdzie on jest?“, a gdy się do niej zbliżał, chciała się schronić do świątyni.

Stałem już wszakże przy niej, a gdy jej rękę lekko pochwyciłem i zapytałem: „Kogo szukasz nadobna kapłanko?“ — tak po raz pierwszy, przerywając nakazane mi przez nią milczenie, tonem, który uspokoić musiał i najtrwożliwszy umysł, obróciła się drżąca i z wzrokiem na świątynię zwróconym, zapytała przytłumionym głosem: „Gdzież się znajdować może ten poważny Ateńczyk, ten filozof, który“ —

„Tutaj, tutaj,“ zawołałem, przerywając jej nagle — „tu przy twoim boku, — ten sam, który cię ujrzał wychodzącą z pod zasłony świątyni, któregoś po nici przez te podziemne przeprowadziła labirynty, i który teraz rozkazu z twych ust oczekuje, aby życie swoje na twe poświęcić usługi!“ Podczas gdy to mówiłem, obróciła się z wolna i spojrzała mi trwożliwie w oczy: lica jej żywy okraślił rumieniec, i rzekła nakoniec tonem wątpliwości i podziwienia: „Ty!“, zakrywając wstydliwie oczy rękoma.

Nie wiedziałem, jak sobie mam tak niespodziane przyjęcie tłumaczyć. Było rzeczą pewną, iż tu zachodzić musiało nieporozumienie czy omyłka, lecz całe to zdarzenie było mi tak niepojęte, iż nadaremniebym usiłował część onego rozjaśnić. Słaba i wzruszona, zaledwie doszła stopni świątyni, siadła na nich i oparłszy głowę o jedną z zimnych kolumn marmurowych, oddała się przez czas njejaki, jak się zdawało, niespokojnemu biegowi myśli; ja zaś czekałem w milczeniu jej rozkazu, nie bez przeczucia, które okazało się proczem, że odtąd mój los z jej połączonym będzie.

Jakkolwiek gwałtowna była owa dręcząca ją walka wewnętrzna, niedługo trwała. Nagle wstała, rzucając wzrok przestrachu na świątynię, jakby obawa rychłej pogoni jej postanowienie ustaliła; i wskazując z żywością na wschód, zawołała: „Teraz do Nilu! Jak najspieszniej!“ Co gdy zaledwie wyrzekła, złożyła ręce jakby dla złagodzenia gwałtowności rozkazu mi danego, i rzuciła na mnie wzrokiem, któryby nawet i w sercu stoika miłość był rozżarzył.

Ani chwili nie ociążałem się pożądanemu rozkazowi zadosyć uczynić. Gdy śpiesznie schodziłem ku brzegom, tysiące nadziei i życzeń towarzyszyło mi w myśli tej przedsięwziąć się mającej podróży; nająłem przeto jedną z łodzi, które w znacznej liczbie u brzegów czekały, i kazałem wszystko do podróży na kanale do Nilu wiodącym przysposobić. Przewoźnik wskazał mi drogę wygodniejszą przez skały, pośpieszyłem przeto z powrotem do świątyni i w milczeniu sprowadziłem moją piękną towarzyszkę, nie zwracając nawet na nią spojrzenia, któreby ją właśnie swą czułością mogło zaniepokoić lub zniweczyć to niewinne zaufanie, jakie teraz widocznie pokładała we mnie.

Wszystko dokoła wyglądało słonecznie i wesoło, gdyśmy 'podróż rozpoczęli. Poranek jaśniał w pierwszym blasku, a chłodzący wietrzyk znaczył swoje ślady na wodach jeziora, jakby budząc uśpione fale z ich nocnego spoczynku. Wesołe złotoskrzydłe ptactwo, nawiedzające te brzegi, bujało teraz we wszystkich kierunkach nad jeziorem, gdy tymczasem, jakby bardziej świadome swej piękności, poważny łabędź i pelikan śnieżne swe pierze w przezroczu wód kąpały. Ku ożywieniu tych widoków od czasu do czasu niósł wiatr do naszych uszu słodkie dźwięki instrumentów

muzycznych, z płynących w odległości czółen, już o świecie zajętych połowem ryb, które muzyka miała przywabić.

Łódź, wybrana do naszej podróży, była jedną z owych małych bark spacerowych, czyli jachtów, w których środku namiot z cedrowego lub cyprysowego drzewa się wznosi, zewnątrz religijnemi złożony godłami—wewnątrz zaś we wszystko, co do spoczynku lub posiłku służyć może, jak najlepiej opatrzony. Do drzwi tego namiotu przyprowadziłem teraz mą młodą towarzyszkę, a przemówiwszy do niej w kilku słowach przyjaznych, które tyle uszanowania i pówściągliwości okazywały, jakie tylko głębokie uczucie w mem sercu zrodzić mogło, zostawiłem ją samą w spokojności, jakiej zmęczenie fizyczne i wzruszenie jej umysłu wymagało.

Co do mnie, również potrzebując spoczynku, rzucałem się na pokładzie pod żaglem, który przewoźnik dla mnie tam rozpiął, i tak na wpół drzemiąc, spędziłem godzin kilka—już to sceny z tej podziemnej widowni przed oczyma duszy przepuszczając—już z wyobraźnią nieczynną, z wlepionym wzrokiem, czarowną okolicę, którą przebywaliśmy, badałem.

Brzegi kanału były tutaj obsadzone najpiękniejszymi gaikami. Pod liśćmi wysokorosłej palmy, pomarańczowe i cytrynowe drzewa roztaczały gałęzie, wzniosłe tamaryski, tu i owdzie stojące, zwiększały cień szeroki, a nad samym brzegiem brzoza babilońska wdzięczne gałązki zginała do wody. Czasami zabłysnęła z głębi tych lasków kiosk lub mała świątynia, gdy tymczasem gdzie niegdzie otwarta daleko perspektywa okazywała rozległe błonia, pełne owych białych i wonnych róż, któremi się to miejsce Egiptu odznacza.

Ze wszech stron widoczne było rannej godziny krzątanie. Stada gołębi i czajek przelatywały z jeziora na brzeg, a biała czapla, która noc całą na daktylowem spoczywała drzewie, ogrzewała teraz w słońcu swe skrzydła na zielonem wybrzeżu lub bujała po nad jeziorem. I kwiaty, tak lądowe jak wodne, wyglądały jakby świeżo obudzone, a nadewszystko piękny i wspaniały lotus, który razem ze słońcem z wód powstaje, teraz swój kielich spragniony światła ku niemu zwrócił.

Takie widoki przesuwaly się przed memi oczyma, miesząc się do marzeń, w których bujał mój umysł, gdy łódź nasza po wodzie płynęła. Lubo mi się wypadki ostatnich dni jakby szeregiem cudów zdawały, najcudowniejszem było jednak to, iż ona, której pierwsze spojrzenie ognisty w mem sercu zapaliło płomień, o której dotąd zawsze z najgorętszą namiętnością myślałem, dla której posiadania byłbym się na wszystko odważył i poświęcił, teraz w ukryciu tego małego namiotu spoczywała, podczas gdy ja, sam ją nawet przed sobą strzegąc, spokojnie przy wejściu do niego leżałem.

Tymczasem słońce podniosło się do zenitu. Ruch i odgłosy poranku cichły zwolna, aż wszystko w około w skwarnej ciszy południa usnęło. Gęś nilowa leżała z rozpostartemi skrzydłami niewzruszona w cieniu sykomorów na wodzie. Nawet zwinna jaszczurka nad brzegiem, zdawała się leniwo poruszać, gdy promień na jej złotą i połyskującą azurową barwę padał. Znużony czuwaniem, wycieńczony myślami, uległem wpływowi tej godziny. Spoglądając uparcie na namiot, jak gdybym chciał się wciąż zapewniać, iż jestem na jawie,

i że młoda Egipcyanka znajduje się tu w rzeczy samej, czułem jak się me oczy zamykały, i po kilku minutach głęboko usnąłem.

ROZDZIAŁ XII.

Kanałem, którym teraz płynęliśmy, niegdys, w świetniejszych czasach Memfis, do jego wspaniałego jeziora szły towary z Wyższego Egiptu i Nubii, skąd je po opłaceniu haraczu Królowej Miast, dalej przez Nil do Oceanu spławiano. Kanał nie szedł w prostym kierunku do rzeki, lecz południowo-wschodnim biegiem do Said, a przy ciszy w powietrzu lub przy przeciwnym wietrze, podróż ta bardzo była nużąca. Ponieważ jednak teraz świeży wiatr z północy powiewał, mieliśmy nadzieję dostać się do rzeki jeszcze przed nocą. Statek nasz z szybkością strzały przerzynał nurty, poruszenie jego wszakże tak było łagodne, iż zaledwie je uważaliśmy — a spokojne pluskanie wód pod nami, i jednostajny śpiew przewoźnika na przedniej części statku siedzącego, jedynie przerywały głęboko panujące milczenie.

Już słońce zaszło prawie za wzgórze Libii, nim obudziłem się ze snu, do którego mnie ten śpiew zmorzył, a pierwszy przedmiot, na który wzrok mój padł, była piękna młoda kapłanka, siedząca pod daszkiem wznoszącym się, nad drzwiami namiotu i uważnie czytająca pismo na jej kolanach rozwinięte.

Jej lica były ku mnie tylko na wpół zwrócone, a gdy kilka razy wzniosła oczy ku niebu, wróciło do mego serca uszanowanie, jakim mnie w kaplicy napeł-

niła. Przy naturalnem świetle dnia, czystszy jeszcze i świętszy urok otaczał jej postać, niż w owych posępnych i tajemniczych mieszkaniach podziemnych.

Przypatrując się jej tak przez czas niejaki, wstałem z miejsca spoczynku i zbliżyłem się do namiotu; lecz już pierwszy ruch mój przerwał jej rozmyślanie, i rumieniąc się, zawstydzona, zakryła pismo szeroką swą suknią.

Wyćwiczonemu oddawna w sztuce pozyskiwania ufności serca kobiecego, teraz, gdy się do tego daru jeszcze natchnienie miłości łączyło, musiało się zdawać, iż me usiłowanie podobania się jej i pozyskania jej wzajemności, nie mogło chybić skutku. Wnet jednakże postrzegłem, ile mniej mowne jest serce niż wyobraźnia, i jak wielce odmienne są skutki życzeń wzniecenia miłości, od jej czucia. Już przy kilku słowach pozdrawiania, któreśmy wyrzekli, przedsiębiorczy Epikurejczyk był prawie tak nieśmiały, jak owa do samotności przywykła kapłanka, i po kilkakrotnem usiłowaniu poznania się bliższego, spuściliśmy oboje zawstydzeni oczy i znów jak poprzednio nastąpiło milczenie.

Z tego niemiłego położenia, które z jednej strony było skutkiem nieśmiałości, z drugiej zupełnie nowego uczucia, po dość długim czasie wybawił nas przewoźnik oznajmieniem, że już Nil widzieć się daje. Lica młodej Egipcyanki na tę wiadomość rozjaśniały radością, a uśmiech, z którym jej wieszowałem pośpiechu naszej podróży, tak wdzięcznie był odwzajemniony, iż pewnego rodzaju porozumienie zdawało się między nami przywrócone.

Wpływaliśmy teraz do świętej rzeki, o której słodkich wodach wygnaniec marzy, że je pije, i za

której kilku kroplami, córki Ptolemeuszów ¹⁾ wydane za obcych monarchów, jeszcze wśród swego blasku wzdychały. Gdy łódź nasza do rzeki wpłynęła, pytanie przewoźnika, gdzie na tę noc przy brzegu Nilu rzucona ma być kotwica? przypominało mi dopiero niepewność, w jakiej się dotąd znajdowałem, co do przyczyny i przeznaczenia naszej podróży. Zmieszany, zwróciłem oczy na kapłankę, która na moją odpowiedź z trwożliwym wzrokiem zdawała się czekać; ta wszakże uległość moja rozjaśniła nagle jej lica. Śpiesznie rozwinęła pismo, jakim ją wprzód widziałem zajętą, wyjęła z niego małą kartkę papyrusową, na której coś słabemi rysami zdawało się być skreślone; przez chwilę spoglądała zamyślona na tę kartkę, poczem ją drżącą ręką złożyła w moje.

Tymczasem przewoźnik zwinął żagle, łódź płynęła z wodą, zwolna przy brzegu; ja zaś przy świetle, które po zachodzie słońca na pokładzie zapalono, przyglądałem się kartce, którą mi kapłanka podała, swe ciemne oczy przez ten czas trwożliwie we mnie wlepiszy. Blade zarysy na papyrusie zaledwie rozpoznać mogąc, nie podobna mi było przez czas niejaki dociec ich znaczenia; nakoniec poznałem, iż owe, lekko trzcina memficką nakreślone znaki, były jakby mapą owej części gór, które Wyższy Egipt od wschodniej strony otaczają, z nazwiskami, czyli raczej godłami znaczniejszych miast sąsiedzkich.

Ku tej to stronie życzyła młoda kapłanka, jak nie mogłem wątpić, drogę swą obrócić. Wydałem

¹⁾ „Niegdyś noszono wodę z Nilu w okolice bardzo odległe, a mia-
nowicie księżniczkom z krwi Ptolemeuszów wydanym za mąż daleko.“
De Pauw.

przeto natychmiast rozkaz, ażeby przewodnik nasz jacht z wiatrem nastawił i pod wodę płynął; co też zaraz uskuteczniiono. Biały żagiel wzniosł się znowu w powietrze, a radość widoczna w rysach młodej Egipcyan-ki, świadczyła o wdzięczności za pośpiech, z jakim jej życzenia spełniłem. Tymczasem wszedł księżyc, a lubo pęd wody był nam przeciwny, jednakże wiatr dał tak silnie, iż wkrótce z jego pomocą przepłynęliśmy około bogatych równin i gaików Saidu.

Nie upłynęliśmy daleko, gdy blask światła w niejakiej odległości i czasami wyrzucane w powietrze sztuczne ognie, oznajmiły nam, iż się zbliżaliśmy do jednego z tych nocnych jarmarków lub targów, jakie w tej porze roku odbywały się zwyczajnie na Nilu. Mnie był podobny widok znajomy, lecz dla mej młodej towarzyszki był to widocznie świat nowy; a pomieszanie, niespokojność, i zajęcie, z jakim z po za swej zasłony na zgiełkliwe okolice spoglądała, nadawały jej wdziękowi nowy wyraz niewinności, jeszcze bardziej jej wdzięki podnoszący.

Miłość, jaką dla tej prostej dziewczyny uczułem, pochodziła w części może od scen mistycznych i położenia, w jakim ją widziałem, i miała odcień czci zaboronnej, wpływającej podniecająco na mój znękaną umysł. Kilka słów, które zamieniliśmy ze sobą o celu naszej podróży, nieco rozluźniły ten czar, a brak mojej zwykłej żywości i poufałości szczerze był wynagrodzony tonem głębokiej czułości, jaką miłość na ich miejsce we mnie obudziła.

Znajdowaliśmy się w miejscu jednym z najszerszych na Nilu, a statki rozmaite od brzegu do brzegu okrywały rzekę. Przy zielonej wyspie wśród wody leżały na kotwicy galary znaczniejszych handlujących,

wielkie targowiska, z których każde nazwisko swego właściciela nosiło na tylnej części statku, świecącemi literami skreślone. Na ich pokładach miano najpiękniejsze wyroby przedzalni lub igły Egipskiej rozpostarte—bogate kobierce z Memfis; zasłony sztucznie wyrabiane, z których haftarki nad Nilem tak są sławne i którym imię Kleopatry użycza pamiątkowej wartości. Na każdym galarze była wystawiona inna gałąź przemysłu Egipskiego: naczynia z wonnej porcelany z On, puhary z owego kruchego kryształu, którego kolory zmieniają się jak pierze gołębi; emaliowane amulety, na których głowa Anubisa wyryta—i naszyjniki i bransoletki z czarnego grochu Abissynii.

Podczas gdy tu przemysł skarby swoje rozwijał, wesołość jaśniała w tysiącnych postaciach po nad wodami. Obchód ten nie ograniczał się tylko na rzece. Wzdłuż brzegów i wyspy i rzeki widać było przez zarośla oświecone mieszkania, z których brzmiały odgłosy muzyki i wesela. Na niektórych statkach znajdowały się grona śpiewaków, które sobie od czasu do czasu jak echo po nad wodą odpowiadały, a dźwięki liry, fujarki i słodkiego fletu lotusowego, odzywając się, gdy okrzyki ucichły na chwilę, płynęły niknąc w powietrzu.

Z innych statków puszczano sztuczne ognie w miejscach zaciemnionych. Wznoszące się aż w obłoki i tam w ognisty deszcz rozbite, rozpościerały taką światłość w około, iż nawet śnieżne wzgórza Arabii zajaśniały, jak wierzchołek Atlasu w nocy, kiedy ogień jego własnego łona wśród jego śniegów wytryska.

Sposobność, jaką nam ten targ podał, zaopatrzenia się w inne mniej uderzające suknie, niż te, w których zbiegliśmy z podziemnego świata, była dla nas

obojsza pożądana. Na mnie wprawdzie dzika i mistyczna odzież, jaką miałem na sobie, była dostatecznie greckim płaszczem osłonięta, który szczęśliwie podczas mej nocnej straży zarzuciłem na siebie; lecz cienka zasłona mej towarzyszki mniej pomocna była do ukrycia jej stanu. Wprawdzie powyrzucała złote chrząszcze ze swych włosów, lecz jej święta kapłańska odzież była jeszcze zawidoczna a gwiazdy na przepasce jaśniały zbyt świetnie przez zasłonę.

Radej więc korzystać ze sposobności zmiany odzieży, gdy ze szkatułki, która z owem pismem, jakie czytała, zdawała się być jedynym jej skarbem, wyjmowała mały klejnot, aby za niego skromną odzież, jaką sobie obrała, zamienić, wypadł jej razem ów srebrny krzyżyk, który ją w kaplicy grobowej całującą widziałem, i który sam później do mych ust przycisnąłem. Ten węzeł między nami, gdyż jako taki przedstawił się mej wyobraźni, ożywił nagle w mem sercu wszystkie gorejące uczucia owej chwili, i gdybym się nie był odwrócił, wzruszenie moje byłoby mnie zdradziło.

Gdy już dopięty został cel, który nas przy tym wesołym obchodzie zatrzymał, udaliśmy się w dalszą drogę po Nilu. Dźwięki i światła nikły coraz bardziej za nami, aż wreszcie tylko światło księżyca i głęboka cisza towarzyszyły naszej podróży. Lekka rosa, godna nazwiska łez Izydy, spuszczała się z powietrza, a każdy kwiat i roślina odpowiadały jej wonnem tchnieniem. Wiatr, dość silnie dotąd niosący nas przeciw prądowi, teraz zaledwie poruszał cieniem tamaryszek na wodzie. Ponieważ wszyscy mieszkańcy z sąsiedztwa na nocny targ udali się, samotność i milczenie panowały na Nilu bardziej niż zwykle; taka nawet była cisza, iż przebywając około brzegów, mogliśmy słyszeć

skrzywienie akacyi, gdy się kameleony po ich pniach drapały. Słowem była to noc, jaką tylko klimat Egiptu poszczycić się może.

Przy takim świetle i w takiej godzinie, siedzieliśmy obok siebie na pokładzie, płynąc dalej po samotnym Nilu, jedno dla drugiego tajemnicą; myśli nasze, zamiary, imiona nawet nawzajem utajone, i jak dotąd różnemi losami odłączeni od siebie. Ja, zwolennik rozkoszy w Ogrodzie Ateńskim, ona, oddalona od świata kapłanka w świątyniach Memfis; a jedyną stycznością teraz pomiędzy nami była niebezpieczna namiętna miłość z jednej, najzaufańsza kobieca powierność z drugiej strony.

Okoliczność targu nocnego zmieniła to położenie nieśmiałe, w jakim ku sobie zostawaliśmy, i szczęśliwie dostarczyła nam przedmiotu do rozmowy bez zakłopotania;—aby przeto nie nastąpiło jak poprzednio milczenie, i dźwięk jej głosu dla mnie straconym nie był, starałem się nieznacznie sprowadzić na inny przedmiot rozmowę.

„Jak piękny i wspaniały,“ rzekłem, wskazując na Sothis, jasną gwiazdę Wód ¹⁾, która właśnie nad naszymi głowami jaśniała—jak piękny i wspaniały musi być ten świat—jeśli jest prawdą, co twoi Egipcycy mędrcy zapewniają—iż to czyste i piękne ciało niebieskie, w istocie ich rodzinną gwiazdą było.“ Poczem, przechylając się w tył i przebiegając oczyma widnokrąg, jakbym je uwolnić chciał od uroku, którego się obawiał, mówiłem dalej: „Z odwiecznych badań nieba takiego jak to, zdaje się wyrykać skłonny do rozmy-

¹⁾ Epitet nadawany tej gwiazdzie przez Plutarcha. *De Isid.*

ślań i mistyczny charakter twego narodu; owo połączenie dumy i melancholii, które naturalnie budzi widok tych odwiecznych w ciemności jaśniejących światła; to wzniosłe, lecz posępne przeczucie jakiejś przyszłości, które czasem duszę w takich godzinach milczenia przejmuje, gdy śmierć w uspieniu ziemi panować się zdaje, a nad nią te godła nieśmiertelności goreją na niebie.“

Wymówiwszy to słowo: „nieśmiertelność,“ zatrzymałem się przez chwilę, na myśl, jak mało zgodne jest me serce z ustami; spojrzałem na moją towarzyszkę i spostrzegłem, że podczas mej mowy lica jej zajaśniały świętym ogniem, jaki tylko wiara rozżarza—jaki podnieca już sama nadzieja o niebie marząca. Poruszony tym kontrastem i spoglądając na nią ze smutną czułością, już na wpół otworzyłem ramiona, aby ją do serca mego przycisnąć, gdy słowa: „Czy i ty nadobna dziewico! czy i ty musisz umrzeć nazawsze?“ niedomówione, skonały na moich ustach.

Prawie straciłem panowanie nad sobą. Wstawszy więc śpiesznie, wyszedłem na środek pokładu i przyglądałem się przez chwil kilka ogniowi—który zwyczajem wszystkich podróżujących nocą na Nilu—nasz przewoźnik rozpałił, aby krokodyle od statku odstraszyć. Nadaremnie jednak starałem się uspokoić wzburzony umysł. Każde usiłowanie coraz bardziej przekonywało mnie, iż nadaremnie będę dążyć do uzyskania spokojności, dopóki nie odgadnę tajemnicy, jaka tę dziewicę otaczała,—dopóki uczucia, jakimi wrzało me łono, na jaw nie wyjdą.

Postanowiłem zatem odkryć jej od razu własne me serce, o tyle, o ile takie wyznanie mogło być czynionem bez zatrwożenia niewinności mojej towarzyszki.

Z takim więc przedsięwzięciem wróciłem do niej, i dobywszy małe zwierciadelko, które w świątyni zgubiła, a które odtąd ciągle na szyi nosiłem, podałem jej drżącą ręką. Przewoźnik właśnie tymczasem podniecił w bliskości ogień, którego blask, gdy po zwierciadło sięgnęła, padł na jej lica.

Nagły rumieniec zadziwienia, gdy je poznała, i jej wzrok pełen wstydlivej, a jednak badawczej ciekawości, gdy na mnie zwróciła oczy, były wezwaniem, na które nie omieszkalem odpowiedzieć. Zaczawszy więc od pierwszej chwili, gdym ją w świątyni ujrzał, a napomykając krótko, lecz w słowach, które mi płomieniem przez usta przechodziły, wrażenie, jakie wówczas na mem sercu i wyobraźni zrobiła,—opisałem jej następnie mój wstęp do piramidy—moje zdziwienie i cześć przy wejściu do kaplicy—owo dla mnie tak tajemniczo przysposobione spotkanie przy próbach Inicyacyi, i wszystkie te czarowne zjawiska, jakie w tych przestworach ujrzałem, aż do chwili, gdym ją spostrzegł z pod zasłony świątyni skradającą się ku mnie.

Lubo przy opowiadaniu tych zdarzeń mało tylko wzmiankowałem o uczuciach, jakie we mnie wznieciła, lubo nieraz me wargi tłumily cisnące się wyrazy takich uczuć, dosyć jednak wyszło na jaw to, co ani zatajonym ani udaniem pokryte być mogło, a co przebłyskiwało ze słów, jak światło z za zasłony Izydy. Gdym mówił o zdarzeniu w kaplicy—o milczącym zjednoczeniu się śmierci z życiem, którego świadkiem byłem, dziewczica opuściła głowę, rzewnie płacząc. Jednak zdawała się z przyjemnością słuchać, i gdy znów na mnie spojrziała, wzrok jej jaśniał tak głębokiem uczuciem, jakby pewność, iż przy tej smutnej scenie obecny byłem, nowe źródło wspólnego zaufania otworzyła. Tak

bliskie są siebie źródła miłości i smutku i tak niezna-
cznie mieszają się nieraz ich prądy.

Jakkolwiek mem postępowaniem z tą niewinną dzie-
wicą nie kierowały sztuka lub układny jaki zamiar,
najbardziej jednak doświadczona nauka podobania się
nie byłyby mi i części tej zwodniczej strategii dostar-
czyć mogła, jakiej mnie teraz moja nowa mistrzyni,
miłość, nauczyła. Płomienie gwałtownie i bez zasłony
okazane, byłyby strworzyły serce mało na to przygo-
towane, ale słowa, tak układne i złagodzone nieśmia-
łością prawdziwej miłości, szły bez przeszkody prosto
ku celowi, i gdy najmniej na skutek miały nadziei,
tryumf ich był najpewniejszy. Serce dziewicy obu-
dziło się bez zaniepokojenia, jak ktoś słodką muzyką
ze snu zbudzony. Szła za urokiem, nie wiedząc dokąd
ją wiedzie, i nie prędzej spostrzegła ogień, jaki w sercu
mojem wzbudziła, aż jego iskry w swem własnem tle-
jące się uczuła.

Jakkolwiek pragnąłem odwołać się do jej wspa-
niałomyślności i sympatyi, aby mi okazała wzajemną
szczerłość i dała dowód zaufania taki, jaki jej właśnie
dałem, noc była już późna i nie chciałem zbyt jej utru-
dzać. Po kilku przeto słowach, których ton i sposób
wyrzeczenia więcej, aniżeli znaczenie onych wyrażał,
pożegnaliśmy się na tę noc z miłym widokiem, że we
snach może jeszcze razem się znajdować będziemy.

ROZDZIAŁ XIII.

Tak już bliska była jutrzienka, gdyśmy się poże-
gnali, iż za zejściem się ujrzeliśmy znowu słońce ku
zachodowi schylone. Uśmiech, którym mnie Alethe po-

witała, był tak szczery i miły, iż zdawałby się być oznaką długo już trwałej przyjaźni, gdyby nastąpione po nim rumieniec i spuszczenie oczu nie świadczyły o świeższym i mniej spokojnem uczuciu. Co do mnie, wyznanie, jakie jej uczyniłem, ulżyło mi wprawdzie na sercu, spodziewane wszakże wywzajemnienie się i oczekiwanie rozmowy w tym celu nabawiało mnie pewnej trwogi. Chętnie więc oboje zwracaliśmy uwagę na widoki, jakie się po drodze odkrywały, omijając przedmiotu, którego widocznie obawialiśmy się dotknąć.

Na rzece wszystko było teraz ruchem i życiem. Co chwila spotykaliśmy łodzie z wodą bez pomocy żagli i wiosła płynące, a których majtkowie, siedzący w spoczynku na pokładzie, zabawiali się śpiewem i przygrywaniem na fujarkach. Większa część tych statków była obładowana szmaragdami, dobytymi z kopalni pustynnych,—ich blask podobno wzmaga się podczas pełni księżyca — inne statki pachnidłami, dobytymi z akacyi rosnących nad Czerwonem Morzem. Na pokładzie drugich, które ze Złotych Gór z po za Syeny płynęły, leżały pnie i szczapy wonnego drzewa, rosnącego w Nubii nad Nilem.

Statki płynące obok nas pod wodę niemniej były liczne. Nieraz prześcignęła nas łódź opatrzona w wysokie żagle, która teraz bez ładunku z jarmarku zeszłej nocy wracała — a my znowu czasem mijaliśmy barkę opatrzoną ulami, które w tej porze roku są wysyłane do ogrodów południowych, by korzystać z rozkwitających pierwszych kwiatów po powodzi.

Te rozmaite przedmioty podawały nam przez niejaki czas sposobność odwrócenia rozmowy od tego jedynego celu, do jakiego ciągle dążyć się zdawała. Wy-

siłki te jednak nie skutkowały długo. Gdy wieczór nastąpił, uciszyło się wszystko znów w około. Coraz rzadziej odważaliśmy się spoglądać na siebie a chwile milczenia stawały się coraz dłuższe.

Przed samym zachodem słońca, gdyśmy przepływali około małej świątyni, nad brzegiem stojącej, której kolumny zorza wieczorna czerwieniła, ujrzelśmy grono młodych dziewic, wychodzących z pobliskiego zarośla akantu, które trzymanemi w ręku gałązkami lotusu złączone, okrąg tworzyły. We włosach również miały to godło wiosennej pory roku, a ich wdzięczne kibicie tak obficie opasywały wieńce tych białych kwiatów, iż gdy płały na bieżegu zdawały się być nimfami Nilu, które ze swych ogrodów, na dnie wody leżących, wypłynęły.

Po kilku chwilach przyglądania się owemu świętemu tańcowi, towarzyszka moja odwróciła oczy z wyrazem boleści, jakby wspomnienie widokiem tym w niej obudzone, niemiłego było rodzaju. To przelotne wspomnienie, ten rzut oka na przeszłość, zdawał mi się kluczem do tajemnicy, którą tak pragnąłem odkryć, użyłem go stopniowo i zręcznie, stłumiając niecierpliwość, jaka mnie popychała. Lecz jej otwartość oszczędziła mi wielu nieśmiałych zapytań, gdyż sama zdawała się czuć, iż to zaufanie, do którego dążyłem, już mi się należało, i z zachowaniem naturalnej powściągliwości i dziewiczej skromności, nie ukrywała nic ani niczego nie omijała.

Historję, jaką mi teraz opowiedziała, oddać jej własnymi wzruszającemi słowy, byłoby to samo, co starać się przenieść na papier improwizowaną muzykę jej wszystkie przelotne wdzięki, szczęśliwe pomysły chwili, których nigdy już sztuka tak nie wywoła, jak

niemi pierwszy raz słuch zachwycony został. Uczuciem skromności wiedziona opuściła nadto w swej powieści niejedną jej dotyczącą okoliczność, później mnie doszła — gdy tymczasem drugich niemniej ważnych lekko tylko dotknęła, aby czasem uprzedzeń pogańskiego swego słuchacza nie zrazić.

Opowiem więc tu rzecz całą nie tak jak ją sama opowiedziała, lecz tak, jak później była opisana pobożną i sędziwą ręką, ręką nierównie godniejszą niż moja.

Historya Alethe.

Matką Alethe była piękna Theora z Alexandryi, która lubo w tem mieście zrodzona, pochodziła jednak z rodziców greckich. Jeszcze w pierwszej młodości znajdowała się w liczbie siedmiu dziewic, wybranych do spisywania mów wymownego Orygenesesa, będącego wówczas głową szkoły w Aleksandryi, i który zarówno pomiędzy poganami, jak między chrześcijanami, stał na wysokim szczeblu chwały. Wielce biegły w naukach wiary obojga wyznań, stosował naturalne światło filozofii do objaśniania tajemnic wiary, i tylko wtedy był dumnym z posiadania mądrości tego świata, gdy ta służyła mu do okazania tryumfu boskiej prawdy.

Lubo nadaremnie dobijał się o koronę męczeńską, unosiła się ona wszakże w ciągu całego życia nad jego głową, i nieraz podczas prześladowania chrześcijan okazywał gotowość poniesienia śmierci za tę wiarę, dla której czci i głoszenia żył jedynie. Przy jednej z tych okoliczności prześladowcy przybrali go za kapłana egipskiego i stawili na stopniach świątyni Serapisa z rozkazem, aby zwyczajem pogańskich ka-

planów, tłumowi, jaki przed tym świętym przybytkiem modły zanosić będzie, ofiarował gałązki palmowe. Odważny chrześcijanin zniweczył wszakże ich nadzieje. Trzymając przed sobą owe gałązki wołał głośno: „Zbliźcie się i odbierzcie te gałązki nie od bożyszcz, lecz od Jezusa Chrystusa!”

W badaniach swych uczony ten był tak niezmiordowany, iż gdy układał swój komentarz do Pisma świętego ¹⁾ siedmiu pisarzy było mu pomocnych, zmieniając się w spisywaniu wymownych jego spostrzeżeń; gdy tymczasem tyleż młodych dziewic, wybranych dla piękności pisania, używanych było do ułożenia i przepisania tych szacownych kartek.

Pomiędzy temi wybranemi znajdowała się i młoda, nadobna Theora, której rodzice lubo pogańską wyznawali wiarę, pragnęli jednak zrobić użytek z talentów swej córki w czynności, uważanej jedynie za mechaniczną. Dziewicę tę atoli napełniła praca owa wcale innemi uczuciami i niespodziewane wydała skutki. Pisząc, czytała uważnie, a te boskie, z taką wymową wyjaśniane prawdy, znalazły z wolna przystęp do jej serca. Głębiej jednak niż te pisma utkwily w jej duszy słowa, które z ust tego wielkiego nauczyciela miała nieraz sposobność słyszeć. W jego poglądach religijnych, leżała wzniosłość i słodycz, które niechybnie musiały przekonać czuły umysł i żywą wyobraźnię kobiety.

Dla Theory uczucie to, jakim ją mowy jego natchnęły, było jakby nowem życiem, świadomością bytu duchowego, o którym wprzód żadnego nie miała wy-

¹⁾ Podczas układania wielkiego swojego dzieła, Hexapla, Orygenes używał do przepisywania niewiasty.

obrażenia; wymowa komentarza obudziła jej uwielbienie dla tekstu. A gdy jeden z katechumenów tej szkoły, którego jej niewinna zarliwość wzruszyła, pierwszy raz jej użyczył odpisu Pisma świętego, myśl o tym skarbie sen jej nawet odbierała. Kryła go też przed wszystkimi z radością i obawą, jak ten, który boskiego gościa pod dach swój przyjął i obawia się, aby się ludzie o tej boskości nie dowiedzieli.

Tak obudzone serce łatwo na prawą wiarę nawróconem być mogło, gdyby sposobność słyszenia słowa świętego była dłużej trwała. Okoliczności jednak pozabawiły ją tego dobrodziejstwa. Łagodny Orygenes, długi czas prześladowaniami Demetryusza biskupa z Aleksandryi od swych prac odwodzony, zmuszony był opuścić swą szkołę i uciekać z Egiptu. Tak więc skończyła się czynność pięknej Theory — jej stosunki ze zwolennikami nowej nauki ustały, a znacznie już wzrosły zapał jej serca uległ bardziej ziemskim wrażeniom.

Miłość mianowicie przyłożyła się do odwrócenia jej myśli od religii. Jeszcze w swej pierwszej młodości została małżonką greckiego awanturnika, który do Egiptu przybył jako handlujący owemi kosztownemi obiciami, w robocie których warsztaty tkackie z nad Nilu walczyły z igłami Persyi o pierwszeństwo. Ów grek zabrał ją do Memfis, które zawsze jeszcze było głównem miejscem tego handlu — i tam umarł, pozostawiwszy wdowę w roku dziewiętnastym życia bliską zostania matką.

Dla kobiet samotnych, bez pomocy zostających, było zawsze jedynym sposobem ratunku szukać schronienia w jakiej wielkiej świątyni, które tak znaczną część bogactw i wpływów w Egipcie posiadają. Pra-

wie przy każdej istnieją zakony kapłanek, które lubo nie dziedziczne jak kapłanów, jednak bardzo bogato są uposażone, i nadają stopień oraz stan taki, jakim religia przy teokratycznym zarządzie nawet swoje najniższe sługi przyodziewa. Łatwo się domyśleć, że tak ukształcona niewiasta jak Theora, nie znalazła żadnej przeszkody u świętego kolegium w Memfis i została kapłanką Izydy ze szczególnem przeznaczeniem do posługi w podziemnych świętych przybytkach.

Tu po niejakiem czasie wydała na świat Alethe, która pierwszy raz oczy otworzyła wśród tych udanych cudów i nie świętej pompy w owych mistycznych grodach. Lubo Theora już przez inne uczucia od pierwszego swego zapału dla chrześcijaństwa odwrócona została, nie zapomniała jednak nigdy wrażenia, jakie on na niej wywarł. Święta Księga, lubo rzadko dożywana, odnawiała jeszcze wspomnienie owej pobożności i szczęścia, z jakim w jej posiadanie weszła.

Wolne chwile jej ustronia i samotna smętność jej stanu wdowiego, zwracały ją nieraz ku tym świętym prawdom, jakie w szkole w Aleksandryi słyszała. Teraz zaczęła ową księgę gorliwiej czytać, głęboko czerpać z tego źródła z którego wprzód zaledwie skosztowała, i czuć to, co tysiące po niej uczuli, iż Chrystyanizm jest prawdziwą religją strapionego.

Niebezpieczeństwo, jakie otaczało wówczas tę naukę i potrzeba ukrywania przed wszystkimi tego drogiego światła, jakie się w jej serce przelało uczyniło tem droższą dla niej naukę. Zatrwożliwa, aby się śmiało wystawić na okrutne prześladowania, jakie czekały wówczas wszystkich podejrzanych o sprzyjanie Chrześcijaństwu, spełniała dalej przy obrzędach świątyni posługi, lubo z takim wstrętem, iż częstokroć

wśród tych kapłańskich obrządków i ofiar, zasyłała w sercu modły do Boga, aby jej to znieważenie jego Ducha przebaczył.

Tymczasem wzrastała jej córka Alethe, jeszcze nadobniejsza niż ona sama, zwiększając coraz jej szczęście i obawy. Gdy doszła do pewnego wieku, uczono ją, równie jak inne dzieci kapłańskie, posługi przy świątyniach. Jedne z tych młodych służebnic zatrudniane były zbieraniem kwiatów na ołtarze, — drugie uapełniały codziennie naczynia świątyni święzą z Nilu wodą, inne musiały oczyszczać owe obrazy księżyca, jakie kapłani w procesyi obnosili, inne karmiły poświęcone zwierzęta i czyściły ich cudowne pierze i łuszczyki, mające zachwycać ich czcicieli.

Zatrudnienie Alethe—jedno z zaszczytniejszych—stanowiła obsługa tych księżycowi poświęconych ptaków, karmienie ich ulubionym żerem i pojenie czystą wodą. Chętnie oddawała się temu zajęciu w wieku dziecinnym, a Ibis, około którego Alcyphron (Epikurejczyk) widział ją tańczącą w świątyni, był jej najulubieńszym ze wszystkich poświęconych ptaków, którego karmiła i pieszczotami okrywała.

Jednym z celniejszych środków oczarowywania w tych dziedzinach, była muzyka, wszyscy przeto wszelkiego stopnia należący do stanu kapłańskiego, musieli w niej być biegli. Nigdzie też równie wdzięcznie nie odzywała się harfa, lira lub flet poświęcony, jak w tych podziemnych ogrodach. Pierwszem więc było staraniem przy wychowaniu młodzieży kapłańskiej rozwijać wszystkie wdzięki sztuki i natury, aby większą siłą nadać owym złudzeniom i zjawiskom, w których zawierał się cały urok i tajemnice inicjacyi.

Do sposobów, jakich używano, aby dawny system zabobonności ochronić od niedowiarstwa, a tembardziej od wpływu nowej wiary, należał szczególnie wzmożony rozwój pompy i cudów w owych tajemnicach, któremi Egipt słynął tak długo. Liczne tych obrzędów naśladownictwa rozszerzyły się pod różną nazwą po całej Europie, tak, iż odwiecznemu zabobonowi zagrażało przyćmienie go przez nowe pokolenie cudotworców. Dla zachowania więc nadal pierwszorzędności swego kapłaństwa w świecie, egipskie widziało się zmuszonem do używania nadal doskonalszych sposobów ułudzeń.

Każdy środek, jaki sztuka wynaleźć a praca wykształcić mogła do zwiększania wciąż swoich sposobów omamiania; każdy bodziec, jakim rozporządzać mogły prawdziwie cudowne wiadomości kapłanów w pirotechnice, mechanice i dioptryce, trzeba było stosować, aby jego działaniem podnieść tajemniczość i wszystkiemu, co dotyczyło kapłanów, nadać cechę czarodziejstwa.

Scena ostateczna uświęcenia Elizyum, do jakiego inicjowany bywał przyjęty—stanowiła, rozumie się, najcelniejszy urok tych obrządków, a uczynienie ich równie pociągającymi dla zmysłów tego, kto się ubiegał za rozkoszami, jak dla wyobraźni spirytualisty, było przedmiotem, któremu się cała zręczność i uwaga świętego kolegium poświęcała. Kapłanom z Memfis, mającym wpływ na kapłanów innych świątyń, udało się podziemne swe granice na północ i południe tak daleko rozszerzyć, iż do swych obrębów zagarnęli niektóre z tych ciągle oświeconych rajszych ogrodów, jakie do użytku Dwunastu Ołtarzy pod ziemią założone były.

Piękność młodej Alethe, poruszająca słodycz jej głosu i uczucie, jakie się w jej wzroku i ruchach ma-

lowało, czyniły ją wielkim środkiem pomocniczym w takich zamiarach na wyobraźnię. Z tego przeto powodu od dzieciństwa już wybrana była z pomiędzy swych pięknych towarzyszek, jako najzdolniejsza do przedstawiania mistycznego wdzięku w owych obrazach Elizyum, w owych scenach z innego świata, które nietylko na wyobraźnię, lecz nawet i na rozum oszołomionego aspiranta wpływały.

Dla niewinnego dziecka sceny te były tylko rozrywką, lecz dla Theory, która dobrze znała oszustwa, jakim za narzędzia służyć musiały, było to znieważeniem wszystkiego co kochała—ciągłym źródłem oburzenia i wyrzutów sumienia. Często przeto, gdy Alethe w ubiorze jakiego z duchów elizejskiego świata przed nią stanęła, z wzdryganiem odwracała oczy od szczęśliwego dziecięcia, i zdawało jej się widzieć zstępujący cień grzechu na niewinne czoło, na które z miłością macierzyńską spoglądała.

Gdy rozbudziły się władze umysłowe, zwiększyła się też troskliwość i umartwienie kochającej matki. Wprawdzie obawiała się swą własną drogą tajemnicę odkryć dziecięciu, aby go na niebezpieczeństwa nie wystawić, lecz czuła zarazem, iż było równie okrucieństwem jak występkiem, zostawić toż dziecię w ciemności pogaństwa. W tym stanie wahania zdawało jej się jedynym środkiem wybrać i, z ziemskich przymieszek oczyszczone, córce swej podać owe czyste pierwiastki prawdy, jakie w łonie wszystkich religii ukryte leżą, owe uczucia bardziej aniżeli nauki, bez których Bóg nigdy stworzeń swoich nie zostawia, i jakie we wszystkich czasach tym, którzy go szukają, dają niejaką wskazówkę do poznania Boga.

Jedność i doskonała dobroć Stwórcy, upadek duszy w zepsuciu, walka z ciemnościami tego świata, jej ostateczne wybawienie i wzniesienie się do źródła wszystkich duchów: te naturalne rozwiązania zagadki naszego bytu, te zasady wszystkich religii i cnót, które Theora przyjęła od swoich chrześcijańskich nauczycieli, leżały równie, jak jej wiadomem było, w podstawie teologii Egipskiej, i w braku innego światła niebieskiego, jedyną jej dążnością było te, w całej ich oderwanej pierwotnej czystości w duszy swego dziecięcia zaszczipać.

Po odbytych przeto z rana posługach w Świątyni, przepędzała zwykle wieczory i noce w małym mieszkaniu na powierzchni ziemi, jakie w obrębie świętego Kolegium niektórym ze znaczniejszych kapłanek były dozwolone. Tu oddalona od wpływu owego grubego zabobonu, jaki ją w podziemnych przestrzeniach za każdym ścigał krokiem, starała się ukształcać o ile mogła duszę swego ulubionego dziecięcia, i znalazła je z natury tak skłonnem do prawdy, jak te rośliny, które długi czas w ciemnych obrębach zamknięte, za błysnięciem światła, same się ku promieniom jego zwracają.

Często, gdy tak razem na tarasie siedziały, przypatrując się licznie świecącym gwiazdom, których blask naprzód ludzi do składania czci bożkom przywiódł, objaśniała młodej słuchaczce przez jakie szczeble błędu cześć ze Stwórcy na stworzenia przeniesiona została, aż tak coraz niżej na szali istnienia spadając, ludziom uroiło się ubóstwiać ludzi, i tym sposobem przez najokropniejszy zwrot, niebo zrobiono tylko zwierciadłem ziemi, jej najbardziej ziemskie rysy odbijającym.

Nawet w świątyni starała się troskliwa matka czyste swe nauki podkładać pogańskim obrządkom,

przy których obsługiwały. Kiedy Ibis, ulubiony Alethe, zajął miejsce na ołtarzu, i młoda dziewica do ptaka, z którym przed chwilą igrała, zbliżała się teraz z całą powagą czci; kiedy gałązka akacyi, którą sama zerwała, skoro na nią kapłan dmuchnął, nagle w jej oczach stawała się świętą—przy każdym takim zdarzeniu odważała się Theora, lubo z trwogą i z drżeniem, wpajać młodej dziewicy różnicę, jaka winna być czyniona pomiędzy widomemi przedmiotami czci i owem niewidzialnem bóstwem, którego one były jedynie wspomnieniem lub wizerunkiem.

Ze smutkiem atoli wkrótce spostrzegła, że objaśniając tylko nawpół umysł zażywy, aby takim półbłaskiem zaspokoiony został, czyni serce, którem zamierzała kierować, bardziej jeszcze nieposkromionem i niszczy nadzieję, o którą się wiara onego dobją, nie podając wzamian żadnej innej podpory. Również nowej trwogi doznała, gdy później wdzięki Alethe wszystkich oczy na się zwracać zaczęły; trwoga, która aż nadto tem co ją otaczało usprawiedliwiona była.

W tem poświęconem miejscu, jak łatwo sobie wystawić, nie szła zawsze czystość obyczajów z religią w parze. Obludny i ambitny Orkus, wówczas najwyższem kapłaństwem w Memfis zaszczycony, był człowiekiem w każdym względzie odpowiednim do kierowania systemem tak świetnego oszustwa. Osiągnął już tę porę życia, kiedy jeszcze dosyć pozostaje ognia młodzieńczego do ożywiania wskazówek starego rozumu. U niego wszakże młodość tylko nikczemne skłonności pozostawiła, wiek jedynie dodał przebieglejszą dojrzałość w występku. Pojął on aż nadto dobrze korzyści wiary, która zupełnie na działanie na zmysły wyrachowana była, i wiedział bardzo dobrze, iż jedy-

na droga obrócenia religii na swoją korzyść była w zřęcznem jej przystosowaniu do interesów i namiętności innych ludzi.

Stan smutku i wyrzutów sumienia, w jakim się umysł Theory znajdował, z powodu wszystkiego, co około siebie widziała, stał się wreszcie nieznośnym. Żadne niebezpieczeństwo, na jakie ją sprawa prawdy kiedykolwiek wystawić mogła, nie wydało jej się tak okropnem, jak to trwanie w grzechu i oszustwie. Jeszcze jej dziecię było czyste i niewinne, lecz czyliż długo jeszcze takim zostawać mogło bez owej straży duszy, bez religii?

Te uwagi roztrzygnęły. Zrazu przedsięwzięła odkryć córce Alethe tajemnicę swej duszy i tę, która jej jedyną stanowiła na ziemi nadzieję, uczynić towarzyszką wszystkich swych nadziei w niebie, a potem z nią jak najspieszniej z tego obmierzonego miejsca uciekać do pustyni, w góry, w jakąkolwiek samotność, byleby tylko Bóg i poczucie niewinności ich nie odstępowaly.

Łatwość, z jaką Alethe święte prawdy pojmowała, przeszła spodziewanie matki. Dostatecznie też całe jej umartwienie nagrodziła owa doskonała społeczność miłości i wiary, owo pragnienie, z jakim jej ulubione dziecię czerpało ze źródła wszystkiego życia i prawdy.

Takie szczęście atoli nie mogło być długotrwałem. Ciągła trwoga, w jakiej Theora zostawała, podniszczyła jej zdrowie. Czula, jak siły codzien bardziej ją opuszczały, a myśl pozostawienia tego skarbu, który właśnie co Niebu poświęciła, samego i bez opieki na świecie, napełniała ją rozpaczą, która kres jej życia znacznie przyspieszyła. Gdyby była mogła wykonać swój zamiar opuszczenia miejsca, w którym zostawała, jej dziecię byłoby za obrębem tego, co ją zatrzymało,

i w samotności pustyni przynajmniej przed złem zabezpieczone; lecz teraz było już zapóźno—śmierć przyszła po ofiarę swoją.

Ukrywała jednakże stan swój przed kochającym dziećciem, które lubo ślady choroby na licach matki postrzegło, nie wiedziało przecież, iż to są zbliżające się znamiona śmierci, nie myśląc nawet o podobieństwie utracenia tego, co mu tak drogiem było. Zawcześnie wszakże nastąpiła chwila rozstania. Smutek i trwoga Alethe zwiększyły się stanem spokojności, w jakim żyła dotąd, a Theora uczuła z goryczą i żalem, iż względem czułości zawiele poświęciła czasu, i że teraz niedługie chwile już pozostawały do oznajmienia córce wszystkich tych życzeń i nauk, od których przyszły los młodej sieroty zależał.

Zaledwie miała czas złożyć w ręce Alethe świętą księgę—zakląć ją, aby koniecznie z tego nieszczęsnego miejsca zbiegła, i wskazując ku stronie gór w Said, ostatnim tchem nazwać jej tego świętego męża, któremu jedynie na ziemi opiekę i ratunek swego dziećcia powierzyć mogła.

Gdy pierwsze gwałtowne wrażenie zalu osłabło, Alethe oddała się posępnemu smutkowi, który ją przez czas niejaki nieczułą na niebezpieczeństwo jej położenia uczynił. Jedyłą jej pociechą było odwiedzać ową kaplicę grobową, gdzie zwłoki pięknej Theory spoczywały. Tam co noc wpatrując się w te spokojne rysy i zasyłając modły za spokój uleciałej duszy, przepędzała samotne i lubo smutne jednak najszcześniejsze godziny. Chociaż mistyczne godła, zdobiące kaplicę, mało stosowne były dla spoczynku chrześciance, znajdowało się wszakże jedno pomiędzy niemi, to jest krzyż, który przez zadziwiający zbieg okoliczności tak

dla pogan, jak dla chrześcian wielkie ma znaczenie—wystawiając u pierwszych tajemny obraz owej nieśmiertelności, której u drugich istotnym i pewnym jest zakładem.

Na tym krzyżu, który jej matka całowała tak często, złożyła w cichości świętą i rozmyślną przysięgę niewyrzeczenia się nigdy wiary, jaką jej zmarła pozostawiła, a jej serce do takiego się natchnienia w podobnych chwilach wznosiło, iż gdyby nie wstrzymywały jej ostatnie życzenia owych bladych ust, byłaby natychmiast odkryła swą niebezpieczną tajemnicę i wśród tych nocą okrytych świątyń wykrzyknęła: „jestem chrześcianką.“

Lecz wola matki spełniona być musiała. Jej umysł przeto był dniem i nocą zajęty wynalezieniem środków ucieczki z tego gniazda zabobonu. Ze wstrętem, którego niezdolna była pokryć, widziała się zmuszoną do pełnienia posług przy ołtarzach. Niektóre z zatrudnień Theory przeszły na nią podług tamecznych zwyczajów w spadku, a rola, do jakiej ją zmuszono przy scenicznych wystawieniach tajemnic, zdawała się jej nietylko zelżywą i nieprawną, lecz dłużej już nieznośną.

Już sobie w myśli plan ucieczki ułożyła, do jakiej jej znajomość wszystkich zakrętów tych podziemnych grodów poddawała nadzieję, gdy nastąpiła inicjacya Alciphrona.

Od pierwszej chwili wylądowania tego filozofa w Aleksandryi był on przedmiotem podejrzania i uwagi przebiegłego Orkusa, którego każdy rodzaj filozofii, pod jakąby postacią się też okazywać mogła, niespokojnością nabawiał—a któremu oprócz tego nienawistną była sekta, jakiej młody Ateńczyk przewodniczył.

Najznakomitsze przymioty Alciphrona, szacunek, jaki wszędzie wzniecał, gdziekolwiek się okazał, i wesołość, z jaką swój dowcip karmił kosztem religii, wszystko to wiernie donoszono wielkiemu kapłanowi i obudzało w nim nieprzyjazne uprzedzenie do tego cudzoziemca. Odnośnie do niedowiarka, nie mógł Orkus innego mieć wyboru, jak nawrócić go lub zniweczyć; a chociaż jego nienawiści osobistej ostatni środek byłby bardziej dogodził—duma wszakże jego jako kapłana, przeniosła tryumf pierwszego.

O pierwszym wstępie Epikurejczyka do piramidy śpiesznie doniesiono i wiadomość o tem kapłanom pod nią znajdującym się przesłano. Skoro tylko odkryto, iż to był młody ateński filozof, który się na to odważył, i że jeszcze około piramidy czatuje, często i uważnie na wniście do niej spoglądając—wnoszono stąd, iż ciekawość skłoni go jeszcze do powtórnego zejścia. Orkus przeto, gdy mu ten dziki ptak sam wpadł w sieci, postanowił z radością tak sprzyjającej sposobności nie wypuszczać z ręki.

Przysposobiono przeto śpiesznie w całym podziemnym obwodzie wszystkie owe czarodziejskie maszyny, przez jakie zjawiska i uludzenia przy poświęcaniu działane bywały, a pomnożona baczność i staranność, jakie ten nadzwyczajny rozkład środków czarodziejskich w tym obrębie sprawił, czyniły w takim momencie skutecznienie zamiaru Alethe szczególnie niebezpiecznym. Zupełnie nieświadoma udziału, jaki miała w pociągnięciu młodego filozofa do tych przestworów, słyszała o nim tylko, jako o naczelniku jednej ze znaczniejszych sekt greckich, którego ciekawość lub przypadek skłoniły do poddania się pierwszym próbom inicjacyi, i którego kapłani, jak jej wiadomem było,

chcieli ułowić w swe sidła całą sztuką i zręcznością, jaką im ich czarna nauka nadawała.

W jej umyśle łączył się obraz filozofa, jak jej Alciphrona nazwano, z wyobrażeniem starości i powagi, i nieraz myśl, iż może się stać narzędziem jej wybawienia, przebiegała jej serce, jak pożądaný promień nadziei. Często jej Theora opowiadała o różnych greckich mędracach, którzy swoje wiadomości kornie u stóp krzyża składali, a lubo obawiać się musiała, iż kandydat do inicjacji do liczby tej nie należy, wieści jednakże, jakie od posługaczy świątyni powzięła, iż wzgardę błędów pogaństwa otwarcie wyznawał, dawały jej nadzieję, iż skoro go o pomoc błagać będzie, znajdzie w nim, jeżeli nie sympatyę, to przynajmniej pobłażanie.

Nietylko z nadzieją na ucieczkę łączyła tak w myśli owego Greka ze swym planem. Wzrok dumnej zadowolonej z siebie złości, z jakim wielki kapłan mówił o tym niewiernym, jak go nazywał, nauczając ją roli, jaka przed filozofem w dolinie na nią przypadać miała, oznajmił jej aż nadto wyraźnie los, jaki czekał filozofa. Wiedziała, jak wiele było nieszczęśliwych osób, które pragnąc wtajemniczenia, dla jednego słowa, lekkiego poszeptu przeciw świętym złudzeniom, których były świadkami, wskazano na męczarnie gorsze nad śmierć, i zdawało jej się widocznem, że sędziwy Grek (bo takim sobie Alciphrona wystawiała) niemniej chętnie będzie chciał uciekać z tych obwodów, jak ona sama.

Jej własne przedsięwzięcie było zresztą na każdy wypadek ustalone. Ta mamiąca scena, w jakiej się przed Alciphronem ukazała, nie przeczuwając nawet jak gorąca była wyobraźnia i serce tego człowie-

ka, nad którym jej wdzięki w tej chwili całą swą władzę rozpościerały, miała być, jak sobie przyrzekła, ostatnią bezbożną posługą, do której ją zabobon lub obłuda przymuszały.

Następnej nocy musiał aspirant czuwać w wielkiej świątyni Izydy. Tak dobra sposobność zbliżenia się i przemówienia do niego, mogła się już później nie zdarzyć. Jesliby z litości nad jej położeniem, lub z uczucia niebezpieczeństwa swego własnego, przystał i dał jej pomoc w ucieczce, z radościaby onę przyjęła, w przekonaniu, iż wszelka zdrada, wszelkie złe, jakiego jeszcze wówczas obawiać się miała, ani w części nie były tak straszliwe jak te, przed którymi ucieka; jesliby się jednak wahał, w takim razie postanowiła, zaufać Bogu, który czuwa nad niewinnością, i sama miejsca te opuścić.

Jej pierwszym celem miało być dostanie się na wyspę wśród jeziora Moëris, a szczęściem była do tego w tym czasie sposobność, która niebezpieczeństwo i trudności przedsięwzięcia znacznie zmniejszała. Bliższym bowiem był dzień, w którym wielki kapłan Miejsce Płaczu—tak nazywano tę wyspę wśród jeziora—corocznie zwykł był odwiedzać—i Alethe wiedziała, iż już był przygotowany wóz sam się toczący, na którym wielki kapłan i jeden z hierofantów do sklepień pod rzeką zwykli zjeżdżać. Używając go teraz sama, zyskiwała podwójną korzyść, nietylko ułatwiając swą ucieczkę, lecz opóźniając pościg swych prześladowców.

Odwiedziwszy po raz ostatni grób ukochanej matki i oblawszy go łzami—ucałowała swego ulubionego Ibisa, do którego, mimo odmówionej czci jako chrześcianka, przywiązywanie jeszcze zachowała dawne, drżą-

cym krokiem udała się wcześniej do świątyni i ukryła się w zakątku. Stąd miała zamiar zbliżyć się do Alci-phrona póki jeszcze było ciemno, i nim się rozpocznie oświecenie wielkiego posągu za zasłoną, lecz bojaźń wstrzymywała ją, aż już było zapóźno.

Kilka minut jeszcze, a już miały być wzniesione ogromne zasłony i cała wspaniałość tej czarującej sceny rozpostarta: w tej chwili zebrała nakoniec całą swą odwagę, i korzystając z krótkiej nieobecności kapłana, który przygotowaniami do tego świetnego widowiska był zajęty, przeszła ukradkiem pod zasłoną i zbliżyła się w ciemności do Epikurejczyka. Teraz nie było już czasu do jakichkolwiek objaśnień; zaledwie mu mogła te kilka słów powiedzieć: „idź za mną i milcz!”, a gotowość, z jaką ujrzała się wysłuchaną, napełniła ją niemniejszym podziwem od tego, w jaki słowa powyższe filozofa wprawiły.

W kilka sekund znajdowali się już na drodze przez podziemne zakręty wiodącej, zostawiając kapłanów Izydy trwoniących marnie swe mamidła w licznych cudach i zjawiskach, które teraz przed pustym przybytkiem rozpościerali, w niewiadomości, iż ten, którego z tak wielkiem staraniem pragnęli olśnić, w tej chwili pod przewodnictwem młodej chrześcianki z pod działania ich czarodziejskich ułudzeń uprowadzony został.

ROZDZIAŁ XIV.

Taką powieść, jaką tu w główniejszych zarysach podałem, opowiedziała mi wzruszonym głosem niewinna dziewczica.

Słońce właśnie wschodziło, gdy przestała mówić. Zaledwie ostatnie wyrzekła słowa, gdy strwożona spostrzeżeniem uczuć we mnie wzbudzonych, śpiesznie ze swego miejsca powstała, udając się do namiotu i zostawiając mnie samego z tłoczącymi się do ust słowami.

Tłumem rozmaitych uczuć przejęty, zostałem na pokładzie w takim wzruszeniu, że nawet myśleć o śnie nie mogłem. A lubo każde słowo, które wyrzekła, każde uczucie, jakie objawiła, płomieniom mnie pożerającym nową nadawały podniecie, wiele wszakże jej powieść zamykała w sobie takiego, co mnie zrażało i niepokoiło. Znalesć pod odzieżą kapłanki z Memfis chrześciankę, byłoby, gdyby serce moje mniej w tem udziału miało, odkryciem, moję wyobraźnię i dumę jeszcze bardziej podniecającem. Lecz gdym wspomniał na surowość wiary, którą wyznawała, na ten czuły i święty węzeł, jaki z nią w jej pamięci się łączył, i na nabożność serc kobiecych do przedmiotów tak uświęconych, wówczas jej doskonałości nawet rozszerzały przepaść między nami, i co z jednej strony mej uamiętności najwięcej pochlebiało, to ostudzało z drugiej wszystkie nadzieje moje.

Gdybyśmy tak już na tej spokojnej rzece pozostawali ze sobą i bez przeszkody mogli udzielać sobie myśli i uczuć—znałem, jak mi się zdało, tak dobrze własności mojej płci jako też i jej, iżbym nie wątpił, że miłość musiałaby w końcu odnieść zwycięstwo; lecz surowość dozoru, pod który ją jakiemu mniemaniu pustyni, lub ponuremu pustelnikowi oddać musiałem, wpływ, jaki nad jej umysłem mógł pozyskać, i wstręt, jaki jej wpajać miał ku potępionemu niewiernemu, do którego się teraz uśmiechała—w każdym

z tych widoków postrzegałem tylko przyczyny rozpacz. Z upływem kilku godzin szczęście moje już miało zniknąć, a pośród naszych przeznaczeń otworzyć się miała przepaść, która ją tak daleko odemnie jak niebo od ziemi oddali.

Prawda, że teraz była jeszcze zupełnie w mej mocy. Nie obawiałem się innych świadków oprócz ziemskich, lecz chociaż w niebo nie wierzyłem, cześć jednak niosłem jej, będącej dla mnie obrazem i zastępstwem nieba. A jeśli kiedy jaka myśl krzywdy lub oszukania tak świętej istoty w duszy mojej wzrosła, jedno jej spojrzenie wstrzymywało świętokradztwo. Namiętność nawet przejęta była w jej obecności pokorą, jak płomień w świątyni drżący od chłodnego powiewu, i miłość, czysta miłość zastępowała miejsce religii.

Dopóki jej historii nie znałem, łudziłem się jeszcze marzeniami przyszłości, lecz teraz! jaki widok zostawał mi jeszcze? Pozostawała mi jedynie słaba nadzieja, że odwiodę ją od powziętego zamiaru, od surowej wiary, którą dotąd nienawidziłem, a przed którą teraz drżałem, i gdy tak sama i wolna w świetle stoi, związę ją na zawsze z moim losem.

W niespokojności, jaką mnie ten szereg myśli wypełniał, zerwałem się z mego miejsca, przechadzając się na pokładzie w skwarze słonecznym, aż rozmyślaniami i uczuciami znużonego sen opanował, który memu gorejącemu czołu snem ognistym być się zdawał.

Obudziwszy się, ujrzałem zasłonę Alethy starannie nad moją głową rozpostartą. Ona zaś siedząc w cieniu żaglu niedaleko mnie, spoglądała z uwagą na kartę, którą jej matka zostawiła, zdając się porównywać rysy na niej zawarte z biegiem wody i posta-

cią skalistych wzgórz, około których przepływaliśmy. Była blada i niespokojna; żywo wstawszy zbliżyła się do mnie, jakby długo i niecierpliwie na me obudzenie czekała.

Jawnem było, iż i jej serce utraciło spokój i drżało przed własnymi uczuciami. Lecz chociaż miała niejasne poczucie niebezpieczeństwa, na jakie się wystawiała, zaufanie jej wzrastało ku mnie, i więcej we mnie niż w sobie widziała nadziei ratunku. Ciągłym przedmiotem jej prośb i pragnień było to, aby jak najprędzej dostać się do schronienia w pustyni, a wyrzut, jaki sama sobie czyniła, iż choć na chwilę myśli swe od świętego zamiaru zwróciła, był dowodem nietylko, iż o nim zapomniała, lecz i na wpół świadomości przyczyny tego zapomnienia.

Opowiadała mi, że sen jej przerywały marzenia złowrogie. Co chwila ukazywał się przed nią cień matki i ze smutnym wzrokiem czynił jej wyrzuty, wskazując, jak to jej matka uczyniła przed skonaniem, ku wzgórzom na Wschód. Przy tem wspomnieniu zalała się łzami, a oddając w moje ręce kartkę, którą właśnie z uwagą rozpatrywała, prosiła o sprawdzenie, jaką część podróży mieliśmy jeszcze przebyć i w jakim czasie spodziewać się można było jej ukończenia.

Mniej jeszcze niż ona dawałem bacności na miejsca i okolice, które przepływaliśmy, lecz takie zaufanie, czułem to, było zaświętem, aby zawiedzionem być mogło. Lubo niechętnie, wdałem się w rozpatrzenie rysunku, który niestety, aż nadto prędko ostatnią moją nadzieję miał zniweczyć; życzenie jej atoli wystarczało do uciszenia mojej namiętności, i natychmiast wzięłem się do wypełnienia jej woli.

Na wschodnim brzegu Nilu, na północ od Antinoe, sterczy wysoka ostra skała nad rzeką, która od wieków z powodu cudownego zdarzenia, z nią związanego, nosi imię Góry Ptasiej. Corocznie albowiem, jak mówią, o jednym czasie i chwili, gromady ptaków zlatywać się mają do wąwozu, którego ta góra skalista jeden bok tworzy, i tam tajemniczy obrządek odbywać, tego rodzaju, iż jeden ptak po drugim dziób swój w szparę skały kładzie, aż do chwili gdy ta jednego przytnie, poczem wszystkie inne odlatują, zostawiając przeznaczoną ofiarę na łup śmierci.

Przez wąwóz, gdzie spełniają się te czary—gdyż za takie je lud uważa—płynął niegdyś kanał z Nilu do wielkiego lecz już w niepamięci i pod piaskami pustyni zagrzebanego miasta. W niejakiej odległości od brzegu znajduje się jeszcze ten kanał, lecz zaledwie wyjdzie z tego wąwozu, woda jego niknie i ginie w piaskach.

Ile mogłem wnioskować z rysunku na karcie skreślonego—gdyż tu gromada ulatających ptaków imię góry oznaczała,—mieszkanie pustelnika, któremu Alethe miała być powierzona, było blisko tego miejsca. Jakkolwiek mało obeznany byłem z geografią Egiptu, wpadło mi wszakże na myśl, iż tę górę już minęliśmy, co na zapytanie moje przewoźnik potwierdził. W rzeczy samej przebyliśmy około niej zeszłej nocy, a gdy odtąd wiatr mocny wiał z północy i słońce już na zachodzie stało, musieliśmy przeto najmniej o dzienną jazdę dalej na południe się znajdować.

Wyznać muszę, że serce moje uczuło z tego powodu radość, którą z trudnością ukryć mi przyszło. Zdawało mi się jakby los z miłością się łączył i jakby na chwilę odsuwając rozstanie nasze zostawił mi je-

szcze nadzieję szczęścia. Jej wzrok i mina, gdy się o tej okoliczności dowiedziała, zdawały się raczej ożywiać aniżeli gnębić tę moją nadzieję. W pierwszej chwili zdziwienia, wzniosły się jej oczy ku mnie z promieniem blasku, przed którym moje przymknęły się, jakby błyskawica przed nimi przebiegła. Lecz równie prędko spuściła znowu powieki, a gdy usta drżące walkę uczuć wewnętrznych wyrażały, złożyła ręce na piersiach i w milczeniu na pokład spoglądała. Cała jej postawa wyrażała smutek ale i rezygnację, jakby teraz czuła, że los wspiera złą sprawę, i że miłość już się wkrada pomiędzy jej duszę i niebiosą.

Rozumie się, że skwapliwie korzystałem z tego, co uważałem u niej za brak postanowienia; lecz zawsze obawiając się zaniepokojenia jej, odwołałem się do uczuć, dotknąłem tylko jej wyobraźni i pociągu do nowych wrażeń, który w młodzieńczem łonie łatwo się budzi. Zbliżaliśmy się teraz do czarodziejskiej Teb okolicy. „Za dwa dni najdalej,“ rzekłem do niej, „ujrzemy wznoszące się nad temi wodami olbrzymie ulice Sfinksów i wspaniałe obeliski Słońca. Odwiedzimy dolinę Memnona i owe kolosalne posągi, które swój cień przy wschodzie słońca rozpościerają nad Libijskimi wzgórzami. Wtenczas usłyszemy dźwięk posągu Słońca za pierwszym dotknięciem promienia światła porannego wydany. Stamtąd w kilka godzin zawiedzie nas przyjazny wiatr, jak ten, który w tej chwili powiewa, do wysp Słonecznych w pobliżności katarakt, a tam użyjemy przechadzki wśród świętych gaików palmowych w Philae lub spoczynku podczas skwaru południa w chłodnych sklepieniach, jakie wodospad w Syenie swym łukiem tworzy. O, któżby zimno się odwrócił od tak blisko znajdujących się powabnych widoków do

posepnej pustyni, i ten piękny świat z całym jego urokiem pomiął, nie poznawszy go? „Przynajmniej,“ mówiłem dalej, wzięwszy ją z czułością za rękę, — „przynajmniej pozwól nam jeszcze przez kilka dni oderwać się od tego smętnego przeznaczenia, jakiemu się poświęciłaś, a wówczas—“

Tylko te ostatnie słowa doszły jej uszu, reszta dla niej stracona była. Strwożona dźwiękiem czułości, jaki głos mój mimo mej woli przybrał, spojrzła mi przez chwilę z namiętną powagą w oczy, potem rzucając się na kolana z wzniesionymi rękoma, zawołała: „Niepokuszaj mnie, w imię Boga zaklinam cię, nie pokuszaj mnie do odstąpienia od mej świętej powinności. O! prowadź mnie natychmiast do tej samotnej góry, a będę cię błogosławić na wieki!“

Temu wezwaniu nie mogłem się oprzeć—lubo czułem, że sercu memu zgubnym groziło ciosem. W milczeniu podniosłem ją i lekkim ściśnieniem jej ręki okazałem, iż zadosyć uczynię temu życzeniu. A ponieważ zawsze jeszcze płynęliśmy ku południowi, wydałem rozkazy, aby żagle zwinięto i natychmiast do powrotu statek skierowano.

Gdym przystępował do dania tych zleceń, wpadło mi dopiero na myśl, iż nająwszy tę łódź w pobliżu Memphis, gdzie zbiegłą dziewicę najgorliwiej zapewne ścigano, byłoby bardzo nierozważnem, gdybyśmy przewoźnikowi jej przyszłe schronienie zdradzili. Obecna sposobność zdawała się najlepszą do uniknięcia takiego niebezpieczeństwa; rozkazałem przeto pod pozorem zwiedzenia pobliskiej świątyni przybić do lądu przy małej wiosce, leżącej nad brzegiem, odprawiłem naszą łódź i byłem wolny od wszelkiej obawy śledztwa, gdym

ujrzał żagle rozpięte i łódź szybko z wodą odpływającą.

Z czołn różnego rodzaju, które tam nad brzegiem na piasku leżały, wybrałem sobie jedno, które do mego zamiaru zdawało się najdogodniejsze. Było ono nierównie mniejsze i nie tak wygodne jak nasza łódź dotychczasowa, lecz tak lekkie, iż mogłem niem sam kierować. Nabyłem je przeto i po krótkim czasie byliśmy znowu na wodzie. Właśnie promieniste słońce zachodziło w całej swej okazałości za swe własne ołtarze w puszczy Libijskiej.

Wieczór był spokojny i najprzyjemniejszy ze wszystkich, jakich w naszej używaliśmy podróży; a gdyśmy od brzegów odbijali, słodka wiejska melodia od nich ku nam płynęła. Był to głos młodej dziewicy nubijskiej, która klęcząc nad brzegiem przed rozłożystą akacją, otoczona stojącymi w około towarzyszkami, śpiewała ów dziki hymn, jaki w jej krainie zwykli zwracać do tego czarodziejskiego drzewa.

Na początku i na końcu tego śpiewu łączyły się w chórze wszystkie towarzyszki młodej dziewicy i słyszeliśmy dźwięki ostatnie w powietrzu rozchodzące się długo jeszcze, gdy już całe grono z naszych oczu zniknęło.

Czy przy tem nowem rozporządzeniu, jakie dla naszej podróży uczyniłem, inny jaki powód się łączył, niż ten który wyrzekłem, sam prawie nie wiem, tak pomieszane i rozmaite były moje uczucia. Zaledwie atoli oddalił nas prąd wody od wszystkich ludzkich siedzib i zostaliśmy sami na wodzie, uczułem, jak taka samotność ściśle zbliża serca, i jak więcej zdawaliśmy się należeć do siebie, aniżeli wprzódy, kiedy jeszcze wzrok jaki na nas spoglądał.

To samo uczucie, lubo bez równego domysłu o jego niebezpieczeństwie, okazywało się w każdym spojrzeniu i słowie Alethe. Pamięć na tę wielką przemoc, jaką nad sobą zyskała, zdawała się serce jej zaspakajać odnośnie do jej obowiązku—gdy tymczasem uległość z jaką widziała mnie wykonywającego każde jej życzenie, napełniała ją tą wdzięcznością, jaka u kobiet jest jutrzeńką miłości. Była przeto szczęśliwą—niewinnie szczęśliwą; a jej ułożenie poufne, nawet serdecznie szczere, jak z jednej strony podnosiło świętość mego opiekuństwa, tak z drugiej strony czyniło je trudniejszym.

Jedynie o przedmiotach, które w żadnej styczności z naszym położeniem lub losem nie były, godziła się na wymianę myśli. Ale jak tylko napomknąłem coś o przeznaczeniu, jakie nas czekało, opuszczała ją wesołość i stawała się smutną i milczącą. Gdym jej opisywał wdzięki mej ojczyzny—jej źródła natchnienia i pola sławy—oczy jej błyskały sympatją, a nawet niekiedy okazywały wyrażenie słodkiego upodobania; lecz skorom odważył się poszepnąć, że w tej krainie sławy, czeka ją życie pełne miłości i wolności; kiedym zaczął dalej porównywać cześć i szczęście, jakiegoby tam doznawała, z posępną surowością życia, do którego dąży, zdawało się jakby nagle chmura zaćmiła słońce dnia letniego. Jej głowa opadła podczas mej mowy; nadaremnie czekałem odpowiedzi, i gdym na w pół żartem wyrzucił jej to milczenie i uchwycił jej rękę, czułem, jak łzy gorące na nią spadały.

Lecz i to—jakkolwiek pozbawiło mnie nadziei—było przeblyskiem szczęścia mojego. Widziałem, iż ją utracę, lecz widziałem zarazem, iż kochany jestem.

Podobnie do jeziora w kraju Róz ¹⁾, którego woda jest na wpół słodka na wpół gorzka, czułem, iż los mój był na pół szczęściem na pół cierpieniem—lecz nawet i tych cierpień nie oddałbym za zwykle szczęście.

Tak upływały godziny tej nocy; gdy każda chwila skracala nasze błogie marzenia, a bieg wody zdawał się bystrzejszy niż kiedykolwiek. Każda okoliczność tkwi mi jeszcze świeżo w pamięci: odbijające się w nurtach gwiazd światło; pluskające ruchy czółna, które bez wiosła i żagli jak czarodziejski statek z wodą płynęło; wonny ogień, jaki na pokładzie się palił, i te lica, na które jego blask padał z każdym ku mnie zwrotem nowe okazując wdzięki, rumieniec lub spojrzenie, coraz powabniejsze.

Często, gdy w takim widoku zatopiony siedział i wszystko inne na świecie zapominał, czółno nasze, samo sobie zostawione, nim się postrzegłem zbaczało z kierunku wody ku brzegowi, wsuwając się pomiędzy kwiaty wodne lub w wir. A raz, gdy szelest mego wiosła z pomiędzy kwiatów spłoszył kilka dzikich Antylop, które dla napojenia się przyszły w tej cichej godzinie do Nilu, widziałem w nich emblemat tego młodocianego obok mnie serca, które równie pierwszy raz nadziei i miłości, pokosztowało i niestety, tak wczesnie i na zawsze dla ich słodyczy miało być zamknięte!

¹⁾ Prowincya Arsinoe, teraz Fium.

ROZDZIAŁ XV.

Noc bardzo już późna, zwrot naszej drogi w lewo i zbliżanie się do wschodnich gór nad rzeką okazywało, iż mieszkanie pustelnika nie musiało być daleko. Teraz każda chwila zdawała się być ostatnią w życiu; i już czułem wstępującą do serca mego rozpacz, któraby była nie do zniesienia, gdyby zamiar, jaki nagle i jakby natchniony powziąłem, nie był przełał w mój umysł promienia nadziei, i do pewnego stopnia ukoił moje uczucia.

Jakkolwiek w ciągu całego życia nienawidziłem wszelką obłudę, bo—nawet sekta, którą sobie obrałem stała się dla mnie szczególnie powabną przez walkę, jaką na wpół zrozumiałym baśniom innych sekt wydała—jednakże nie wzdrygnąłem się uciec do obłudy, gdyż bardziej niż hańby lub śmierci, bałem się rozłączenia z Alethe. Rozpacz poddała mi ten zamiar upokarzający, bo nawet wśród radości, z jaką go powitałem, czułem jak był upokarzającym: postanowiłem przedstawić się pustelnikowi, jako mający chęć nawrócenia się na jego wiarę, i tym sposobem zostać pod jego dozorem współuczniem Alethe.

Od chwili powzięcia tego zamiaru, umysł mój znacznej doznał ulgi. Lubo jawnie stał mi przed oczami cały labirynt fałszu, w jaki mnie to wprowadzić musiało, nie myślałem wszakże o niczem innem, jak o tem, iż nadal razem z sobą będziemy;—w obec tej nadziei wszystka duma — wszystka filozofia poszła w zapomnienie, bo wszystko zdawało się łatwem do zniesienia, prócz jej utraty.

Powziąwszy takie postanowienie już z mniej przykrem uczuciem zacząłem na usilne prośby Alethe szukać położenia owej znanej góry, w sąsiedztwie której leżało mieszkanie pustelnika. Ominęliśmy już kilka ogromnych skał, które jak warownie nad wodą sterczały w górę, i niejako zgadzały się z opisaniem karty. Tak mało jednak było ożywienia wzdłuż brzegów, iż straciłem już nadzieję powzięcia wiadomości z ust czyich, gdy przebiegając wzrokiem brzeg zachodni, ujrzałem rybaka wśród gęstwiny tataraku, kierującego z trudnością swą małą barkę przeciw wodzie. W przejeździe pozdrawiając go zapytałem: „gdzie leży Góra Ptasia?“ i zaledwie miał czas wskazując palcem w górę nad nami, odpowiedzieć: „tam,“ gdy już postrzegliśmy, że wjeżdżamy w cień, jaki ta ogromna skała na cały Nil rozpościera.

Po kilku minutach zbliżyliśmy się do wąwozu, którego jeden bok tworzy Góra Ptasia, środkiem zaś płynie na wpół wysuszony kanał Nilu. Na widok tych posępnych skał, wśród których—jeżeliśmy dobrze kartę zrozumieli—znajdować się musiało mieszkanie pustelnika, głos nasz zmienił się w ciche szepty, podczas gdy Alethe w zabobonnej trwodze na mnie spojrzała, jakby w bojaźni, czy od jej boku nie znikłem. Wskazanie jednak nagle ręką na wąwóz, oznaczało aż nadto jawnie, iż postanowienia swego nie zmieniła. Wstrzymałem przeto wiosłem szybki bieg naszego czółna, i z wielką trudnością sprowadziwszy je z prądu rzeki, wjechałem do kanału szczerniałego, stojącą wodą napełnionego.

Nagle było przejście z uśmiechającego się życia i kwitnącej natury do samej głębi pustyni. Z jednej strony wąwozu płynęła woda w cieniu, z drugiej zaś

wysoko w powietrze wznosiły się sine urwiska skał w bladem świetle księżyca. Mulista woda, przez którą płynęliśmy, z trudnością ulegała wiosłu, a po krzyku kilku wodnych ptaków, których z ich siedlisk spędziiliśmy, nastąpiło tak przerażające i śmierci podobne milczenie, iż obawialiśmy się przerwać je tchem nawet, tylko cicho wyszeptaliśmy słowa: „jak smutno!“ „jak posepnie!“ —

Już chwil kilka płynęliśmy tym ponurym wąwozem, gdy niedaleko na wysoku skały, niewysoko nad kanałem leżącym, ujrzelśmy małą grootę, kilkoma drzewami osadzoną, jedyny ślad mieszkania ludzkiego! „To więc,“ myślałem sobie, „to jest siedlisko przeznaczone dla Alethe!“ Dreszcz rozpaczy przejął na nowo me serce, i gdym tam okiem rzucił, wiosło nieporuszone spoczywało w mem ręku.

I Alethe, która również postrzegła owę pustelnię, przysunęła się do mnie bliżej, niż to czynić zwykła, i mocno wzruszona, kładąc rękę swą na moją rzekła: „tu musimy rozstać się na zawsze!“ Zwróciłem oczy na nią, gdy to mówiła; w jej rysach leżała taka czułość, taka rozpacz, że duszę mą razem smutek i zapal ogarnął. „Rozstać się!“ zawołałem namiętnie: „Nie! Jeden Bóg przyjmie nas oboje. Twoja wiara, Alethe, będzie od tej chwili i moją, i chcę żyć i umierać w tej pustyni wraz z tobą!“

Jej zdziwienie, jej radość na te słowa, były jakby chwilowym szalem. Błędny, niespokojny uśmiech z jakim na mnie spojrzała, jakby dla zapewnienia się, że słowa moje dobrze usłyszała, okazywał radość, której jeszcze umysł jej znieść nie mógł. Wreszcie przepełnione jej serce znalazło ulgę we łzach, a przerywanym głosem wzywając błogosławieństwo niebios na

mnie, opuściła głowę bezsilną i omdlewającą na moje ramię. Widziałem jak jej oczy, które na chwilę zamknęła, zwracały się znowu na mnie z tąż samą czułością,— wielki Boże, jakże żywo pamiętam tę chwilę! Już usta moje do jej ust się zbliżały, gdy nagle w powietrzu nad nami, jakby z Niebios, ozwał się chór głosów, i swym świętym i słodkim dźwiękiem całą dolinę napełnił.

Odsunąłem się od niej na odgłos tych jakby nadprzyrodzonych dźwięków, a dziewica rzuciła się drżąc na kolana i nie śmiejąc wnieść oczu w górę, zawołała gwałtownie: „Matko moja,! ach matko moja!“

Był to hymn poranny Chrześcijan, ten sam, którego, jak się później dowiedziałem, Alethe od matki swojej na górnym tarasie w Memphis nieraz przy wschodzie słońca uczyła się śpiewać.

Prawie niemniej przejęty jak moja towarzyszka, wzniosłem oczy w górę i ujrzałem na wierzchołku tej samej skały nad nami, światło, które zdawało się pochodzić z małego otworu lub okna, skąd równie płynęły i te dźwięki, które tak niezwyczajnie uderzały nasze ucho. Nie było już przeto wątpliwości, iż znaleźliśmy, jeśli nie mieszkanie pustelnika, to przynajmniej ukryte w tych skałach schronienie stronników Chrystyanizmu, a ich pomoc miała nam posłużyć do odkrycia miejsca, gdzieby się znajdował pustelnik.

Wzruszenie, jakie Alethe uczuła na pierwsze tony psalmu, ustąpiło wkrótce słodszyemu wspomnieniu, w jakie ją wprowadził; i z spokojnością malującą się we wszystkich jej rysach zdawała się czuć, iż teraz w przeznaczonym porcie stanęła, błogosławiąc dźwięki, które ją tam powitały, jakby głos Niebios samych.

Ja atoli jej spokojności dzielić nie mogłem. Niecierpliwy i z ciekawością natężoną pytając, co ją i mnie tu czekało, skierowałem nasze czołno prosto pod okno ku brzegowi skały, na której wierzchołek miałem myśl się wdrapać. Powziąwszy przeto udzielone mi na prędce przez dziewicę opisanie i zażądawszy, aby mi raz jeszcze powtórzyła imię tego Chrześciana, któregośmy szukali, wyskoczyłem na brzeg, i niezadługo znalazłem wykute w skale schody, które kręto na wierzchołek góry prowadziły.

Idąc czas niejaki po nich, wszedłem na płaskie miejsce, które, jak ogród ludzką ręką uprawiony, zasadzone było drzewami figowemi i palmami; w około niego przy świtającym słabo świetle porannem ujrzałem znaczną liczbę małych pieczar czyli grot, z których jedne przez ludzi zamieszkałe być mogły, inne nie zdawały się obszerniejsze, jak groby poświęconych ptaków w około jeziora Moëris.

Byłem tu na połowie; odtąd wznosiła się skała w górę pionowo—i już o dostaniu się wyżej zwątpiłem, gdy w cieniu drzewa figowego znalazłem wysoką drabinę drewnianą, mocno opartą o skałę i ułatwiającą wstęp na nią.

Wróciwszy z temi postrzeżeniami do Alethe, którą w czólnie drżącą z trwogi znalazłem, zaprowadziłem ją po stopniach do owego ogrodu, a zostawiwszy ją w świętem jego zaciszu, wszedłem wyżej ku światłu na wierzchołek skały.

Na końcu wysokiej drabiny wstąpiłem znowu na drugą płaszczyznę, która lubo mniejsza niż pierwsza, równie drzewami obsadzona była. Przy bladym świetle księżycy i zorzy porannej spostrzegłem też i kwiaty. Teraz byłem już blisko wierzchołka, a gdy i tu

znalazłem o skałę opartą podobną pierwszej drabinę, wkrótce dostałem się do otworu, z którego światło wychodziło.

Przysunąłem się bez szelestu, już to z pewnego uczucia uszanowania, już dla nieprzerwania nagłego tych obrzędów, do których się wciskałem. Zbliżania się więc mojego nie usłyszano, i dlatego mogłem przez kilka chwil rozpatrywać wewnątrz tego schronienia, nim me zjawienie się przy oknie spostrzeżono.

W środku komnaty, która może niegdyś była świątynią pogańską, ujrzałem zgromadzenie z siedmiu lub ośmiu osób obojej płci złożone, które w milczeniu około małego ołtarza klęczały. Pomędzy nimi, jakby temu obrzędowi przodując, stał starzec. Właśnie w chwili mego przybycia podawał jednej z kobiet modlących się puchar alabastrowy, który ona z największą pokorą do ust zbliżyła. Oblicze tego szanownego sługi bożego, gdy teraz krótką modlitwę nad głową tej kobiety odmawiał, nosiło wyraz głębokiego uczucia, jawnie wskazującego, jak całkowicie był tej czynności oddany,—a gdy niewiasta napiła się z pucharu, na którym, jak dojrzałem, głowa w promieniach wryta była ¹⁾, schylił się święty mąż i pocałowanie na jej czole wycisnął ²⁾.

Po tym znaku pożegnania, podniosło się całe zgromadzenie i w tej chwili okrzyk jednej z kobiet

¹⁾ Według Tertuliana na kielichach używanych do komunii było zwykle wyobrażenie Chrystusa.

²⁾ Tenże autor pisze, iż zgromadzenia nabożne pierwotnych chrześcijan kończyły się zwykle pocałunkiem pokoju—oznace łączącej ich miłości braterskiej.

zjawienie obcego za oknem objawił. Wszystkich zdawała się ogarniać trwoga i pomieszanie, prócz niego, osoby głównej, który ze spokojnym wzrokiem od ołtarza odstąpił, drzwi obok okna będące otworzył i mnie wpuścił.

W rysach tego starca malowała się wzniosłość i słodycz, prostota i moc duszy, która zarazem szacunek i zaufanie nakazywała. Spoglądając więc na wpół z nadzieją i z trwogą na tego dla Alethe przeznaczonego opiekuna, wyrzekłem wchodząc zmieszany imię „Melanius.“ „Melanius jest moje imię, młody cudzoziemcze,“ odpowiedział: „a czy przychodzisz jako przyjaciel czy nieprzyjaciel, błogostawi cię Melanius!“ To mówiąc, zrobił znak prawą ręką nad moją głową, którą pochylilem.

„Ta książka,“ rzekłem dalej: „niechaj świadczy o duchu przyjaznym mego poselstwa.“ Poczem złożyłem mu do rąk odpis Pisma świętego, jaki dał sam niegdyś matce Alethe, a który teraz jej dziecię odnosiło, jako uwierzytelnienie do jego opieki. Na widok tej świętej pamiątki, którą zaraz poznał, powaga z jaką mnie przywitał, zmieniła się w czułą dobroć. Myśli o przeszłych czasach zdawały się umysł jego przebiegać, i gdy z westchnieniem wspomnienia książkę z mych rąk odebrał, kilka słów na wierzchniej okładce wpadły mu w oczy. Zawierały one zapewne ostatnie życzenia umierającej Theory, gdyż czytanie onych lzy z oczu jego wycisnęło. „Ten powierzony mi zakład“ rzekł głosem drżącym, „jest dla mnie święty i Bóg, jak mam nadzieję, da moc słudze swemu, ażeby mógł wiernie go zachować.“

Podczas tej rozmowy, odeszły osoby inne, któremi, jak się później dowiedziałem, byli pobożni bracia z po-

bliskich brzegów Nilu tu przededniem potajemnie dla wspólnego czczenia Boga schadzający się. W obawie przeto, aby ich oddalenie się ze skały nie nabawiło Alethe niespokojności, udzieliłem naprędce w kilku słowach potrzebne objaśnienie starcowi i śpiesznie do niej udałem się na dół.

ROZDZIAŁ XVI.

Melanius był jednym z pierwszych z pomiędzy tych chrześcijan, którzy za świeżym przykładem pustelnika Pawła, wszystkich się rozkoszy i wygod towarzyskiego życia wyrzekli, poświęcając się rozmyślaniu w pustyni. Nie zapomniał wszakże Melanius świata, opuszczając go. Wiedział on, że człowiek nie dla tego się rodzi, aby żył jedynie dla siebie; że jego stosunek do społeczeństwa ludzkiego był niejako ogniwem łańcucha, i że nawet jego odosobnienie dobro innych, na celu mieć powinno. Gdy się przeto ze zgiełku i niespokojności życia usunął, nie dążył do tego, aby się ze stosunków życiowych wylamywać, lecz obrał sobie schronienie takie, gdzieby korzyść samotności połączyć mógł ze spokojnem służeniem swym współwyznawcom.

Upodobanie w schronieniach podziemnych, jakie plemię Misraima przejęło od swoich etyopskich przodków, napełniło Egipt grotami i pieczarami, stanowiącemi dla chrześcijan pustelników mnogie schronienia. Jedni z nich przeto szukali ukrycia w grotach Elethyi, inni w grobowcach królewskich Tebaidy. Wśród Siedmiu Dolin, dokąd promienie słońca rzadko kiedy

dochodzą, obrali sobie niektórzy ponure i smutne siedliska, inni w sąsiedztwie Czerwonych jezior w Nitryi, na wzór owych dawnych pogańskich pustelników, którzy nad Martwem morzem pod palmowemi drzewami mieszkali, wśród niepłodnej natury i w jej pustyniach zdawali się szukać spokoju.

Melanius, jak już widzieliśmy, obrał sobie za mieszkanie jedną z gór Said na wschód rzeki, pomiędzy różnobarwną obfitością Nilu z jednej, a smutnym i dzikim odłogiem puszczy z drugiej strony. Na wprost góry, tam gdzie ona sterczy nad wąwozem, znalazł liczne groty, które w skale wykute w poprzednich czasach do tajemnego jakiegoś celu służyć musiały, teraz jednak oddawna stały zapomniane i puste.

Gdy wygnano jego wielkiego mistrza Orygenesę, Melanius z kilkoma wiernymi stronnikami schronił się w to miejsce, gdzie tak przykładem cnotliwego życia, jak swą pociągającą wymową, udało mu się znaczną liczbę mieszkańców na swą wiarę nawrócić. Ponieważ znajdował się w bliskości bogatego miasta Antinoe, imię jego i sława, lubo się wcale między ludzi nie cisnął, znane tam były każdemu—a cela jego dla wszystkich, którzy rady lub pociechy szukali, stała otworem.

Lubo sobie surowe wszelkich wygod życia odmawiał, starał się jednak najusilniej dostarczyć ich innym. Na twardem łożu ze słomy szukając spoczynku, wygodniejsze dla obcych miał zawsze w pogotowiu. Poodróżni i ubodzy nigdy bez posiłku grot jego nie opuszczali, a z pomocą niektórych swych współwyznawców pozakładał na płaskich miejscach skał ogrody, które zdobiąc jego schronienie dostarczały cienia i owoców, tak niezbędnych w tym klimacie.

Chociaż znajomość, jaką zabrał z matką Alethe w krótkim przeciągu czasu, przez który też szkołę Orygenesusa odwiedzała, wkrótce przerwana i więcej nigdy odnowiona nie została, pamięć jej losu, który go wówczas zajmował, była tak żywą, iż nigdy w umyśle jego wygasnąć nie mogła. Dostrzegł on zapał, z jakim młode serce Theory owe nauki chwyciło, a myśl, że taka wychowanka Niebios znów cześć pogańskim bóstwom niosła, nieraz duszę jego niespokojnością i troską napelniała.

Z prawdziwą też radością na dwa lata przed jej śmiercią dowiedział się przypadkiem, iż nietylko jej serce wiarę prawą zachowało, lecz że nowy krzew w tej samej niebieskiej nadziei wzrasta, i że wkrótce ujrzy je obiedwie w pustyni.

Przybycie Alethe mniej go przeto zdziwiło; lecz boleść przejęła go na wiadomość, że sama przychodzi. Milczenie, gdy się spotkali, dowodziło jak boleśnie ich duszę dotyka to, że węzeł, który ich zjednoczył, już na tym świecie nie istnieje, iż ręka, która tu w ich ujęciach spoczywać miała, już w grobie złożona. Spozstrzegłem wtedy, że nawet taka religia jak jego nie broni od smutku, jaki śmierć sprawia. Gdy bowiem starzec sploty z czoła Alethe odgarnął i w jej rysach pamiątki tego, czem jej matka była, szukał, głęboki żal mieszał się z pobożnością w tych jego słowach: „jej dusza na łonie Boga spoczywa,“ które świadczyły jak mało smutek uśmierzyć może nawet pewna nadzieja pozyskania Niebios przez tych, których kochaliśmy, a którzy dla nas na ziemi straceni zostali.

Dzień pełen blasku rozpostarł się teraz po pustyni, a nasz gospodarz, który po znużonych oczach

Alethe poznał, ile niespokojnych godzin bez snu spędziliśmy, radził nam szukać spoczynku, jaki mogło ofiarować mieszkanie pustelnika; wskazując przeto na jedną z największych pieczar, rzekł do mnie: „Znajdziesz w tej grocie łoże ze świeżych liści, a przekonanie, żeś sierotę ocalił, niechaj ci spokojnego snu użyczy!”

Czułem, jak drogo okupiona była przezemnie ta pochwała i znów żalowałem, iż mogłem na nią zasłużyć. Na licach Alethe, gdym ją żegnał, malował się smutek, a uczucie mego serca aż nadto mu odpowiadało; a gdy zwolna rękę swą z mojej usunęła, przejęła mnie obawa, że przez tę ofiarę na zawsze ją utraciłem.

Sędziwy starzec dał mi teraz lampę, bez której nawet wśród południa wejść do tych ukrytych pieczar było niepodobna i zaprowadził mnie do mojego tymczasowego schronienia; a tu, muszę wyznać ze wstydem, zaczął się zawód mojej obłudy. Aby pozyskać jeszcze jedno spojrzenie Alethe, obróciłem się, prosząc pokornie chrześcijanina o błogosławieństwo, i dopiero gdym tak w mej schylonej, cześć składającej postawie, tyle z głębi serca mego uczuć jej przesłał, ile tylko spojrzenia wyrazić mogły, udałem się z pozbawionem nadziei sercem, do mej pieczary.

Przez małe przejście wstąpiłem do jaskini, której ściany jak groty w Lycopolis były okryte malowaniami, a lubo dawno robione, taką świeżość zachowały, jak gdyby farby dnia poprzedniego nakładane były. Wszystkie te obrazy wystawiały sceny wiejskie i domowe a w większej ich części smętne wyobrażenia artysty wyprowadzała na widok śmierć, jak zwykle rzucającą swój cień na scenę obrazu.

Uwagę moję zwrócił mianowicie szereg przedmiotów, w których zawsze jedno grono, to jest młodzieniec, dziewica i dwie sędziwe osoby, zdające się być rodzicami dziewicy, we wszystkich szczegółowych scenach codziennego życia przedstawione były. Spojrzenia i postawy młodszych, wskazywały, że byli kochankami; niektóre miejsca wystawiały ich siedzących pod cieniem wonnego krzewu, inne przechadzających się nad brzegami Nilu.

Przy każdej z tych scen miłości znajdowały się dwie osoby starsze. W ich spokojnych zadowolonych rysach widać było, że brały udział w szczęściu dzieci. Dotąd wszystko było pełnem szczęścia młodych; lecz smutna lekcya śmiertelności nie chybiła. Na ostatnim obrazie brakło już jednej osoby: młoda dziewica z pomiędzy nich znikła. Nad brzegiem ponurego jeziora stały trzy inne—podczas gdy czółno, które właśnie ku Miastu śmierci płynęło, aż nadto jawnie koniec ich marzenia o szczęściu wyjaśniało.

Ta pamiątka smutku czasów przeszłych—smutku tak dawnego na świecie jak śmierć sama—powiększyła jeszcze moje melancholijne usposobienie i ciężar jaki mój umysł już uciskał.

Po nocy w myślach bezsennie spędzonej, powstawszy z mego łóża wyszedłem do ogrodu. Tu znalazłem starca samego: siedząc przy stoliku pod drzewem, trzymał w ręku książkę; u nóg jego spała piękna antylopa. Uderzony różnicą, jaką stanowił z owymi wyniosłymi kapłanami, których w wystawności i mamiącym blasku w świątyniach widziałem: „jest że to,“ pomyślałem sobie, „ta Wiara, przed którą drży świat

teraz?— Jej świątynią puszcza, skarbem książka, a jej wielkim kapłanem samotny mieszkaniec skały?”

Znalazłem tu przysposobiony przez niego skromny dla mnie posiłek: owoc z własnego ogrodu, chleb i sok z trzciny cukrowej stanowiły cały zbytek. Była mnie jeszcze z większą uprzejmością niż wprzódy, lecz nieobecność Ælethe, a bardziej jeszcze wstrzeżliwość, z jaką nie tylko wymówienia imienia jej unikał, lecz i omijał pytania, któremi go na ten przedmiot starałem się naprowadzić, zdawały się potwierdzać obawę, jaką przy pożegnaniu z nią uczulem.

Uwiadomiła go jak uważałem o wszystkich szczegółach naszej ucieczki. Sława moja jako filozofa—życzenie zostania chrześcianinem—znane już były pu-stelnikowi, a sprawa mego nawrócenia była pierwszem, o czem zaczął. O dumo mądrości światowej, jakże byłaś upokorzona i z jakimże zawstyżeniem stałem ze spuszczone mi oczyma przed szanownym starcem, gdy z uprzejmem zaufaniem do rzeczywistości mego zamiaru, pozdrowił mnie jako uczestnika świętej jego nadziei, i pocałowanie miłości na mojem niewiernem czole wycisnął!

Jakkolwiek przekonanie wewnętrzne o mojej obłudzie, wprawiało mnie w pomieszenie, bardziej jeszcze dręczyła mnie zupełna niewiadość prawdziwej zasady Wiary, której nowym wyznawcą się oznajmiłem. Zawstyżony i zmieszany, z sercem pełnem wstrętu do własnej obłudy, słuchałem wymownych i pełnych ognia słów chrześcijanina, czyniąc za każdym przestankiem pokłony.

Gdyby próba ta kilka jeszcze minut dłużej trwała, byłbym sam wyznał mój podstęp. Święty mąż ostrzegł jednak moje pomieszenie; a czy je wziął za

pokorę, czy rzeczywiście za niewiadomość, uwolnił mnie od niego, zwróciwszy rozmowę na inny przedmiot. Budząc zwolna swą antylopę, rzekł do mnie: „Zapewnie słyszałeś o moim bracie pustelniku Pawle, który ze swej jaskini w górach marmurowych blisko morza Czerwonego codziennie śle „ofiary dziękczynną“ do niebios. Słyszałem, że w przechadzkach towarzyszy mu lew; dla mnie wszakże,“ dodał ze znaczącym i miłym uśmiechem,— „dla mnie, który me siły tylko oswojeniu łagodniejszych zwierząt poświęcam, to słabe dziecko pustyni jest stosowniejszym towarzyszem.“ Poczem wziął swoją laskę; starą książkę, w której czytał, schował do worka z koziej skóry, który przy boku jego wisiał, i rzekł: „teraz oprowadzę cię po mem państwie skalistem, abyś widział na jakim twardym i dzikim gruncie ten owoc duszy, Pokój, zebrany być może.“

Mówić sercu takiemu jak moje w tej chwili o pokoju, było to samo jakby na morzu tonącemu żeglarzowi opowiadać o oddalonym porcie. Nadaremnie oglądałem się dokoła za jakimś śladem pobytu Alethe, nadaremnie próbowałem chociaż jej imię wymówić. Myśl o moim podstępie i obawa wzniesienia w Melaniusie podejrzenia, które mnie jedynej mej nadziei pozbawić mogło, więziły mój umysł i krępowały język. Więc świadomy mojej obłudy szedłem w milczeniu za uprzejmym starcem, który teraz powolnym lecz pewnym krokiem wchodził na skałę po tej samej drabinie, której ja zeszłej nocy użyłem.

Opowiadał mi, jak podczas prześladowania chrześcijan za cesarza Decyusza, wielu ich z sąsiedztwa uciekło do tych grot pod jego opiekę, i że kaplica na wierzchołku góry, gdzie ich modlących się zastał,

była w tych czasach niebezpieczeństwa ich schronieniem, gdzie, wciągając za sobą drabinę, od wszelkiego napadu uchronić się mogli.

Z wierzchołka skały rozciągał się widok na dwie strony: na okolicę żyzną i na pustynię; a epikurejczyk i pustelnik, którzy teraz z tej wysokości spoglądali, oddali się każdy właściwemu sobie pociągowi: ten do żyjącej rozkoszy, drugi, do martwej spokojności pustyni. Co za obraz pełen życia stał przed nami, gdyśmy się zwrócili ku rzecel! Niedaleko nas na południe wznosiły się kształtne kolumnady Antinoe, jej wspaniałe i ludne ulice, i pomniki zwycięstw odniesionych. Dalej po za rzeką żyzne doliny, aż do brzegów starannie uprawiane, ofiarowały swe owoce słońcu, jakby z zieleniejących się ołtarzy; gdy pod nami Nil marmurowymi gradami i pomnikami z obu stron brzegów jaśniejącymi opasany, rozaczał się wśród dolin i płaszczyzu jak olbrzym z rozpostartymi członkami z łoża wspaniale powstający.

Od tego widoku z jednej strony zwróciwszy oko ku drugiej, ujrzeliśmy jakby samą naturę wygasłą. Szeroka pustynia piaszczysta, martwa i niezmierzona; nawet słońce zdawało się znużone widokiem tego zawsze jednakowego spustoszenia; sterczały czarne wypalone skały, jak szranki przed którymi życie ustaje; a jedynymi oznakami życia, kiedyś lub teraz, były tu i owdzie, ślady stąpania antylopy lub strusia, albo kości nieżyjących wielbłądów, bielące się w oddaleniu od siebie i wskazujące drogę, którą karawana pustynię przebywała.

Posłuchawszy pustelnika, jak w krótkich lecz wymownych słowach porównywał dwie dziedziny życia i śmierci, na granicy których staliśmy, zszedłem z nim

znowu do ogrodu, któryśmy przed chwilą opuścili. Stąd zaprowadził mnie krętą ścieżką, która się z góry spuszczała, do innego szeregu grot naprzeciw pustyni, służących niegdyś jego współwyznawcom, a w kilka miesięcy później przez śmierć opustoszozonych. Krzyż z czerwonego kamienia i kilka drzew uschłych, były jedynym śladem po tych pustelnikach.

Nastało kilkuminutowe milczenie, podczas którego zeszedliśmy na brzeg kanału, i ujrzałem na przeciwnej stronie w jednej ze skał owę grotę, której widok tak żywo mnie przejął przeszłej nocy. Na brzegu znaleźliśmy małe czółno, jakie Egipcyanie z desek tartaniny budują, spajając one niekunsztownie taśmami papyrusu. Wsiadłszy w nie i przez mulistą a brudną wodę raczej posuwając się aniżeli płynąc, przybiliśmy do brzegu pod samą jaskinią.

To schronienie leżało, jak już wzmiankowałem, na wystającej skale, i było opatrzone oknem czyli otworem dla wpuszczania światła, i dlatego uchodziło za weselsze od grot po drugiej stronie wąwozu; cała jednak okolica była tak smętna i dzika, iż światło to smutne wrażenie tylko jeszcze zwiększało. Sino białawe skały stały jak mury oświecone promieniem słońca: bagnisty kanał nikuący w piasku, wszystko to budziło myśl obumierającego świata. Mieszkać w takim miejscu, zdawało mi się to samo, co być żywo zagrzebanym; a gdy starzec rzekł do mnie, skoro weszliśmy do jaskini: „tu jest twoje mieszkanie!” opuściła mnie cała moja odwaga, jakkolwiek na najgorsze przygotowany byłem; wszystkie uczucia zawiedzionej nadziei i upokorzonej dumy, jakie w ostatnich czasach serce me ogarniały, przedstawiły mi się nagle, i łzy rzuciły mi się z oczu!

Obeznanym ze słabością ludzką, a może i niejedno źródło mojej zgadujący, pustelnik, jakby niebaczny na moje wzruszenie, z pogodną twarzą rozwodził się nad tem, co nazywał komfortem mego mieszkania. Tu, rzekł on, przedsionek mój osłonięty od parzących wiatrów południowych, wpuszczać będzie świeże powietrze północy. Owoce do mego pożywienia miał mi dostarczać ogród jego; źródło pobliskiej skały ofiarowało świeżą i czystą do napoju wodę, „a tu“, rzekł dalej głosem poważnym i cichszym, kładąc na stół książkę, którą przyniósł, „tu mój synu jest główne źródło żyjącej wody, w którym jedynie znajdziesz stały posiłek i spokój.“ To wyrzekłszy, zszedł znów ze skały do swego czółna, i gdy odgłos kilku zamachów jego wiosła obił się o me uszy, otoczyły mnie samotność i milczenie głębokie.

ROZDZIAŁ XVII.

Jakiż los mnie spotkał! Jeszcze przed kilku tygodniami przewodniczyłem wspaniałemu obchodowi w Ogrodzie i wszystkie jego rozkosze szły jakby branki w moim orszaku; a teraz! sam się upokarzający pustelniczy odludek — obłudny wychowaniec chrześcijańskiego anachorety, nie mogący dla zasłonięcia wymówić się ani fanatyzmem, ani innym jakim szaleństwem; mając tylko miłość, nieograniczoną miłość, na wymówkę mojego upadku! I gdyby chociaż nadzieja jaka zabłysła, że tem upokarzającym poświęceniem mej istności, zyskam chociaż niekiedy jedno spojrzanie Alethe, taka

nadzieja osłodziłaby mi nawet głębinę pustyni; lecz żyć—i tak żyć—bez niej, to było ciosem, którem ani przewidywał, ani mógł przenieść.

Nie mogłem nawet patrzeć na moją jaskinię, i wybiegłem z niej na powietrze, po przez skały do pustyni. Słońce zachodziło za widnokrąg krwawem światłem, jakie w tym klimacie przy zachodzie przybierać zwykło. Widziałem jak piaszczysta płaszczyzna ginęła nakształt morza nieogarniona okiem—jakby ta pustynia aż do końca świata sięgała—i w goryczy mych uczuć, cieszyłem się, że tak wielka część stworzenia, chociażby dla niemożności ujarznienia jej przez człowieka, władzy jego się usuwała. Ta myśl zdawała się sprawiać ulgę mojej zranionej dumie, i gdym tak dziką i niezmierną samotnię przebiegał, czułem błogość wolności chociaż wśród upadku i zniszczenia.

Jedyną żyjącą istotą, jaką postrzegałem, była ruchliwa jaskółka, o skrzydłach również barwy szarych piasków, nad którymi się unosiła. „Czemuż, myślałem sobie, dusza nie może jak ten ptak przybrać barwy pustyni i być z nią w harmonii w jej posępnej surowości, w jej wolności, i pokoju?“—tak miotany rozpaczą i wzburzeniem, starałem się znieść z odwagą położenie, w którym się rozpatrywałem. Lecz te usiłowania były bezskuteczne. Pokonany ogromem samotności, której cisza niosła mi nie sen pokoju, lecz gwałtowne i palące milczenie nienawiści, czułem jak mój umysł i duch upadał, i jak miłość nawet ustępowała miejsca rozpaczy.

Usiadłszy na odłamie skały, zakryłem oczy rękami i usiłowałem zapomnieć o tym przemagającym mnie widoku. Lecz nadaremnie—stał niewzruszenie przedemną, zasilony jeszcze tem wszystkim, co tylko wy-

obrażnia dodać mogła; i gdym znowu odkrywszy oczy raz jeszcze zoczył ostatni, zczerwieniały promień ślizgający się przez pustynią, zdawał mi się światłem komety, który niegdyś ten świat zburzył i dzikie zwaliska, jego dziełem będące, oświecał.

Uciekając przed mą własną ponurą wyobraźnią, wróciłem znowu do wąwozu, i mimo odrazy, z jaką je opuściłem, szedłem z pewnem uspokojeniem po przez skały do mego mieszkania. Gdym się do jaskini zbliżał, z zadziwieniem ujrzałem w niej światło. W takiej chwili każdy ślad życia był mi pożądany i powitałem to niespodziane zjawienie z radością. Wszedłszy jednakże do mej izby, znalazłem ją równie pustą jak przedtem. Światło pochodziło z lampy, która jasno na stole świeciła, obok niej leżała rozłożona książka, którą mi dał Melanius, zaś na jej kartach—o radości niespodziana!—dobrze mi znany krzyżyk Alethe.

Jakaż inna ręka jak nie jej mogła mi to przyjęcie przysposobić? Myśl już sama o tem wlała w me serce nadzieję, przed którą wszelka rozpacz uchodziła. Nawet o ponurości pustyni zapomniałem, a pieczara moja nagle przemieniła się w jasną altanę. Tą uświęconą pamiątką przypomiwała mi tu sama o ślubie, jaki uczyniłem pod skałą pustelnika, i nie wahałem się teraz powtórzyć to śmiało przyrzeczenie, lubo świadomy, iż tylko za pomocą obłudy wypełnić je mogłem.

Przeto pragnąc gorąco przysposobić się do tej roli obłudnika, usiadłem i zacząłem czytać. Było to pismo święte hebrajczyków a pierwszy wiersz, na który oczy moje padły, był: „Pan przyobiecał wieczne szczęście i wieczne życie!“ Przejęty temi słowy, w których widziadło snu mego zdawało się stwierdzać swe przyrzeczenie, wzniosłem oczy w górę, powtarzając ten

wiersz ciągle, jakby dla próby, czy te dźwięki zawierają jakowy urok, aby wygasłe mej duszy złudzenie odżywić mogły na nowo. Lecz nie. Podstępne zabiegi kapłanów w Memphis wyгнаły wszelką mą ufność do obietnic religii. Serce moje wpadło znowu w ciemności powątpiewania, a jedyna odpowiedź, jaką dawało na słowo: „Życie,“ była: „Śmierć!“

Pełen niecierpliwości jednak aby obeznać się z głównymi zasadami wiary, od której—cokolwiek bądź na przyszłość obiecywać mogła.—szczęście moje na ziemi zależało, przebiegałem stronnice książki z zapalem i gorliwością, jakich nawet najulubieńsze nauki we mnie nie budziły. A chociaż, równie jak ci wszyscy, którzy ku samej powierzchowności oświaty dążą, karty te szybko przebiegałem, zatrzymując się jedynie przy znacześniejszych i świetniejszych miejscach, uczułem się wszakże, ujarzmiony przez tę poważną nadludzką szczytność, wzniosłą powagę i powabną wielkość obrazów napotykaných.

Aż dotąd znana mi była hebrajska teologia tylko z platonizującego subtylizowania Philosa; a wiadomość o nauce chrześcijan powziąłem jedynie od mych towarzyszy Epikurejczyków, Lucyana i Celsa. Wcale przeto nie byłem przygotowany na prostą szczytność, wzniosły ton natchnienia, wreszcie na poezję niebieską, która z tych wyrocznych wierszy płynęła. Gdyby podziwienie nadawało wiarę, byłbym jeszcze tej nocy został prawowiernym; tak wzniesioną, tak uświęconą została ma wyobraźnia przez tę cudowną księgę,—przez jej przestrogi, jej objawienia wspaniałości i jej nieporównane pieśni ku czci Boga lub w smutku duszy.

Godzina po godzinie upływała, a ja zawsze jeszcze przewracałem te karty z tą samą gorliwością cieka-

wością,—a gdy się wreszcie udał na spoczynek, wyobraźnia moja pełna jeszcze była wrażenia, jakim ją to czytanie nappełniło. Wszystkie te sceny, o których czytałem, snuły mi się jeszcze po głowie; jeszcze raz we śnie pojawiały się wspaniałe obrazy, które mnie tak zachwyciły, a gdy wczesnym porankiem obudził mnie hymn poranny z kaplicy, zdawało mi się, że słyszał dźwięk westchnień żałobnych, jakie wiatr wzbudzał przez harfy Izraela przewieszzone na brzozech.

Zerwałem się z mego łoża i pośpieszyłem na skałę w nadziei rozpoznania w tonach chóru porannego, słodkiego głosu Alethe. Lecz już śpiew umilkł; ostatnie tylko nuty hymnu, przez echo samotnej doliny powtórzone, skonały w milczącej pustyni.

Z pierwszym dnia światłem, zasiadłem znowu do mej nauki, i chociaż nieraz wzrok i myśl mimowolnie skierowały się ku wpół widzialnym grotom pustelnika, przetrwałem przy niej dzień cały. Lecz tylko jej wymowa i poezja oddziaływały na mój umysł; jej powaga nauczająca lub historyczne prawdy nie zatrzymywały mnie wcale. Gdy moję wyobraźnię tylko to zajmowało, ściągałem przeto do niej całą zawartość dzieła; i gdy tak następnie śpiesznie od ksiąg historycznych do Proroctw, od Przypowieści do Pieśni przebiegał, uważałem całość tylko jako utwór świetnych allegoryi, w których smętność egipskich pojęć łączyła się z bogatą i zmysłową obrazowością Wschodu.

Gdy słońce zachodziło, ujrzałem czółno Melaniasa na kanale, ku mej stronie zmierzające. Lubo przy sobie nie miał nikogo, prócz swej wdzięcznej antylopy, chwytającej nozdrzami świeże powietrze pustyni, jakby uczuwała swoje strony rodzinne, odwiedziny jego jednak wielką mi przyjemność sprawiły. Powiedział mi,

iż to była godzina jego wieczornej przechadzki po górach, i zwyczajnych odwiedzin studni w skale, z której co noc czerpał swój cenny napój. Postrzegłem też w ręku jego dzban gliniany, w jaki mieszkańcy tej odludnej okolicy świeżą rosę na skale zbierać zwykli. Zabrawszy mnie ze sobą, poprowadził od strony pustyni na skałę, która wznosząc się nad mem mieszkaniem, południowy mur, czyli obronny okop wąwozu tworzyła.

Niedaleko wierzchołka znaleźliśmy siedzenie, na którym starzec spoczął. Stąd był najlepszy widok na pustynię, i tu znajdowało się jedno z tych wydrążeń w skale, w których rosa nocna się zbierała ku orzeźwieniu nieczęstych podróżujących. Gdym mu opowiedział jak daleko w mojej nauce zaszedłem, wskazał na mały obłok ku wschodowi, jaki się ze mgły pustyni na widnokregu utworzył, a teraz tylko słaby blask zachodu słońca odbijał, i rzekł: „W tem świetle stoi góra Sinai, o której wspaniałości czytałeś, i której wierzchołek był miejscem jednego z tych wzniosłych objawień, w jakich Wszechmocny od czasu do czasu swą styczność z ludźmi odnawiał i pamięć swej Opatrzności w tym świecie żywą utrzymywał.“

Po chwili milczenia, jakby zupełnie w niezmierności swego przedmiotu zagłębiony, zaczął święty mąż mówić dalej. Zasięgnął wstecz najdawniejszych dziejów świata, i wykazał, jak za każdym upodleniem się rodu ludzkiego do czci bałwochwalczej, potęga boża objawiała się, aby dumnych przez karę oczyścić, upokorzonych łagodnością pozyskać. Aby tę żywą prawdę, że świat przez Najwyższą Istność utworzony zo-

stał—niewygasłą na ziemi utrzymać, wybrał Bóg z pomiędzy wszech narodów jeden, upokorzony, w niewoli pogrążony, aby go „na skrzydłach orlich“ z jarzma oswobodzić, i gdy każdy krok jego pochodz cudami otoczył, postawił go zarazem w obliczu następnych pokoleń, jako depozytariusza swej woli i wiekuisty pomnik swej władzy. Tu przeprowadziwszy przed moim umysłem długi poczet natchnionych wykładaczy, których pióro i głos były odbiciem słowa Bożego, z wypadków późniejszych wieków wytłómaczył powolne lecz ciągle rozwijanie się niezgłębianych zamiarów Opatrzności, zewnątrz wprawdzie pomroką osłoniętych, lecz wewnątrz pełnych światła i jasności. Przebłyśki zbliżającego się zbawienia, widzialne nawet po przez gniew Niebios; długi szereg prorocत्व, przez które nadzieja ta przebijala się żywa i palająca, nakształt iskry łańcuch przebiegającej; pełne łaski przysposobienie serc ludzkich do wielkiej próby ich wiary i pokory nietylko przez cuda, jakie ówczesnych wprawiły w podziwienie, lecz i przez przepowiednie na przyszłość, aby i w następnych pokoleniach obudzić zaufanie; przez te wszystkie, mówił kapłan, szczytne i dobrotliwe stopniowania, możemy postępować za wyraźnymi śladami Najwyższego, który zmierza do wielkiego i ostatniego celu: ocalenia swych stworzeń.

Po kilku godzinach poświęconych tej świętej nauce, wróciliśmy do wozu, i Melanius pozostawił mnie samego w mej jaskini. Żegnając się ze mną z czułością, której ja, niestety! tak mało godny byłem, zasyłał modły, aby dusza moja nauki te przyjęła „jak zroszony ogród, i aby niosła owoce ku wiecznemu życiu.“

Następny poranek powołał mnie znowu do mojej nauki. Mając w pamięci świeżo uczynione mi przez pustelnika objaśnienia, z nową uwagą czytałem księgę Zakonu. Nadaremnie jednak szukałem w niej przyrzeczenia nieśmiertelności. „Mówi wprawdzie,“ rzekłem sam do siebie „o Bogu, który na ziemię zstąpi, lecz nic o wzniesieniu się człowieka do Niebios. Nagrody i kary, jakie ogłasza, istnieją wszystkie z tej strony grobu, a nawet swym wybranym sługom nie uczynił Wszehmocny żadnej nadziei za obręb nieprzystępnych granic tego świata sięgającej. Gdzież się więc znajduje to ocalenie, o którym mówił chrześcijanin? lub czyliż, gdy śmierć korzeń wiary podcina, może z niej życie zakwitnąć?“ I na nowo w goryczy bezowocnych nadziei sztychłem z własnych dobrowolnych złudzeń, że sztuk zdrajczyni wyobraźni, która, naksztalt Dalili w tej księdze cudów, dybie ciągle na uśpienie rozumu, aby go potem bezwładnego i niedołęznego wydać nieprzyjaciółom. Jeżeli obłuda jest konieczna, pomyślałem, niech przynajmniej sam się nie łudzę i w tej rozpaczliwej ostateczności wyboru niech raczej będę obłudnikiem niż ciemięgą.

Jakkolwiek takie uwagi, w których jako własny oskarżyciel występować musiałem, nie wpływały zachęcająco, studyowałem jednak wciąż dalej. Czytałem i odczytywałem powtórnie w pewnego rodzaju odrętwieniu i apatyi, tak, że już i styl stracił swój urok i niezachwycały mnie nasuwające się obrazy, gdy to samo nieszczęsne usposobienie serca ogarnęło i smak i wyobraźnię. Owe przekleństwa i błogosławieństwa, owa chwała i upadek, skreślone przez dziejopisów, a zapowiadane przez proroków, zdawały mi się wszystkie tegoświatowe, wszystkie doczesne i ziemskie.

Owa śmiertelność, którą przejęte było źródło, roztoczyła się po całym potoku, i gdy doszedłem do wyrazów: „wszystko jest prochem i w proch się powróci,“ przejęło mnie niweczące uczucie, jakby wiatru pustyni. Piękność, sława, miłość, wszystko, co na ziemi niewypowiedzianym blaskiem jaśniało, zdawało się w mych oczach pod brzmieniem tej okropnej wyroczni przeistoczone w jedną powszechną masę zgniłości i milczenia.

Przejęty tym przezemnie samego wywołanym obrazem zniweczenia, opuściłem głowę na książkę i uległem paroksyzmowi rozpacz. Śmierć we wszelkich przeraźliwych postaciach przesuwała się przedemną, i tak leżałem długi czas przytłoczony okropnem widziadłem, gdy ocuciła mnie dłoń poruszająca me barki i ujrzałem przy sobie pustelnika. Rysy jego jaśniały tą wzniosłą spokojnością, której udzielać może tylko nadzieja, sięgająca za zakres tej ziemi. O ileż mu zazdrościłem!

Udaliśmy się na zwyczajne miejsce spoczynku w górach. Pomroka w mem wnętrzu wszystko wokoło mnie więcej jeszcze ponurem czyniła. Przygnieciony temi przemagającemi uczuciami nie mogłem dłużej ukrywać mej obłudy, wyznałem nareszcie wszystkie wątpliwości i obawy, które studia dzisiejszego poranku we mnie wzmogły.

„Synu mój,“ rzekł mi „jesteś dopiero u przed-sionka wiary, ujrzałeś dotąd pierwsze zarysy planów Bóstwa; a wykończona doskonałość jeszcze jest dla ciebie zakryta. Jakkolwiek świetne było objawienie Bóstwa na górze Sinai, było ono przecież tylko wieszczą nierównie świetniejszego, które po nadejściu oznaczonej epoki, okazało się zdumionemu światu; gdy

wszystko, co ciemnem i niewykończonem było,—urze-
czywistniło się,—obietnice, które duch przepowiedni
ogłosił, spełniły się; gdy pieczęć milczenia, zamykająca
Przeszłość, oderwana została i światu zwiastowano
wesołą nowinę życia i nieśmiertelności!“

Pobożny mąż ujrzawszy, jak rysy moje wypogo-
dzały się przy tych wyrazach, mówił dalej. Wyprze-
dzając nieco świętą naukę, jaką miałem dalej znaleźć
w księdze, skreślił szczegółowo ze wszystkimi cuda-
mi i świadectwami boskiej łaskawości wielkie dzieło
zbawienia, tłumacząc cuda z niem związane; boską
naturę Istoty, która ich dokonała; zjawiska, które uja-
wniły to Boskie posłannictwo; przykład posłuszeństwa
Syna Bożego ku Stwórcy, a miłości ku ludziom, przy-
kład, który jako wiekuiste światło, pozostawił światu;
wreszcie Jego śmierć i zmartwychwstanie, przez które
sojusz łaski przypieczętowany został i przyniósł życie
i nieśmiertelność.

„To był, rzekł dalej pustelnik, „Pośrednik“
przyobiecany w różnych czasach, przynoszący za nie-
sprawiedliwość pojednanie, za śmierć—życie, za cie-
mności, w których świat był pogrążony, ocalenie. Ta-
kie było ostatnie uwieńczające dzieło łask tego Boga
miłosierdzia, w którego dłoni grzech i śmierć są na-
rzędziami trwałego dobra, który przez pozorne złe
i doczesne zadośćuczynienie, wydobywa z ciemno-
ści wszystkie rzeczy i przenosi je w swe cudowne
światło, a czuwając bez przerwy, wiecznie ten sam,
prowadzi do wielkiego i ostatecznego celu swej Opa-
trznosci — odrodzenia rodu ludzkiego w czystości
i szczęściu!“

Z głęboko zdumionym, a może i wzruszonym tą
rozmową, umysłem wróciłem do mego mieszkania i jak

poprzednio, znalazłem już zastawioną lampę. W miejscu księgi, dotąd przedmiotem mej nauki będącej, roz warta była inna z świeżą gałązką palmową między kartami. Jakkolwiek nie powątpiewałem, czyjej drogiej ręce winien byłem tę niewidzialną o mój postęp troskliwość, było wszakże w tem coś tak podobnego do zetknięcia się dusz, że czcią przejęty zostałem, a to tem więcej, że za zbliżeniem się przy odbiciu światła o srebrne litery księgi ¹⁾, poznałem tę samą Księgę Życia, o której wzmiankował pustelnik.

Pienia poranne chrześcijan już się o dolinę odbiły, gdy dopiero oczy oderwałem od świętego pisma; a za ledwie słońce kilka godzin ubiegło na horyzoncie, już mnie znouu u pracy znalazło.

ROZDZIAŁ XVIII.

W takim stanie życia spędziłem dni kilka; ranki poświęcając czytaniu, wieczory i noce słuchaniu pod sklepieniem niebios świątobliwej Melaniosa wymowy. Wytrwałość, z jaką badałem i szybkość z jaką uczyłem się, zdołała wkrótce zwieść życzliwego mego nauczyciela, który moją ciekawość za prawdziwy zapal a wiedzę za wiarę poczytał. Ach! martwa, niepłodna i ziemską była ta wiedza—słowo bez duszy, kształt bez życia. Nawet kiedym, aby ulżyć obłudzie, własnemu sercu wmawiał, iż wierzę, było to tylko chwilowe

¹⁾ Kodeks Kotoniański Nowego Testamentu napisany jest srebrnymi literami na tle purpurowem.

omamienie; wiara, której nadzieja za dotknięciem się pełzła, podobna była do tego owocu pustyniowego krzewu, świetnej powierzchowności lecz wewnątrz pustego!

Lubo jednak ma dusza zawsze jeszcze zasępiąca była, nie wejrzał wszakże dobry pustelnik w jej głębią. Nawet wielką łatwość, z jaką wierzyłem, a która mogła być wzbudzić wątpliwość o mojej szczerości, uważał w niewinnej gorliwości za tym świetniejszy tryumf prawdy. Jego własna otwartość i prostota, napępiała go ufnością do drugich; a przykłady takich nawróceń jak filozofa Justyna, któremu podczas przechadzki nad brzegiem morza światło w duszy zajaśniało, usposabiały go do wierzenia w jeszcze prędsze nawrócenie, niż moje.

Podczas tego wszystkiego, ani razu nie ujrzałem Alethe, ani żadnej o niej nie otrzymałem wiadomości. Aniby cierpliwość moja dłużej takiej próby nie wytrzymała, gdyby nie owe nieme świadki jej obecności, witające mnie każdego wieczora przy powrocie; one dawały mi uczuć, iż zawsze jeszcze pod jej błogim wpływem zostaję i że każdy mój postęp żywo ją obchodzi. Raz nawet, gdym się odważył wyrzec jej imię przed Melanusem, lubo na moje pytanie nie odpowiedział, zdawało mi się postrzedz na jego twarzy obiecujący uśmiech, który miłość żywsza nad wiarę zupełnie odpowiednio do swych życzeń wyłożyła.

Nakoniec, było to siódmego dnia mej samotności, gdym spoczywał po całodziennej nauce, przy wnijsciu do mego mieszkania, usłyszałem me imię wywołane z przeciwległej skały, i wzniosłszy oczy na to urwisko skały blisko opustoszałych grot, ujrzałem Melanusa

i—o, nie mogłem już powątpiewać!—moję Alethe przy jego boku.

Lubo od pierwszej nocy powrotu mego z pustyni, nie przestawałem pochlebiać sobie tą myślą, iż jeszcze w jej pobliżności się znajduję, widok jej rzeczywisty dał mi w tej chwili głęboko uczuć, jak długi czas byliśmy rozłączeni. Ubrana w szaty białe, stojąc tak w ostatnich promieniach zachodzącego słońca, przedstawiała się mojej podnieconej wyobraźni jak ulatający duch, którego ostatni krok na ziemi czysta jasność otaczała.

Z radością, jaką trudno sobie wyobrazić, widziałem jak oboje ze skały zstępując, wsiedli w czołno i ku mej stronie się zbliżali. Ukryć przed Melanusem uczucia, z jakimi się znów widzieliśmy, było niepodobna; Alethe też nawet nie starała się utaić swej radości. Rumieniąc się ze szczęścia własnego, nie mogła go ukryć jej szczerą naturą, tak jak przezroczyste wody Etyopii nie mogą ukryć złota na ich dnie leżącego. Każde słowo, każde spojrzenie wyrażało tę pełność uczucia, na które, w niepewności w jakiej się z tak niepojętego szczęścia znajdowałem, nie byłem nawet zdolnym odpowiedzieć.

Niedługo już wszakże było mi tajemnym szczęsnym przeznaczeniem, jakie mnie czekało; dowiedziałem się albowiem podczas przechadzki po skałach o wszystkim, co od czasu naszego rozłączenia postanowiono; dowiedziałem się, że opowiedziała pustelnikowi wszystko, co pomiędzy nami zaszło; opisała mu szczerze każdą okoliczność naszej podróży; wyznanie i okazywanie prawdziwej miłości, oraz głębokie z wdzięczności powstałe uczucie z drugiej strony. Zarozsądny, iżby tak naturalne uczucia sądzić surowo, wie-

dząc, że pochodzą od Boga, a tylko człowiek często na złe je obraca—dobry pustelnik przychylnie spoglądał na nasze wspólne przywiązanie, i znajdując dostatecznie wypróbowaną czystość moich zamiarów w wierności, z jaką powierzony mi zakład w jego ręce złożyłem, widział w mej miłości ku młodej sierocie wskazany przez Opatrzność środek zaradczy, przeciw osamotnieniu, w jakim ją wkrótce bliski już zgon jego musiał pozostawić.

Zaledwie wierzyć mogłem temu, co z ich ust usłyszałem. Szczęśliwość zdawała się zawielką, aby mogła być rzeczywistą; ani żadne słowa opisać nie są zdolne radości, wstydu, zadziwienia z jakim słuchałem, gdy święty mąż sam oznajmił, iż tylko tej chwili oczekuje, gdy mnie za godnego uzna zostania członkiem Kościoła Chrześcijańskiego, aby mi zaraz rękę Alethe oddać w tym świętym związku, który jedynie uświęca miłość i wiarę, której jest zakładem. Dopiero wczoraj, dodał on, młoda jego wychowanka, przygotowana przez modły i skruchę, jakich nawet i jej czy sta dusza potrzebowała, przyjęta została przez święty obrząd Chrztu na łono wiary; a jej śnieżna odzież oraz złoty pierścień na palcu, były godłami nowego życia, do jakiego została przypuszczona.

Wzniósłem oczy ku niej, gdy to mówił, lecz spuściłem je zaraz zawstydzony i zmieszany. Jej wdzięki zdawały się nawet jeszcze powabniejszemi, a sprzeczność między temi niewinnością i szczęściem jaśniejącemi rysami, a bezbożnem czołem niewiernego, który stał przed nią, ukorzyła mnie do takiej nicości, która stłumiła nagle zachwycenie moje.

A przecież wspominam ten wieczór, jako epokę stanowczą w mem życiu. Dowiedział mi, że smutek nie

sam tylko do pobożności pobudza, lecz, że i radość czasem świętą iskrę zapala. Gdy tak z sercem ciężarem szczęścia przepelnionem wrócił do mojej jaskini, znalazłem jedyną ulgę w gwałtowności mych uczuć taką, że rzuciłem się na kolana i pierwszy raz w mem życiu wzniosłem modły. „Jeżeli w rzeczy samej jest Istota, która nad człowiekiem czuwa, zawolałem, niech ta, chociaż jeden promień swej Prawdy w mą duszę przeleje i uczyni ją godną szczęścia tu i w przyszłości mi przyrzeczonego.“

Dni moje upływały odtąd jakby w doskonałym śnie szczęśliwości. Każdą godzinę poranną witałem jako poprzedniczkę zbliżającą błogą chwilę zachodu słońca, kiedy pustelnik i Alethe nie zaniebają odwiedzić mnie w mej teraz tak czarownej jaskini, gdzie jej uśmiech pozostawiał zawsze urok trwający aż do jej powrotu. Przechadzki nasze przy świetle gwiazd przez skały i góry; rozważanie owych promienistych cudów niebieskich nad nami; wypoczynek nasz przy cysternie w skale, i uwaga z jaką słuchaliśmy świętobliwej wymowy naszego nauczyciela; wszystko to było szczęściem najwyższym, takim, iż nawet martwe czołgające się powątpiewania, które się jeszcze jak mgła około serca mego snuły, nie mogły go ani zachmurzyć, ani zlodowacić.

Gdy znowu pełnia księżycyca noce oświecała, odważaliśmy się aż na pustynię; i nawet owe piaski, które mi się wprzód tak dzikie zdawały, przedstawiały mi się teraz przyjaźnie i uśmiechająco. Niewinnemu, młodocianemu sercu Alethe wszystko było źródłem radości. Dla niej pustynia nawet miała swe klejnoty i kwiaty; czasami bawiła się zbieraniem w piaskach owych pięknych okruchów jaspisu, jakie częstokroć

w nich się napotykają; czasem radośnie błysnęło jej oko, gdy ujrzała niewyrośły nogietek lub jaki z tych gorzkich kwiatów szkarłatnych, które swej ozdobą, jakby na szyderstwo użyczają pustyni. Wszystkie te wycieczki i rozrywki dzielił z nami dobry pustelnik, dodając do nich okolicznie uwagi owej życziwej pobożności, która wszystkim dziełom stworzenia swej własnej przyjaznej barwy udziela, i tę pocieszającą prawdę, że Bóg jest miłością. wszędzie w wyraźnych dowodach postrzega.

Tak przez kilka tygodni żyłem w szczęściu zupełnem. O ranki, obfite w nadzieje! nocy pełne szczęśliwości! z jakąż smętną lubością was wspominam, i jak niechętnie przechodzę do zdarzeń, które po nich nastąpiły!

Okolo tego czasu, stosownie do życzenia Melanusa, który niechętnie patrzył na me oderwanie się od świata, odwiedzałem niekiedy pobliskie miasto Antinoe, które jako stolica krainy Tebańskiej, jest ogniskiem wszystkiego przepychu i okazałości Wyższego Egiptu. Tutaj to—tak się już zmieniły uczucia moje przez tę wszystko przeistaczającą namiętność, która mnie ogarnęła,—błąkałem się obojętnie i bez przyjemności między tłumami i wszystkim, co mnie otaczało, tęskniąc do tego skalistego ustronia, gdzie Alethe oddychała; gdyż tu była tylko dla mnie pustynia,—tam świat cały.

Nawet wspomnienie mych rodzinnych Aten, które za każdym krokiem przez świetną grecką architekturę tej cesarskiej stolicy w mej pamięci się odnawiało, nie obudziło ani jednej tęsknej myśli w mem sercu—ani jednego życzenia, by zamienić chociaż goźdwinę tylko mej pustyni za najbardziej wyszukane roz-

kosze, jakie mnie w Ogrodzie czekały. Widziałem bramy tryumfalne; przechadzałem się pod wspaniałą kolumnadą, która otacza całe miasto swych marmurów cieniem; stałem w cyrku Słońca, przez którego różnobarwne filary mierzone są tajemnicze poruszenia Nilu; na wszystkie te dawne pomniki sławy i sztuki, równie jak na owe tłumy, które je ożywiały, patrzałem okiem obojętnem. A jeśli kiedy we mnie obudziły myśl jaką, były to tylko żałobne myśli, iż kiedyś, równie jak Teby i Heliopolis, przeminą i te świetne szczyty, nie zostawiając nic po sobie, jak tylko zapadłe i spruchniałe zwaliska, podobnie jak muszle morskie znajduwane tam, kędy Ocean płynął przed czasy, aby wskazać, że wielki przyływ Życia był tu niegdyś!

Jednakże, lubo zimny na wszystko, co mnie dawniej zachwycało, były jednak przedmioty dotąd memu sercu obce, na które teraz ono drżało; a niektóre pogłoski, jakie raz przy mych odwiedzinach w mieście obily się o me uszy, o nieprzewidzianej zmianie w postępowaniu cesarza względem Chrześcijan, napełniły mnie trwogą, równie nową dla mnie jak straszliwą.

Pokój, a nawet względy, jakich Chrześcijanie używali przez pierwsze cztery lata panowania Walerjana, uciszyły w nich wszelką obawę, iżby wznowiły się prześladowania, jakich doznali pod berłem jego poprzednika Decyusza. W tym czasie jednak pojawiły się mniej przyjazne okoliczności. Fanatykom na dworze, których nagłe rozszerzenie nowej wiary zatrzymało, udało się napełnić duszę monarchy tą religijną zazdrością, która jest zawsze gotową rodzicielką okrucieństwa i niesprawiedliwości. Pomiedzy złośliwymi doradcami, znajdował się Macrianus, przełożony preto-

ryanów, rodem z Egiptu, a który przez długi czas—tak bliskim jest zabobon nietolerancyi—odznaczał się namiętnem poświęcaniem się sztukom czarnoksiężkim i czartowskiem.

Od tego to dworzanina, który teraz wysokiej łaski Waleryana doznawał, oczekiwane środki surowości przeciw Chrześcijanom, jak się domyślano, pochodziły. Wieści te krążyły wszędzie. Po ulicach, w publicznych ogrodach, u stopni świątyń spotykałem wszędzie grona rozmawiających o tym przedmiocie, a imię „Macrianus“ było na każdym języku. Zatrważające również były gesta tych, którzy rozmawiali, rozmaitość uczuć, z jaką tę wieść rozbierano: o ile jej rzeczywistość była jednym pożądaną—drugim straszliwą—o ile kto miał widok znajdowania się w rzędzie gnębieli lub ofiar.

Przestraszony, lubo nieznający jeszcze całych rozmiarów niebezpieczeństwa, pośpieszyłem z powrotem do wąwozu, a udawszy się natychmiast do groty Melaniana, opowiedziałem mu wszystkie szczegóły tej wiadomości, jakie zebrać mogłem. Słuchał mnie ze spokojnością, którą mylnie uważałem niestety jako zaufanie w swem bezpieczeństwie; poczem naznaczywszy mi godzinę przechadzki wieczornej, odszedł w głąb swego mieszkania.

O zwyczajnym czasie Alethe i on wstąpili do mej jaskini. Spostrzegłem zaraz, iż nie udzielił jej jeszcze tego, co mu doniosłem, gdyż nigdy jeszcze czoło jej szczęściem równem nie jaśniało, jak w tej chwili. Niestety! nie było ono już ziemskiem! Melaniana, lubo spokojny, był jednak zamyślony; a ta uroczystość, zbliżająca się do melancholii, z jaką rękę Alethe złączył z moją, zasmuciła mnie i przejęła

trwogą, chociaż powinna była raczej me serce napełnić tylko radością. Ten obrządek był naszymi zaręczynami,—przrzeczeniem wzajemnej wierności,—który teraz obchodziliśmy na skale, przed wchodem do mej jaskini, wobec zachodzącego słońca na niebiosach, jedyną gwiazdą na niebie, która służyła za świadka. Gdy pustelnik pobłogosławił nasz związek, włożyłem jej na palec obrączkę,—zakład naszego przyszłego połączenia,—a rumieniec, z jakim w tej chwili całe mi serce oddawała, zgasił we mnie pamięć wszystkiego prócz mej szczęśliwości i sądziłem się bezpiecznym nawet od napaści losu samego.

Zwyczajna nasza przechadzka wiodła i teraz przez skały w pustynię. Księżyc był tak jasny, podobny światłu dziennemu w innych klimatach, iż mogliśmy dokładnie rozpoznać ślad dzikich antylop na piasku; a dobry pustelnik nie bez lekkiego drżenia w głosie, jakby jakie smętne podobieństwo zajmowało go, gdy mówił, rzekł do nas: „uważałem w mych przechadzkach, iż gdzie ślad tego przyjaznego zwierzęcia postrzedz się daje, tam prawie zawsze piętno pazurów drapieżnego zwierza niedaleko się znajduje.“ Odzyskał jednakże swą zwykłą wesołość nim się rozłączyliśmy i oznaczył przyszły wieczór na zwiedzenie innej strony wąwozu, „skąd był widok,“ jak mówił, „na północną okolicę pustyni, kędy czciciele Pana z niewoli uchodząc, rozłożyli swoje tabory.“

Lubo w obecności Alethe zapomniałem o wszelkiej trwodze, wśród tej atmosfery szczęścia, otaczającej ją, jakoby powietrze, którem oddychała, zaledwie jednak sam zostałem, już jakaś nieokreślona obawa i niespokojność opanowała mój umysł. Nadaremnie usiłowałem wyrwać się z tych smutnych przewidywań,

wspominając na najprzyjemniejsze okoliczności, na poważanie, jakiego Melanius nawet od pogan samych doznawał, i nienaruszoną spokojność, z jaką żył w najniebezpieczniejszych czasach, nie tylko sam, lecz innym nawet w swych grotach schronienia udzielając. Gdy uspokojonemu nieco takimi uwagami sen zamknął powieki, czarne okropne widziadła zajęły mą duszę. Sceny śmierci i męczarni snuły się przedemną, a obudzeniu się memu towarzyszyło wrażenie przerażające, iż wszystkie te okropności były rzeczywistemi.

ROZDZIAŁ XIX.

Nakoniec dzień zaświtał—ów dzień straszliwy! Z niecierpliwością wydobyć się z niepewności, wskoczyłem do czółna—tego samego w którym naszą szczęśliwą podróż odbyliśmy, i tak szybko jak tylko wiosło popychać mnie mogło, pośpieszyłem do miasta. Na pustych przedmieściach głucho panowało milczenie, za ledwie się jednak zbliżyłem do Forum, okrzyki jakby walki dzikich hord obity się o me uszy; a skoro tam wszedłem—Wszzechmocny Boże! jakiż widok przedstawił się mym oczom! Edykt cesarski przeciw chrześcijanom dopiero tej nocy przybył, a już dzika wściekłość fanatyzmu korzystała z rozpuszczonych sobie wodzy.

W środku Forum pod wystawą tronową, był trybunał rządcy prowincyi. Dwa posągi, Apolina i Ozyrysa, stały przy stopniach, do krzesła sędziowskiego prowadzonych. Przed temi bożyszczami były ołtarze,

do których Chrześcijanie, przez żołnierzy i zgraje ludu ze wszech stron wleczeni, tam zmuszani byli przez rzucanie kadzidła w płomień zrzekać się swojej wiary, a w razie oporu odprowadzani zostawali na męczarnie i śmierć. Był to widok przerażający. Trwoga i krzyki niektórych z tych ofiar; milcząca i blada wytrwałość innych; dzikie wrzaski i śmiechy, wydawane przez tłumy, gdy wzbijający się z ołtarza dym ofiarny nowego odszczepieńca od Chrystusa dowodził ¹⁾, i piekielny tryumf gdy odważni wyznawcy, którzy w swej wierze wytrwali, na stos prowadzeni byli: nigdy takiego napływu okropności ani nawet w myśli wystawić sobie nie mogłem!

Lubo kilka chwil tylko patrzałem na to wszystko, jednakże te krótkie momenta zostawiły mi wrażenie na długie lata. Nakoniec przesunęła mi się nawet postać Alethe przed oczyma; zdawało mi się, że słyszałem jej imię wymówione—jej krzyk wskroś przeszył me serce, a już myśl sama przejęła mnie taką zgrozą, iż stanąłem wryty jak posąg.

Przypominając sobie jednak, że każda chwila droga i, że—może w tym momencie—posłańcy z tej krwi chciwej tłuszczy mogli już być na drodze do wąwozu, z dzikim pośpiechem opuściłem Forum, udając się ku brzegom.

Ulice były już teraz ludźmi zapełnione, a jednak biegłem przerzynając zbierające się tłumy, i już znajdowałem się pod kolumnadą, która do rzeki prowadzi-

¹⁾ Chrześcijan, którzy dla własnego ocalenia składali ofiarę bałwanom, nazywano różnemi przezwiskami: Thurificati, Sacrificati, Mitentes, Negatores etc...

ła, już widziałem barkę, która mnie do Alethe zawieść miała, gdy jeden z centuryonów śmiało zastąpił mi drogę, a żołnierze otoczonego przytrzymali! Nadaremnie błagałem, nadaremnie walczyłem z nimi, jakby o życie, zapewniając, iż byłem cudzoziemcem, iż byłem Ateńczykiem, iż byłem: nie-Chrześcijaninem. Pośpiech mej ucieczki zamocno przeciwko mnie świadczył, gwałtem więc zostałem poprowadzony do mieszkania ich dowódcy.

To było dostatecznem do pozbawienia mnie zmysłów! Dwie godziny, dwie okropne, wiekom równe godziny, czekałem tu na przybycie trybuna ich Legii ¹⁾. Tysiące gorejących obrazów snuło mi się przed oczyma, których urzeczywistnienie każda uchodząca chwila prawdziwszem tylko czyniła. Wszystko też, co z rozmów około mnie prowadzonych pochwyć mogłem, jeszcze bardziej zwiększało męczarnie tego śmiertelnego przestachu, jaki mnie przejmował. Opowiadano, iż na wszystkie strony wysłano żołnierzy dla pojmania buntowniczych Chrześcijan i zmuszenia ich do oddawania czci bożkom państwowym. Dreszcz mnie przeszedł, gdy wspomniany został Orkus,—Orkus wielki kapłan z Memphis, jako jeden z najgłówniejszych podżegaczy tego krwawego rozkazu i obecny teraz w Antinoe dla dopilnowania jak najsurowszego jego wykonania.

W tym stanie męczarni pozostawałem aż do przybycia trybuna. Zatopiony w myślach, nie postrzegłem jego wnijscia; aż usłyszałem głos przyjazny z za-

¹⁾ Ranga odpowiednia dzisiejszej pułkownika.

dziwieniem wołający: „Alciphron!“ Teraz wniosłem oczy i poznałem w dowódcy Legii znakomitego Rzymianina, który przed rokiem w ważnym zleceniu woj-skowym do Aten wysłany, należał tam do najskwapli-wiej odwiedzających Ogród. Lecz teraz nie było cza-su do powitań. Przyjął mnie wprawdzie najuprzej-miej, ale jak tylko wydał rozkaz, aby mnie bezzwło-cznie uwolniono, nie miałem czego czekać dłużej. Okazawszy mu wdzięczność uściśnieniem ręki, pobie-głem jak szalony przez ulice i wkrótce stanąłem nad rzeką.

Jedyną moją nadzieją było dostać się do naszego schronienia, nim wysłane tam tłumy przybędą, aby skorą ucieczką przez pustynię ochronić przynajmniej Alethe przed ich wściekłością. Nieszczęsna odwłoka, której się poddać musiałem, uczyniła teraz tę nadzieję prawie straconą; cisza jednak, jaką wszędzie wzdłuż rzeki panującą postrzegłem i pochlebna ufność, jaką jeszcze miałem w tajności schronienia pustelnika, uspokajały burzę mem sercem miotającą.

Z pędem wody i z pomocą wiosł barki moja z szybkością równą wiatrom przerzynała śklbiące się nurty i już byłem bliskim skał wąwozu, gdy ujrzałem na kanale w Nil wpadającym statek napełniony ludźmi otoczonymi wojskiem. Jak mogłem cios tak śmiertelny przeżyć! Wiosła wypadły mi z rąk na wodę i dreszcz zimny odjął wszystkie siły, gdy się to straszliwe wido-wisko zbliżało. W kilku chwilach już nas zetknął pęd wody; a na pokładzie statku postrzegłem Alethe i pustelnika otoczonych żołnierstwem!

Już mieliśmy się minąć, gdy z wysileniem zgrozy wyskoczyłem z mojej barki na brzeg ich statku. Nie wiedziałem co czynię, gdyż tylko rozpacz ślepo mną

wiodła. Już udało mi się wydrzeć oręż najbliższemu z żołnierzy, gdy w tej chwili jeden z jego towarzyszków pchnął mnie dziirytem i na wznak w rzekę wpadłem. Pamiętam jeszcze, iż znów mnie woda w górę wyrzuciła i żem powtórnie za krawędź statku uchwycił; lecz upadek i osłabienie z utraty krwi pochodzące, pozbawiły mnie przytomności, a krzyk Alethe, gdy znów w wodę wpadłem, było wszystkim, o czem sobie jako później nastąpieniem przypominam.

Czemuż wówczas w nurtach śmierci nie znalazłem! Lecz nie, Wszechmocny Boże, byłbym wtenczas umarł w ciemności, a Ty mnie zachowałeś przy życiu, abym Cię poznać i cenić umiał!

Przyszedłszy znowu do zmysłów, znalazłem się na łożu w bogatym na sposób grecki urządzonej mieszkanie, tak, iż na krótki czas o wszystkim co zaszło zapomniałem, wyobrażając sobie, iż jestem w mym własnym domu w Atenach. Lecz aż nadto prędko okropna pewność przerwała to omamienie; i jakkolwiek słaby byłem, zerwawszy się dziko z mego łoża, krzychałem silnie głosem szalonego, wzywając Alethe.

Uwiadomiono mnie teraz, iż byłem w domu mego przyjaciela i ucznia, owego młodego trybuna, który odkrył wielkorządcy moje imię i stosunki, i wziął mnie do swego mieszkania, gdy mnie skrwawionego i bez zmysłów do Antinoe przywieziono. Od niego się też dowiedziałem—badając niecierpliwie, o wszystkim, co dotąd w tym okropnym przeciągu czasu zaszło. Melanius już nie żył, Alethe oddychała wprawdzie jeszcze, lecz w więzieniu!

„Prowadź mnie do niej,“ zawołałem gwałtownie: „prowadź mnie do niej natychmiast, abym przy jej boku śmierć pouiósł!“ co ledwie wyrzekłszy padłem

zemdlony. W tym stanie pozostawałem blisko godzinę, a odzyskawszy znowu przytomność, ujrzałem trybuna siedzącego przy mnie. Mówił mi, iż okropnościom w Forum już na dziś położono tamę, lecz, że sam na tę myśl truchlał, co jutrzejszy dzień sprowadzić może. Widocznem było, z jakim obrzydzeniem wypełniał przywiązane do swego urzędu obowiązki. Tknięty rozpaczą, w której mnie pogrążonym widział, złagodził ją nieco przyrzeczeniem, iż mnie skoro noc nadejdzie do więzienia zaprowadzi, i tam użyje całej swej powagi, abym z Alethe mógł się zobaczyć. Mogłaby jeszcze, mówił on, być uratowaną, gdyby mi się powiodło skłonić ją, aby przepisom Edyktu posłuszna, bożkom cześć złożyła. „Inaczej,” rzekł dalej: „nie ma żadnej nadziei; gdy mściwy Orkus, który nawet na krótką zwłokę zezwolić nie chciał, nieprześlągany, swej zdobyczy nazajutrz domagać się będzie.“

Opowiadał potem na mą prośbę, lubo każde słowo było dla mnie męczarnią, wszystkie te krwawe sceny, jakie przed trybunałem zaszły. „Widziałem“ rzekł on, „odwagę w swej najszlachetniejszej postaci na polu bitwy; lecz spokojne męstwo z jakim ten sędziwy pustelnik męczarnie ponosił—których sam widok już serce zakrwawiał—przechodzi wszystko, cokolwiek sobie kiedyś o mocy duszy człowieka wystawiać mogłem!“

Również przy opisie postępowania Alethe łyżaczniczemu temu mężowi stanęły w oczach. Pełna obawy o mnie, mówił on, zrazu oddała się czułości kobiecej i żalonym uczuciom. Zaledwie jednak stanęła przed sądem, zaledwie żądano od niej wyznania jej wiary, gdy duch prawie nadprzyrodzony całą jej postać ożywiać się zdawał. „Wzniosła oczy,” rzekł dalej: „spokojnie, lecz z pobożnem uniesieniem ku Niebu, gdy tym-

czasem rumieniec jedyną ziemskich uczuć był na jej licach oznaką; a słodki, wyraźny i pewny głos, jakim te ją na śmierć wskazujące słowa: „Jestem Chrześcijanką!“ wyrzekła, wzbudził szmer podziwienia i litości wśród tłumu. Jej młodość, jej wdzięki, poruszyły wszystkie serca, i okrzyk: „ocalcie tę młodą dziewicę!“ ze wszystkich się stron ozwał.

Nieprześlągany Orkus był jednak niedostępnym litości. Pamiętny, jak się zdawało, z piekielną nienawiścią, nietylko jej ucieczki własnej z jego sideł, lecz i pomocy, z jaką wbrew jego widokom ułatwiła moję, żądał głośno i w imieniu obrażonej świątyni Izydy jej śmierci w tej chwili. Tylko na wyraźny wniosek wielkorządcy, który dzielił powszechnie zajęcie się jej losem, zwłoka aż do dnia następnego była udzielona, dla dania sposobności młodej dziewicy odwołania jeszcze swego zeznania: tak chciano jej poddać środki ratunku.

Nawet zmuszony przystać na tę zwłokę, chciał jeszcze nieludzki kapłan dołączyć do niej oznakę swej zemsty. Czy to znajdując rozkosz (mniemał trybun) w dodaniu szyderstwa do okrucieństwa, czyli też jako przestrogę losu, jaki ją ostatecznie czekał, wydał rozkazy, aby na jej czoło włożono wieniec z koralu ¹⁾, jakim się według zwyczaju młode chrześcijańskie dziewice w dniu swego męczeństwa zdobią; „i tak straszliwie przystrojona,“ rzekł on, „wśród patrzącego na nią litośnie tłumu odprowadzono do więzienia.“

¹⁾ „Wieniec z koralu, który nakładaly na głowę dziewice męczenniczki idące na śmierć.“ *Chateaubriand. Les Martyres.*

Temi szczegółami zapełniony został krótki przeciąg czasu aż do nocy, którego każda chwila wiekiem mi się zdawała. Jak tylko noc nadeszła, zaniesiono mnie, z powodu mej rany w lektyce, w towarzystwie mego przyjaciela, do więzienia. Tam za jego staraniem, zostaliśmy wpuszczeni bez trudności aż do komnaty, w której dziewczica była zamknięta. Nawet stary dozorca zdawał się poruszony litością ku uwięzionej, a sądząc, iż w tej chwili Alethe zasnęła, zwolna lektykę ze mną obok niej postawił.

Leżała na wpół siedząc, rękoma zasłaniając oczy, na łożu—w nogach którego stało bożyszcze, na którego obrzydłe lica lampa wisząca wśród sklepienia blade i przerażające światło rzucała. Na stole przed bożkiem stało naczynie z ogniem i puszka obejmująca kadzidło, z którego ziarnko, wrzucone dobrowolnie w płomień, mogło teraz nawet jeszcze to drogie życie ocalić. Tak dzikie, tak przerażające było wszystko, co się tu znajdowało, iż o rzeczywistości onego powątpiewałem. Alethe moja najdroższa, szczęśliwa Alethe! pomyślałem sobie, jestżeś to ty na którą teraz spoglądam?

W tem zwolna i z trudnością podniosła głowę; widząc to przyjazny mi trybun oddaliwszy się zostawił nas samych. Bładość śmiertelna pokrywała jej lica; a te oczy, które gdym je ostatni raz widział były zaświetne, zaszcześnie dla tego świata, spoglądały ponuro i smętnie. Podnosząc się, położyła rękę, jakby z bólu, na czoło, którego marmurowa białość przy czerwonym wieńcu, który je otaczał jeszcze ją podobniejszą czyniła do umierającej.

Spoglądając przez chwilę błędem okiem dokoła, spostrzegła mnie, i z krzykiem dzikiej radości i przestrawu, zerwała się z łoża i padła na kolana przy

mym boku. Sądziła, że już nie żyję, i w tej chwili nie dowierzała swym zmysłom. „Mężu mój! Kochanku drogi!“ zawołała: „jeżeli przychodzisz zabrać mnie z tego świata, patrz, jestem gotowa!“ To mówiąc, wskazała dziko na tę nieszczęsną ozdobę koralową i opuściła głowę na me kolana, jakby strzałą prze-szyta.

„Alethe!“ zawołałem przerażony tą dla mnie tajemniczą boleścią, a dźwięk mego głosu zdawał się ją ożywiać. Wzniosła oczy spoglądając z przymuszonym uśmiechem na mnie. Myśli, które widocznie były przerwane, zebrała znowu; a wśród radości z mego uratowania i smutku z powodu mych cierpień, zapomniała zupełnie o przeznaczeniu, które nad nią wisiało. Miłość—niewinna miłość, sama tylko jej myśli zajmowała; a czułość jej mowę! Oh! jakże w każdej innej chwili byłbym jej słuchał, byłbym się zastanawiał nad nią i błogosławił każde słowo!

Lecz czas ubiegał szybko—straszliwy poranek się zbliżał. Już ją widziałem wijącą się w rękach morderców. Płomienie, tortury, koła stały mi przed oczyma! Na wpół szalony z przestachu, iż wytrwa w swem postanowieniu, porwałem się z mego siedzenia łzami zalany, błagając ją na miłość, jaką miała dla mnie, na szczęście, jakie nas czekało, na jej własnego miłosiernego Boga, który był zasłodka, by żądał takiej ofiary, na wszystko, co tylko namiętna trwoga mogła mi poddać, błagałem, aby odwróciła od nas to nieszczęście, które się zbliżało, i choć na chwilę przystała na czczy obrządek od niej wymagany.

Odrywając się odemnie, gdy to mówiłem, z wzrokiem jednak bardziej smutek, niż wyrzuty wyrażającym: „Co, ty także!“ rzekła z boleścią, „ty, w któ-

rego duszę, jak miło mi było mniemać, taż sama Boska prawda wstąpiła, co w mą własną! oh, nie łącz się z tymi, którzy usiłują oderwać mnie od wiary mojej! Ty, który sam jeden mógłbyś mnie przywiązywać do życia, nie używaj twojej przewagi; lecz pozwól mi umierać, jak rozkazał Ten, któremu służę,—umrzeć za Prawdę. Pamiętaj na święte nauki, których słuchaliśmy w tych szczęśliwych nocach, kiedy obecność i przyszłość uśmiechały się dla nas, kiedy nawet dar wiecznego życia był dla duszy mojej tem pożądańszym przez to błogie przekonanie, iż ty w nim udział znajdziesz, mamże teraz wyzuć się z tego Boskiego prawa? Mamże zrzec się prawdziwego Boga, któregośmy wówczas nauczyli się kochać?

„Nie, mój luby przyjacielu,“ mówiła dalej wskazując na dwa pierścienie na jej palcu, „spójrz na te zakłady, oba są poświęcone. Byłabym ci równie wierną, jak teraz jestem dla nieba, i w tem nawet życiu do którego dążę, nasza miłość w niepamięć nie pójdzie. Jeżeli mnie ów chrzest ognia, przez który jutro przejdę, uczyni godną być wysłuchaną przed Tronem Łaski, błagać będę za duszę twoją—zasyłać będę modły, aby dzieliła z moją to dziedzictwo nieśmiertelności i czystości, które Miłosierdzie udziela, i żebyś ty, moja droga matka i ja—“

Tu brakło jej głosu; to chwilowe uniesienie, którem pobożność i miłość ją natchnęły, znikło; i siność okryła wszystkie jej wdzięki—straszliwa siność, jakby zapowiednia śmierci. Uchwyciwszy konwulsyjnie mą rękę i spojrzawszy na mnie dzikim wzrokiem, jakby tęskna usłyszenia z mych ust jakiego pocieszającego zapewnienia, „wierzaj mi,“ rzekła, „wszystkie męczarnie, jakie mi gotują, nawet ta głęboka piekielna boleść

na mem czole, której one zaledwie zrównać zdołają, nie mogą i w części nawet być dla mnie tak straszniemi, jak myśl, iż ciebie opuszczam.“

Tu powtórnie głos jej zmartwiał; jej głowa padła na me ręce, i, litośny Boże, daj mi zapomnieć cò wtenczas czułem, ujrzałem ją konającą! Czyli wydałem krzyk jaki, nie wiem; lecz trybun wpadł do komnaty, a spojrzawszy na dziewicę, rzekł z twarzą pełną zgrozy i przerażenia: „już więc się stało!“

Teraz opowiedział mi cichym głosem, co mu dozorca więzienia właśnie był doniósł, iż wieniec koralo-
wy ¹⁾ był—oh przerażająca okropność! zbiorem najja-
dowitszych trucizn, piekielny wynalazek Orkusa, dla zaspokojenia jego zemsty i zapewnienia sobie nieszczę-
snej swej ofiary. Pierwszym mym uczynkiem było, odjęcie tego fatalnego wieńca; lecz nie dał się ode-
rwać,—nie dał się już oderwać!

Ocknięta z bólu, spojrzała jeszcze na mnie; lecz nie będąc w stanie mówić, wzięła szybko ze swego łona mały srebrny krzyżyk, który przyniosła ze sobą z mej jaskini. Przycisnąwszy go do swych ust, trzymała go drżąca na moich, a widząc mnie całującego to święte godło z pokorą, szczęście i uśmiech ożywiły raz jeszcze jej spojrzenie. Dreszcz śmiertelny już

¹⁾ O zatrutych wieńcach wspomina Pliniusz, nazywając je: „*coronae ferales*.“

„Dziwna, że ludzka przewrotność odkryła, jak wynalazek tak zbawienny na zbrodnicze skierować zamiary. Wynaleziono bowiem zabójcze wieńce, kształtem i nazwiskiem do owych uleczających podobne, lecz w skutkach zgubne, gdyż przyprawiają o śmierć głowę, na której położone. „*Paschalius. De coronis*.“

przemiął; niebieskie światło okryło jej lica, z którego część i ja w mą duszę przechodzącą uczułem, a po kilku chwilach—skonała w moich objęciach.

Tu się kończy rękopis; lecz na wierzchniej okładce znajduje się napisana z późniejszej epoki następująca uwaga, wyjęta, jak się zdaje z jakiejś Egipskiej Martyrologii:

„Alciphron, Epikurejski filozof nawrócony do Chrześcijaństwa roku Pańskiego 257, przez młodą Egipską dziewicę, która w tym roku śmierć męczeńską poniosła. Zaraz po jej zgonie udał się do pustyni i żył tam, jak opowiadają, w wielkiej pobożności i pokucie. Podczas prześladowań za Dyoklecjana, cierpienia jego za wiarę były przykładne; a będąc nakoniec w podeszłym wieku skazanym do ciężkich robót, dla tego, iż nie był posłusznym Edyktowi Cesarskiemu, umarł w kopalniach miedzi w Palestynie, w roku Pańskim 297.

Atanazyjscy pisarze oskarżali go, iż podlegał zabobonom Egipcyan. Twierdzenie takowe nie mogło wszakże innego wskazać źródła, jak okoliczność, wspomnianą przez jednego z jego braci klasztornych, iż znaleziono po śmierci jego zawieszzone na jego szyi małe metalowe zwierciadełko, podobne tym, jakich używano przy obrządkach Izydy.



Ważniejsze omyki druku.

<i>Str.</i>	<i>wiersz</i>	<i>zamiast:</i>	<i>czytaj:</i>
26	10 od dołu	które	która
28	12 "	świadomy	świadomego
28	12 "	przejęty	przyjęty
30	2 "	sistum	sistrum
31	7 od góry	opuszczała	opuszczało
57	11 od dołu	Nieśmiertety	Nieśmiertelny
57	5 "	omanieniom	omamieniom
70	12 "	Wstrzymaj, się zachwy- cające	Wstrzymaj się, zachwy- cające
76	12 od góry	błyszczącą	błyszczącą
89	5 "	przypominało	przypomniało
89	12 od dołu	wlepiszy	wlepiwszy
118	3 od góry	zawiązanego	związanego
136	6 "	la	dla

Washington my dear



Wyższa Szkoła Pedagogiczna
w Kielcach
Biblioteka Główna

271934

Biblioteka WSP Kielce



0039095

